Polska–Ukraina: zły czas • Amnestia dla PiS? • Z Czarnkiem po kraju • Książki na lato
Tato jak mama • Co mówią paznokcie • Komar – cichy zabójca • Dymy nad Moskwą

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 26 (3570), 24.06–30.06.2026 Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195



Kasa z chorych

czyli patologie lekarskiego systemu płac

ISSN 0032-3500
9 770032 350602 26
Wydanie w sprzedaży do 30.06.2026

© SHUTTERSTOCK.AI/AMAR

eprasa.pl/74925dea9a

ZAPRASZAMY NA OLIMP

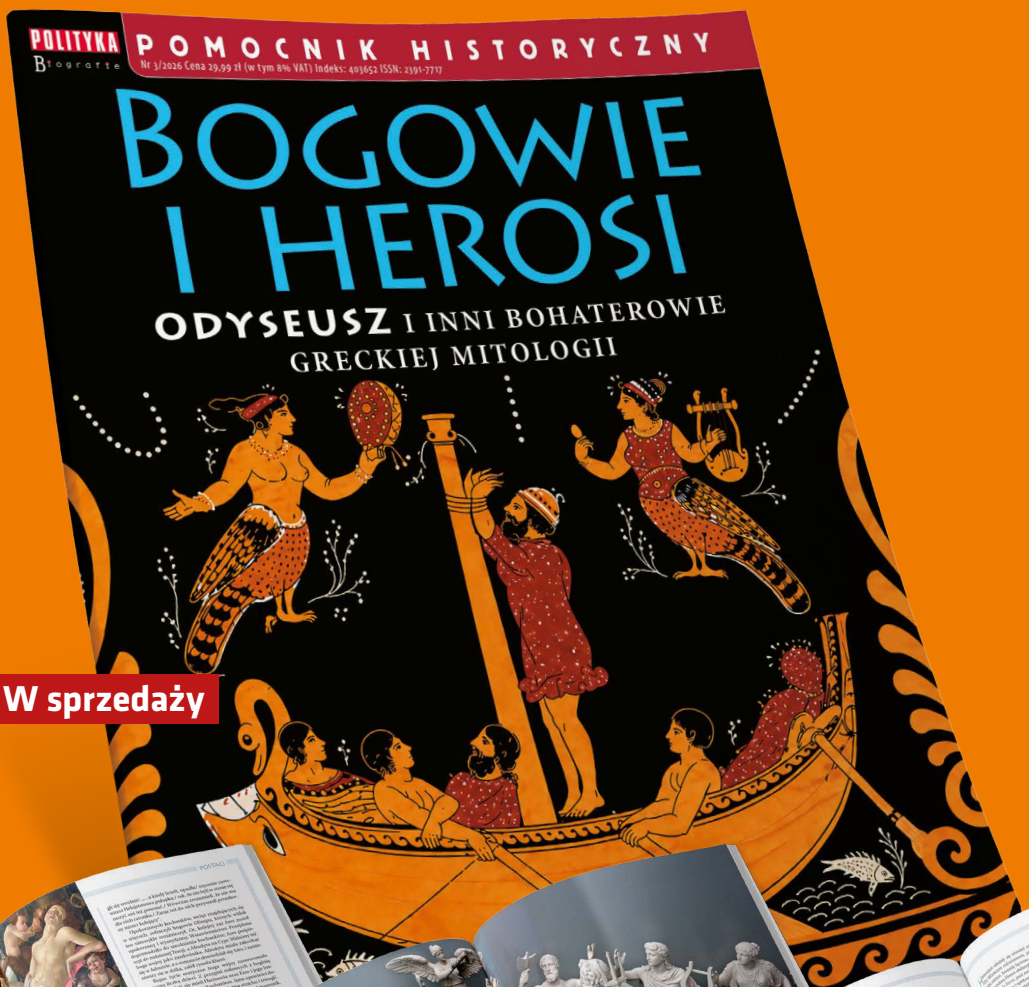

W sprzedaży



116 stron

KUP TERAZ

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 74925dea9a



© PAP/PAWEŁ SUPERNAK

16
Polska wojna o Ukrainę

Tematy tygodnia

12 Joanna Solska **Afera szpitalna: patologia systemu i jej polityczne konsekwencje**
16 Edwin Bendyk **Polska–Ukraina: pod napięciem**
20 Marcin Kołodziejczyk **Szczątki w Lutoryżu: co kryje się za makabryczną historią patomorfolożki z Podkarpacia**

Polityka

23 Mariusz Janicki **Zapomniane, przebaczone, czyli jak się przedawniają winy PiS**
26 Rafał Kalukin **Operacja: premier Czarnek**

Społeczeństwo

30 Zbigniew Borek **Nowe ojcostwo**
34 Rozmowa z prof. **Arkadiuszem Karwackim** o przemęczonych Polakach i tym, jak odpoczywać
38 Marcin Kołodziejczyk **Miecz dla Rydzyka**
41 Katarzyna Kaczorowska **Co mówią o kobietach ich paznokcie**

Rynek

46 Adam Grzeszak **Przemysł AI i jego ukryte koszty**
49 Marcin Piątek **Dlaczego PKP Cargo jest w tak fatalnej sytuacji**

Świat

52 Paweł Reszka, Timur Olevsky ROSJA **Wojna dociera do Rosjan**
55 Marcin Piątek MUNDIAL **Przemieszane reprezentacje**
58 Adam Dąbrowski WIELKA BRYTANIA **Tęsknota za idealną Europą**

Nauka/projektpulsar.pl

60 Robert Jurszo **Komar – cichy zabójca**
63 Andrzej Hołdys **Wojny i kryzysy widziane z kosmosu**

Historia

66 Tomasz Zalewski **USA: dzieje potęgi**
69 Prof. **Łukasz Niesiołowski-Spanò** o tym, jak Judejczycy stworzyli religię bez króla i kto naprawdę napisał Torę

Kultura

76 **Książki na wakacje – autorski przegląd POLITYKI**
80 Rozmowa z **Czesławem Siegiedą**, który fotografował polską społeczność w Wielkiej Brytanii po drugiej wojnie światowej
84 **Sandra Hüller** o aktorstwie i „Ojczyźnie"
87 Aneta Kyzioł **15. edycja Nagrody Architektonicznej POLITYKI**
88 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

94–97 • **Połówki urodzin** • **Kontrola w telefonie** • **Język gier** • **Raj na Seszelach** • **Prosecco na poważnie**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia • **72** Afisz • **89** Chutnik i Plebanek • **90** Orliński • **91** Hartman • **92** Mizerski • **92**, **98** Galeria POLITYKI • **93** Do i od redakcji • **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 74925dea9a

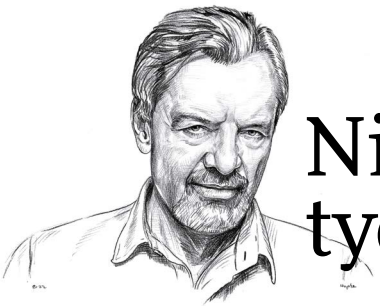

Nie marnujmy tych kryzysów

Jerzy Baczyński

Hipoteza jest taka, że Karol Nawrocki, ogłaszając po dwutygodniowej zwłoce decyzję o odebraniu prezydentowi Ukrainy Orderu Orła Białego, zareagował na spotkanie Tusk–Zełenski podczas szczytu Unii. Tam panowie mogli się dogadać, że jeszcze przed – lub już podczas zaplanowanej na ten tydzień w Gdańsku wielkiej Konferencji o Odbudowie Ukrainy (pisze o niej Edwin Bendyk na s. 16) – prezydent Zełenski złoży jakieś wyjaśnienie w bulwersującej Polaków sprawie nadania jednostce wojskowej imienia Bohaterów UPA. Choćby takie – jak słyszałem – że chodziło mu nie o UPA, a o „bohaterów UPA", a przecież zbrodniarzy mordujących ludność cywilną nie sposób uznać za bohaterów. „Groźba deeskalacji" konfliktu polsko-ukraińskiego odebrałaby Nawrockiemu szansę pokazania się w roli twardego obrońcy honoru narodowego, który – niczym sam Donald Trump – potrafi publicznie upokorzyć, przywołać do porządku aroganckiego niewdzięcznego prezydenta Ukrainy.

Mieliśmy tu, mamy, do czynienia z dość typowym mechanizmem wzajemnego nakręcania się nacjonalizmów, bardzo poręcznych w polityce wewnętrznej. Tym razem, rzeczywiście, zaczął Zełenski. Prof. Grzegorz Motyka, najwybitniejszy historyk rzezi wołyńskiej (także nasz autor), uważa, że Zełenski postąpił świadomie, szukając poparcia wśród swojej nacjonalistycznej prawicy, silnej zwłaszcza w armii. Prezydent Aleksander Kwaśniewski, który jako pierwszy polski przywódca mówił politykom niepodległej Ukrainy o popełnionym przez UPA ludobójstwie na Polakach, zwraca uwagę (w podkaście, który wspólnie nagraliśmy), że Ukraina buduje swoją państwowość i tożsamość narodową z tego, co ma, a nie ma lepszych bohaterów ani lepszej historii. Nieudane próby budowy państwa ukraińskiego zwykle przecież prowadziły do konfrontacji z sąsiadami dzielącymi te same „skrwawione ziemie".

Dziś ukraińska wspólnota jest budowana na skutecznym, bohaterskim oporze wobec rosyjskiej agresji i opresji (do tej opowieści zagarniana jest, niestety, także historia UPA), ale również „dumnej roli" obrońcy Europy, od której trzeba oczekiwać nie tylko wsparcia, ale i wdzięczności. A już na pewno nie paternalistycznej wyższości, jaką wobec Ukraińców tak chętnie demonstrują polska prawica i prezydent Nawrocki.

Ostatnie spektakularne sukcesy armii ukraińskiej w odwetowych atakach na Moskwę i Petersburg („Czarne deszcze", s. 52) niesłychanie podbudowały międzynarodową pozycję Ukrainy. Nawet Donald Trump na spotkaniu G7 w Evian przyłączył się do chóru uznania dla Ukrainy, a unijny szczyt potwierdził „niezachwiane poparcie" dla walki narodu ukraińskiego. Niewykluczone, że Zełenski (autor jego ciekawej politycznej biografii Zbigniew Parafianowicz określa go jako narcyza i cynika) – poczuł, że gra już w wyższej lidze i nie musi liczyć się specjalnie z opinią i historyczną wrażliwością Polaków. Dobrze więc, że Donald Tusk też zachował się asertywnie, deklarując na szczycie UE, że Polska nie przyjmie żadnych przyszłych uzgodnień pokojowych, w których nie będzie uczestniczyć.

Po aferze z „bohaterami UPA" mamy już chyba świadomość, że Ukraina nie jest łatwym partnerem, ale różnice po polskiej stronie polegają na sposobie reakcji: albo nakręcamy się w konflikcie historycznym i godnościowym – co preferują nacjonalistyczne prawice w obu krajach – albo szukamy równowagi interesów, zwłaszcza wobec wspólnego rosyjskiego zagrożenia. Polska ma tu silne (także siłowe) argumenty, bo na drodze Ukrainy do Unii Europejskiej możemy stawiać swoje warunki, nie tylko gospodarcze, ale i historyczne. Uregulowanie drażliwych kwestii z sąsiadami zawsze było jednym z wymogów przy akcesji do Unii. Więc tym bardziej, wbrew prawicy, powinno nam zależeć na „europeizowaniu" Ukrainy. Alternatywą jest pogrążanie się sąsiedniego i bratniego kraju w chaosie, powojennej kryminalizacji, nacjonalizmie. Więc rozmawiajmy, nie zmarnujmy tego kryzysu.

Pytanie: czy zmarnujemy drugi? Część polityków PiS i Konfederacji wyrażała pretensje do Karola Nawrockiego, że odbierając Zełenskiemu Orła, przykrył pięknie rozwijającą się „aferę Szpitala Południowego", a w każdym razie zmusił do rozdwojenia przekazu i dzielenia oburzenia. Sprawa młodego lekarza, który zarobił krocie na zawyżanych fakturach dla SOR, tylko potwierdza opisywane już przez nas niejednokrotnie patologie systemu wynagradzania lekarzy. Joanna Solska (na s. 12) przywołuje nazwiska innych lekarzy milionerów, także radnych, choć nie z KO jak dr Kacprzyk. To już oczywistość. Prawdziwym wizerunkowym i politycznym zagrożeniem dla KO jest rzekoma ścieżka VIP, ułatwiająca dostęp polityków koalicji do Szpitala Południowego.

Dowodów (jeszcze?) nie ma, ale to nie przeszkodziło rozpętać internetowego piekła. „Premier Czarnek" (więcej o nim na s. 26) pokazał plansze z twarzami czołowych polityków KO i „tylko pytaniem": czy korzystali z lewych dojść? Poseł Kmita rozścielał dywan przed szpitalem dla dygnitarzy KO (s. 6), inni żądali natychmiastowej dymisji prezydenta Trzaskowskiego lub referendum o jego odwołaniu, dymisji ministra Kierwińskiego oraz oczywiście rządu Donalda Tuska. Koalicja przypomniała o przywilejach, z jakich korzystali liderzy PiS, w tym Kaczyński czy Elżbieta Witek. Poziom jazgotu jest taki, że zapewne skończy się na szybkim uchwaleniu ustawy „lex Kacprzyk" dającej NFZ wgląd w realne zarobki konkretnych medyków. Na większą reformę dotyczącą systemu SOR, rozdzielenia prywatnej i publicznej ochrony zdrowia czy ograniczenia sieci szpitali powiatowych liczyć nie należy.

Polska polityka i zagraniczna, i wewnętrzna kołysze się w rytm (albo: algorytm) internetowych fal oburzenia. Rządzą dziś nami szybkie emocje, sondaże i szantaże. Pozostaje wiara, że ten teatr ma jakieś kulisy, gdzie jacyś rozsądni ludzie rozmawiają serio o interesie państwa. Ale mogę się mylić.

eprasa.pl 74925dea9a

Albatros travel

Albatros 40 lat

Peru Imperium Inków

5 obiadów i 2 kolacje w cenie

Wspaniała natura pośród której odkrywać będziemy fascynującą kulturę prekolumbijską w tym tajemnicze rysunki z Nazca czy zaginione miasto Inków – Machu Picchu.

Ta niezwykła podróż przez Peru prowadzi od kolonialnej Limy, Wysp Ballestas i pustynnej oazy Huacachina po tajemnicze linie Nazca oraz majestatyczne Andy. Odkryjemy kulturę ludów jeziora Titicaca, odwiedzimy wyspy Uros i Taquile, przejedziemy słynną trasą kolejową do Cusco, a zwieńczeniem wyprawy będzie legendarne Machu Picchu.

17 dni
Wyloty z Warszawy
12/10 2026
10/02 2027
od **20.998,-**

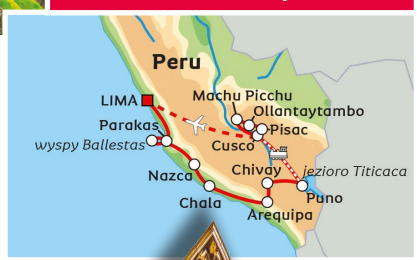



2 posiłki dzienne

Wielka Bałkańska Przygoda

Historyczna podróż przez 6 bałkańskich krajów dawnej Jugosławii od Serbii przez Bośnię i Hercegowinę, Chorwację, Czarnogórę i Kosowo aż do Macedonii Północnej.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Belgrad. Przyjazd do stolicy Serbii. **Dz. 2** Belgrad. Zwiedzanie miasta, w tym Fort Kalemegdan i Muzeum Jugosławii. **Dz. 3** Belgrad – Sarajewo. Sremska Metrovica i rezerwat przyrody Zasavica. **Dz. 4** Sarajewo, Bośnia i Hercegowina. Zwiedzanie miasta, w tym Muzeum Tunelu i Starego miasta. **Dz. 5** Sarajewo – Jablanica – Mostar. Muzeum w Jablanicy i zwiedzanie miasta Mostar. **Dz. 6** Mostar – Dubrownik – Trebinje. Zwiedzanie Dubrownika i Trebinje. **Dz. 7** Trebinje – Kotor – Cetinje – Podgorica. Piesza wycieczka po Kotorze, przejazd przez góry do Njigusi i królewskiego miasta Cetinje. **Dz. 8** Podgorica – Kolasin. Zwiedzanie miasta, podróż do Kolasina i wizyta w P.N. Biogradska Góra. **Dz. 9** Kolasin – Prisztina, Kosowo. Czas wolny w Kolasinie, pomnik Kosowa i przyjazd do Prisztiny. **Dz. 10** Prisztina – Skopje. Klasztor Gracanica i rejs w wąwozie Matka. **Dz. 11** Skopje. Zwiedzanie miasta i czas wolny. **Dz. 12** Skopje – Warszawa.

12 dni | Wylot z Warszawy 20/09 2026 | od **7.998,-**



2 posiłki dzienne

Sławna Wenecja i nieznane Veneto

U stóp Dolomitów leży włoski region Veneto (Wenecja Euganejska) z miastami takimi jak Padwa, Vicenza oraz oczywiście Wenecja – nazywana także Królową Lagun.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Wenecji. Spacer po Jesolo. **Dz. 2** Zwiedzanie Wenecji. Przepłynięcie łodzią na Plac św. Marka, spacer po mieście. **Dz. 3** Bassano del Grappa – Włoska grappa. Most Ponte Vecchio. Prosecco w Valdobbiadene. **Dz. 4** Kolorowa wyspa Burano, wyspa szklarzy Murano i Wenecja. **Dz. 5** Padwa i Vicenza. **Dz. 6** Czas wolny. **Dz. 7** Jesolo – Wenecja. Powrót do Warszawy.

7 dni | Wylot z Warszawy 15/09 2026 | od **4.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL23**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 74925dea9a

Plan: grzejemy!



Wiadomość od ważnej osoby w PiS: „Ten lekarz milioner grzeje bardzo. Ludziom odwołują wizyty, coraz trudniej dostać się do lekarza, a ten szczyl ma 1,6 mln zł w rok. Do tego pół miliona w rok w innych placówkach. A politycy rządzący jak baronowie bez kolejki… to jest dla KO katastrofa polityczna". Za to PiS zamierza na tym sporo ugrać. Zarządzono poszukiwanie kwitów na innych radnych lekarzy z KO i kolejnych na Dawida Kacprzyka, 28-letniego lekarza bez specjalizacji, który swoje ogromne zarobki ujawnił jako radny warszawskiego Ursusa w oświadczeniu majątkowym. – *Premier myślał, że wyrzuci milionera i sprawa ucichnie, nie pozwolimy na to* – słyszymy w PiS.

Były premier Mateusz Morawiecki przedstawił kilka propozycji walki z tego typu patologiami. Na Nowogrodzkiej zaś przyznają, że niczego z władzami partii nie konsultował, a to tu przecież powstaje duży „plan na zdrowie". PiS chce zakazać łączenia pracy w publicznej i prywatnej ochronie zdrowia. Na razie jednak widać happeningi – jak ten przed Szpitalem Południowym, gdzie krótko po wybuchu afery wystąpili posłowie: Anna Kwiecień (przez lata związana z radomskimi szpitalem) i **Łukasz Kmita**. Poseł rozwinął przed wejściem na SOR czerwony dywan i ustawił tablicę: „Politycy PO bez kolejki". Weszli też do Ministerstwa Zdrowia z kontrolą poselską, by – jak mówił Kmita – „Polacy poznali prawdę o aferze VIP-SOR".

Dlaczego w tej sprawie Kaczyński postawił właśnie na Kmitę (rocznik 1985)? – *Prezes uważa, że jest on całkiem sprawny retorycznie i bojowy. Łukasz zapisał się do Stowarzyszenia Morawieckiego i Kaczyński chce go trochę od byłego premiera odciągnąć. Dostał też to eksponowane zadanie trochę na pocieszenie, że nie wystawimy go w wyborach na prezydenta Krakowa* – mówi osoba związana z Nowogrodzką. To ostatnie brzmi trochę jak żart, bo Kmita był już kandydatem PiS na prezydenta w tym mieście, ale nie wszedł nawet do drugiej tury. W 2024 r. Kaczyński podjął kilka prób wsadzenia Kmity na fotel marszałka województwa małopolskiego, ale sejmikowi radni postawili się prezesowi i na niego nie zagłosowali. Sytuacja wywołała poważny konflikt wewnątrz partii. Dwa lata temu Kmita został przewodniczącym zarządu PiS w województwie małopolskim oraz przewodniczącym PiS w okręgu krakowskim. Kaczyński dopytywany, dlaczego poseł Kmita nie podoba się lokalnym działaczom, tłumaczył: „Czasem nowi ludzie, tacy, którzy cokolwiek, no, powiedzmy sobie, z wyższej półki w sensie intelektualnym, niektórym się nie podobają". (DĄB.)

Więcej o sprawie czytaj na s. 12.

Egzekucja w Białej Podlaskiej



Malarz, karykaturzysta, aktywista **Siemion Skriepiecki** został zastrzelony o poranku 15 czerwca w Białej Podlaskiej. Był rosyjskim uchodźcą, który do Polski uciekł przed reżimem Putina. W naszym kraju przebywał od 2021 r. i – jak się okazało – nie był tu bezpieczny.

Zabójca najpierw wystrzelił w plecy. Potem dobił ranną ofiarę strzałami w głowę. Zamach był zuchwały. Doszło do niego na osiedlowym parkingu, gdzie mieszkał artysta. Policja rozpoczęła obławę. Złapano dwóch Białorusinów, którzy przebywali w pobliżu białoruskiego konsulatu. Okazało się jednak, że trop był fałszywy. Dopiero po trzech dniach Donald Tusk poinformował o kolejnym zatrzymaniu – chodzi o mężczyznę, który posługiwał się paszportem Gruzji. Jego pojmanie miało być efektem działań policji i ABW. Na razie trudno przesądzać, czy tym razem na pewno trafiono na trop prawdziwego kilera.

Oczywiste jest, że doszło do egzekucji. Pierwszy motyw, jaki przychodzi do głowy, to zemsta za działalność publiczną ofiary. 44-letni artysta, występujący pod pseudonimem Siemion Skriepiecki (właściwe nazwisko Robert Kuzowkow), słynął z akcji wyśmiewających władze Rosji. Krytykował także inwazję na Ukrainę. Był m.in. autorem karykatur Putina. Rosyjski prezydent występował na nich np. w objęciach Stalina. Lubił też żartować z przywódcy Czeczenii Ramzana Kadyrowa i jego syna Adama – rysował ich ze świńskimi ryjami. Na jednym z jego obrazów Putin uprawia seks z Kadyrowem.

Podczas ostatniego performansu w Berlinie wyciągał rosyjską flagę z tylnej części ciała i wyrzucał ją do śmietnika. „Słyszałem, że mój występ bardzo spodobał się rosyjskim patriotom" – kpił. Skriepiecki dostawał często pogróżki. Grozili mu ludzie związani z Kadyrowem, który jest słynny z tego, że zleca pobicia albo zabójstwa tych, którzy zaleźli mu za skórę. W Rosji mało kto odważa się wejść w konflikt z przywódcą Czeczenii – bo wiadomo, że ma on długie ręce. Czy sięgają one aż do Białej Podlaskiej?

Rosja w ostatnim czasie dokonywała wielu agresywnych działań na terenie naszego kraju. Polskie służby rozbiły m.in. opłaconą przez rosyjski wywiad siatkę zbierającą informacje o infrastrukturze krytycznej i przygotowującą akty dywersji. Doszło do kilku podpaleń (m.in. hali targowej przy Marywilskiej w Warszawie). Jesteśmy też – zdaniem ministra cyfryzacji Krzysztofa Gawkowskiego – najbardziej narażonym na cyberataki krajem UE. (RESZ)

© PAP/RADEK PIETRUSZKA, STEFANO MAZZOLA/GETTY IMAGES, X.COM

eprasa.pl 74925dea9a

Niemcy go bili, Niemcy się śmiali

Robert Bąkiewicz, koncesjonowany narodowiec PiS i gwiazda Marszu Niepodległości, wybrał się w ubiegłym tygodniu do Berlina. Zabrał ze sobą za granicę kilkunastu kompanów z tzw. Ruchu Obrony Granic, krzyż oraz tabliczki obwieszczające, że Niemcy mordowali oraz grabili Polaków. Co jest oczywiście prawdą, ale nadmieńmy, że jest to prawda od wielu lat znana oraz całkiem dobrze i wyczerpująco opisana. Sens wyprawy Bąkiewicza jeszcze bardziej gmatwa fakt, że z krzyżem i tabliczkami udał się w okolice berlińskiego monumentu upamiętniającego polskie ofiary nazizmu. Chciał więc Bąkiewicz przypomnieć o ofiarach Niemców, o których sami Niemcy w tym konkretnym miejscu zdążyli już przypomnieć przed nim. A ponieważ na swój happening w miejscu pamięci nie miał pozwolenia i nie zastosował się do poleceń funkcjonariuszy, został profesjonalnie spacyfikowany przez niemiecką policję. Na żywo pokazywała to ekipa telewizji Republika, która – zapewne zupełnie przypadkowo – przechadzała się w pobliżu.



Relacja z zajścia samego Bąkiewicza zatrważa. Niemcy mieli go zamknąć „w takiej klatce bez tlenu", bić, a przy tym wkładać niemieckie palce do jego polskiego nosa. „Po prostu śmiali się Niemcy" – konstatował ze smutkiem Bąkiewicz podczas występu w Republice. Warto przy tej okazji zauważyć ewolucję podejścia Roberta Bąkiewicza do przemocy: kiedy w 2020 r. spychał ze schodów protestującą aktywistkę Strajku Kobiet, nie był aż tak wrażliwym przeciwnikiem agresji fizycznej.

W obronie poniewieranego i poniżanego przez Niemców kolegi natychmiast stanęli politycy PiS. Wirtualny premier Przemysław Czarnek potępił wraży atak z trybuny sejmowej, domagając się wezwania na dywanik niemieckiego ambasadora. Prezes Kaczyński obwieścił, że niemiecki palec w nosie Bąkiewicza to zapowiedź noża wbitego w polskie plecy przez potomków nazistów. A poseł PiS Mariusz Gosek wezwał do działania wszystkich patriotów: „Ruszamy na Berlin!" – napisał na platformie X. Zwłaszcza to ostatnie oświadczenie wydaje się odrobinę nieprzemyślane, biorąc pod uwagę, co spotkało w Berlinie narodowca Bąkiewicza.

Niektórzy politycy PiS zaczęli anonimowo narzekać w mediach, że ich partia koncentruje się na Bąkiewiczu, zamiast piętnować aferę szpitalną KO: „Zamiast jechać po koalicji, która ma największy w tej kadencji skandal, my promujemy zadymiarzy" – żalił się jeden z nich na portalu WP. Są to jednak żale niesłuszne, ponieważ prezes Kaczyński jak zwykle myśli strategicznie: afery przeminą, za to Niemcy zostaną. A nie jest też wykluczone, że i zadymiarze jeszcze się kiedyś partii przydadzą. (DAN.)

REKLAMA

Aplikacja POLITYKA

Czytaj, słuchaj, oglądaj



Teksty tygodnika, rzetelne analizy

Słuchaj w biegu: podkasty i artykuły

Codziennie nowe treści

POBIERZ W Google play

POBIERZ W App Store

eprasa.pl 74925dea9a

TYDZIEŃ W POLITYCE

Na rolki i na łopatki



Karolina Lewicka

Dziennikarka Radia TOK FM, wykładowczyni Collegium Civitas, politolożka

To była rzecz o degradacji amerykańskiej kultury i demokracji. Opublikowany 40 lat temu esej „Zabawić się na śmierć", autorstwa socjologa Neila Postmana, był nie tylko diagnozą tego, co robiła z rzeczywistością triumfująca wówczas telewizja, ale i ostrzeżeniem, także przed kolonizowaniem polityki przez przemysł rozrywkowy. Nie brakło głosów, że ta wizja upadku jest zbyt jaskrawa, ale walki w klatce przed Białym Domem raczej potwierdzają katastroficzne prognozy. Polityczny strumień komunikatów, przepływający przez nasze już nie telewizyjne, ale przede wszystkim smartfonowe ekrany, ma wątpliwą wartość poznawczą i nader szybko traci ważność.

Weźmy na tapet niedawną aktywność na portalu X dwóch panów: Radosława Sikorskiego i Marcina Przydacza, którzy uznali, że warto zorganizować sondy na temat tego, co przywieźć z Waszyngtonu szefowi MSZ (makietkę Białego Domu, a może pozdrowienia od ogrodnika), oraz czy Karol Nawrocki ma upomnieć się o Ziobrę, czy też prosić dlań o azyl? Obaj doszli widać do wniosku, że tak to dowcipne, że boki zrywać. Przy czym uprawianiu tego typu działalności towarzyszą jednocześnie zarzuty formułowane wobec tej drugiej strony, że to „przedszkole" i „piaskownica". Nikt jednak łopatek nie odkłada.

Dzień po dniu, w imię zasięgów i rzekomej „fajności", politycy odzierają się z powagi. Gravitas to była jedna z rzymskich cnót, wielce pożądana u przywódców, ale też tworząca po prostu – razem z samodyscypliną, pracowitością, lojalnością czy uczciwością – coś, co nazywamy charakterem. Śmiem przypuszczać, że właściwie ukształtowany pozwala uchronić się przed pokusą brania udziału w walkach w kisielu. Z drugiej strony – przecież to łatwe, najłatwiejsze pod słońcem, ta produkcja trywialnej rozrywki politycznej dla najbardziej zaangażowanego elektoratu. Tu słowem symbolem jest czasownik „zaorać". Chodzi tylko o to, by zaorać wroga. Swoją drogą, od razu przypomina się Ryszard Kalisz ze swoim pojęciem „polityki agrarnej", czy kto kogo do ziemi przyciśnie.

Gdy z kolei mamy do czynienia z wizerunkowym kryzysem, skandalem i oburzoną opinią publiczną, zawsze można wybrnąć, w ramach ogólnego zinfantylizowania, frazą: „A Jaś, proszę pani, puścił bąka głośniej!". To widzimy przy okazji afery z obrotnym doktorem, kiedy szpitalny salonik VIP próbuje się przykryć respiratorami. Także reakcje polityczne bywają jak te u pięciolatka, któremu odmówiono zakupu batonika. Vide: pan prezydent, formalnie rzecz ujmując, powinna to być poważna figura, ale nie jest i stąd całe zamieszanie wokół Orderu Orła Białego.

I, jeszcze na drugą nóżkę, niby zabawne rolki, które kto żyw, ten produkuje, na czele z szefem rządu. Ponoć trudno mieć tu pretensje, bo czasy takie, a nie inne, młodzież lekkich właśnie komunikatów ma pożądać. Ten mechanizm, zresztą dwie dekady przed Postmanem, opisała Antonina Kłoskowska: masy narzucają swe gusty producentom, treści są więc dostosowywane do owego średniego poziomu mas, ale też producenci, by osiągnąć jak największe zyski, demoralizują gusty mas, podsuwając im treści prymitywne i wulgarne. Wszystko to wiemy, ale mimo to wciąż chciałoby się zakrzyknąć: Niech ktoś zatrzyma tę karuzelę śmiechu!

Proboszcz tak, biskup nie



Polacy bardziej ufają proboszczom niż kościelnej hierarchii, a szeregowi księża i świeccy są zaskakująco zgodni w wielu kluczowych sprawach dotyczących Kościoła – wynika z raportu warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. „Dwa brzegi jednej rzeki. Świeccy i duchowni wobec Kościoła katolickiego w Polsce" – taki raport wydał warszawski KIK z okazji swojego 70-lecia. To środowisko zasłużone i dla Kościoła (chce go otwierać na świat i przybliżać do ludzi), i dla demokracji (jeden z liderów KIK-u Tadeusz Mazowiecki został pierwszym premierem wolnej Polski). KIK prowadzi projekty społeczne, m.in. na rzecz migrantów i uchodźców, publikuje własną prasę i raporty. Najnowszy z nich dotyczy postaw Polaków wobec wiary i Kościoła.

– *Instytucjonalny Kościół mówi do całego społeczeństwa, więc powinien to społeczeństwo znać. I wiedzieć, jak ono postrzega Kościół* – mówi Jakub Kiersnowski, prezes warszawskiego KIK-u. A Polacy nie mają wątpliwości, co najbardziej szkodzi dziś Kościołowi. Wskazują trzy główne problemy: pedofilię i jej tuszowanie, uwikłanie w politykę oraz przepych i nieprzejrzystość finansową. Duchowni są tych trudności świadomi i – jak wynika z badań – chcą zmian, niekiedy nawet mocniej niż wierni.

Badania były prowadzone na reprezentatywnej próbie 2 tys. osób świeckich powyżej 18. roku życia, a także – 475 księży i zakonników (zaproszono 1,9 tys., ale trzy czwarte odmówiło). – *Wyniki wysłaliśmy do wszystkich arcybiskupów. Sześciu się z nami spotkało, byli bardzo zainteresowani częścią dotyczącą księży* – wspomina Kiersnowski. Żaden biskup nie zdecydował się jednak na dalsze rozmowy czy warsztaty. Choć badania przeprowadzono w 2022 r., pozostają jedynym tak szerokim porównaniem opinii świeckich i duchownych.

Wynika z nich także, że Kościół pozostaje instytucją zamkniętą, funkcjonującą w innej rzeczywistości informacyjnej niż większość Polaków; wprawdzie duchowni i świeccy czytają te same portale ogólnoinformacyjne, ale – jak dowodzi raport – „przepaść pojawia się w mediach niszowych: PCh24 (Polonia Christiana) czyta regularnie 29 proc. duchownych i zaledwie 2 proc. świeckich. Duchowni żyją w informacyjnym świecie, w którym Kościół jest atakowany z zewnątrz; świeccy – w świecie, w którym Kościół nie potrafi się zmienić. Obie narracje są częściowo prawdziwe, ale prowadzą do wzajemnego niezrozumienia". (JHP)

© MAREK BEDNARZ/EAST NEWS

eprasa.pl 74925dea9a



L'ORÉAL GROUPE

Poznaj nasze produkty w wersji refill

eprasa.pl 74925dea9a

Nie-pokój wersalski

W Szwajcarii rozpoczęły się amerykańsko-irańskie rozmowy pokojowe, choć obie strony twierdzą, że to ci drudzy złamali już wstępne warunki negocjacji.



Od lewej: **wiceprezydent USA J.D. Vance i mediatorzy: premier Pakistanu Szehbaz Szarif i premier Kataru Mohamed as-Sani, którzy ze stroną irańską rozmawiają osobno**

Mógł to być najkrótszy pokój wersalski w historii. W środę 17 czerwca Donald Trump podpisał z Irańczykami coś w rodzaju porozumienia, nazywanego czasem przez prezydenta USA „pokojem". Miniuroczystość – bez udziału Irańczyków – odbyła się w podparyskim Wersalu, gdzie w 1919 r. podpisano pokój kończący pierwszą wojnę światową, który przetrwał tylko 20 lat. Ten wytrzymał trzy dni, bo już w sobotę 20 czerwca Irańczycy, wskazując na nowe izraelskie ataki na Liban, czyli złamanie podstawowego warunku „trumpowskiego pokoju", zamknęli dopiero co otwartą cieśninę Ormuz. Jednak już w nocy z niedzieli na poniedziałek obie strony wyszły z kolejnych rozmów w szwajcarskim kurorcie Bürgenstock, opowiadając o „zachęcającym postępie".

Tu należy się ostrzeżenie: Iran i Stany Zjednoczone prowadzą z sobą wojnę nie tylko kinetyczną, ale też informacyjną. Celują w tym niektórzy przywódcy mający nieoczywiste podejście do prawdy, dlatego nie wszystkie „przełomowe decyzje" i zapowiedzi „totalnej anihilacji", wypowiadane naprzemiennie z deklaracjami o „wiecznym pokoju", warto brać na serio. I z tej perspektywy powinniśmy patrzeć na wydarzenia ostatnich dni.

Szwajcarskie rozmowy, które mają potrwać do końca tego tygodnia, to wynik porozumienia z 17 czerwca (Irańczycy twierdzą, że ono już nie obowiązuje, a mimo to biorą udział w negocjacjach). Porozumienie ma dwie części. Pierwsza zakłada przedłużenie chwiejącego się zawieszenia broni z 8 kwietnia na kolejne 60 dni. Ma ono dotyczyć wszystkich frontów, w tym libańskiego. Strony zobowiązały się też do natychmiastowego odblokowania cieśniny Ormuz, przez którą przed wojną przepływało ok. 20 proc. całej transportowanej na świecie ropy naftowej i gazu ziemnego. Jednocześnie Waszyngton miał od razu znieść sankcje na eksport irańskich węglowodorów.

Dopiero w takich okolicznościach miały się rozpocząć trwające maksymalnie 60 dni rozmowy o szerszym układzie, przede wszystkim o przyszłości irańskiego programu nuklearnego. Przy czym minimalne oczekiwania Amerykanów były takie, że Iran zniszczy wysoko wzbogacony uran, z którego stosunkowo szybko można zbudować bombę, a zrobi to u siebie w kraju, ale pod okiem ekspertów z Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej. Niejako w zamian Trump zadeklarował, że powstanie Fundusz Odbudowy (Iranu) wart 300 mld dol., na którą to sumę złożą się nie Amerykanie, lecz głównie państwa z Zatoki Perskiej, które o tym pomyśle dowiedziały się ostatnie. Na wszystkie te tematy mieli rozmawiać w niedzielę w Szwajcarii Irańczycy i Amerykanie. Jednak wcześniej wydarzyły się kolejne „przełomy".

Izrael, którego Amerykanie nie włączyli w negocjacje z Teheranem, nie zamierza odpuszczać Hezbollahowi i już dzień po „pokoju wersalskim" zaczął kolejne ataki na siedziby tej organizacji w południowym Libanie. Determinacja Izraelczyków wynika nie tylko z zagrożenia, jakie Hezbollah stanowi dla północnej części ich kraju, ale też ze skomplikowanej sytuacji premiera Beniamina Netanjahu, który bez symbolicznego zwycięstwa w Libanie prawdopodobnie jesienią straci władzę, a być może i wolność w związku z procesami, jakie toczą się przeciw niemu.

Sprawy Libanu nie zamierza odpuścić również Iran. Hezbollah to jego dziecko i wasal – kluczowe narzędzie regionalnej polityki, a przede wszystkim presji na Izrael. Pod pretekstem ochrony mniejszości szyickiej w Libanie Teheran broni swoich wpływów. Gdy więc Izrael już po „pokoju wersalskim" kolejny raz uderzył na Liban, ewidentnie łamiąc jego warunki, Irańczycy ponownie zamknęli Ormuz. Widać to w liczbach publikowanych przez morskich ekspertów z instytutu KPLER: w czwartek 18 czerwca, czyli dzień po Wersalu, liczba statków, które przeszły przez cieśninę, wzrosła od praktycznie zera do 25, w piątek było ich już 35, a w sobotę – czyli po ponownym zamknięciu przez Iran – 12 (przed wojną przez Ormuz przechodziło ok. 100 statków dziennie).

A teraz kolejny „twist". Amerykańska marynarka – próbując zapewne ratować sytuację – twierdziła w weekend, że te liczby są o wiele wyższe i przejście jest w zasadzie niezakłócone. Trump zaś napisał na platformie Truth Social: „Iran musi natychmiast powstrzymać swoich wysoko opłacanych PODWŁADNYCH w Libanie przed wyrządzaniem szkód. Jeśli tego nie zrobią, uderzymy w Iran ponownie z wielką siłą, tak jak w zeszłym tygodniu, tylko mocniej!!!". Pomijając fakt, że wersalski pokój zakazuje grożenia drugiej stronie, to oskarżanie bombardowanego przez Izrael Hezbollahu o „wyrządzanie szkód" w sytuacji, gdy armia izraelska systematycznie równa z ziemią południowy Liban, brzmi osobliwie. Ale dla Trumpa to był tylko wstęp.

W niedzielnej rozmowie z Fox News, gdy w Szwajcarii Irańczycy i Amerykanie siadali do rozmów, prezydent USA zagroził przejęciem cieśniny i najwyraźniej groził porwaniem irańskich negocjatorów, mówiąc: „Zamknijcie ją, a nie będziecie mieli kraju. Nawet nie wrócicie do swojego pieprzonego kraju". Gdy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, negocjacje w Szwajcarii trwały, niezrażone uciekającą rzeczywistością.

ŁUKASZ WÓJCIK

© NATHAN HOWARD-POOL/GETTY IMAGES, RYAN JENKINSON/GETTY IMAGES, MATTHEW ABBOTT /THE NEW YORK TIMES

eprasa.pl 74925dea9a

Burnham za Starmera?



Premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer zrezygnował w poniedziałek ze stanowiska pod naciskiem posłów z własnej partii po katastrofalnej porażce labourzystów w wyborach lokalnych w maju. Miał stanowić wytchnienie po 14 latach nieustannych politycznych dramatów rządów konserwatywnych, ale nie przezwyciężył ponurej atmosfery w kraju związanej z inflacją, katastrofalnym stanem usług publicznych, a teraz – wojną w Iranie. Zresztą kraj miał czterech premierów w ciągu ostatnich czterech lat: Borisa Johnsona, Liz Truss, Rishiego Sunaka i – od lipca 2024 r. – Starmera. Znany historyk rządów Anthony Seldon zwrócił uwagę, że żadna organizacja, żaden rząd ani państwo nie są w stanie dobrze funkcjonować przy takiej rotacji na szczycie.

Kolejnym premierem – wcześniej musi stanąć na czele partii – zostanie najpewniej 56-letni **Andy Burnham**, który zdominował scenę medialną, gdy z łatwością wygrał wybory uzupełniające do Izby Gmin (zasiadanie w niej jest warunkiem wejścia do rządu). Przez ostatnie dziewięć lat był burmistrzem Wielkiego Manchesteru, postrzeganym jako rzecznik zbiedniałej północnej Anglii, przeciwnik centralizacji władzy w Londynie i obrońca usług publicznych. Jego kariera wiąże się z dylematami wokół postawy lewicy, słabnącej także w innych krajach europejskich: czy ma reprezentować tradycyjną klasę robotniczą, czy szeroką koalicję klasy średniej i mieszkańców wielkich miast.

Dwa wydarzenia zbudowały reputację Burnhama. Po pierwsze, wieloletnia walka o prawdę w sprawie katastrofy na stadionie Hillsborough, w której zginęło 97 kibiców Liverpoolu podczas półfinału Pucharu Anglii w 1989 r. Rodziny ofiar, wspierane przez Burnhama, prowadziły wieloletnią kampanię na rzecz rzetelnego zbadania sprawy, choć temat nie był modny ani politycznie opłacalny. Po drugie, ostry sprzeciw wobec Londynu, kiedy premier Johnson narzucał ograniczenia dla Manchesteru w pandemii, a nie wsparł miasta finansowo. Mieszkańcy północnej Anglii docenili, że ktoś wreszcie powiedział: „Nie będziecie traktować nas jak prowincji".

Nie jest błyskotliwy; ani z niego celebryta, ani wielki ideolog. Ma jednak opinię polityka rzeczowego, który stoi po stronie „zwykłych ludzi". Czy to wystarczy na dociągnięcie do 2029 r., czyli kolejnych wyborów parlamentarnych, czy też Wielka Brytania nie wykręci się z karuzeli stanowisk? MO

O dziesiątej rocznicy decyzji o brexicie s. 58



Australia pęka

Odkąd w grudniu Australia wprowadziła nakaz, aby popularne media społecznościowe dozwolone były od 16 lat, kraj ten przykuwa uwagę rosnącej grupy naśladowców. Według OECD co najmniej 25 państw wprowadziło podobne ograniczenia lub chce to wkrótce zrobić. Ostatnie na tej liście to Malezja, Zjednoczone Emiraty Arabskie i Wielka Brytania, zawansowane są m.in. Dania, Hiszpania, Portugalia, Grecja, Francja i Niderlandy, a w kilku stanach USA trwają batalie sądowe.

Trzeba od razu powiedzieć, że doświadczenia Australii, gdzie młodzieży do lat 16 zabroniono korzystania z dziesięciu czołowych platform, nie są zbyt zachęcające. Według eSafety Commission, australijskiej komisji ds. bezpieczeństwa elektronicznego, 70 proc. rodziców, których dzieci miały już konta, stwierdziło, że mimo restrykcji nadal ich używają. A te, którym z powodu wieku je zamknięto, nie miały kłopotu z uruchomieniem ich na nowo. Wiele przeniosło się do aplikacji rodzeństwa i rodziców (bo daleko nie wszyscy wsparli zakaz). Wśród młodych powstał nowy rodzaj sportu – oszukiwanie systemu. A ten okazał się dość łatwy do sforsowania, jakby dostawcom niezbyt zależało na wypełnianiu zaleceń. Komisja wszczęła dochodzenia dotyczące Facebooka, Instagrama, Snapchata, TikToka i YouTube'a. Ciekawe, jak się potoczą (opornym grozi kara równowartości 130 mln zł).

Ogólnie można stwierdzić, że nie ma już szans, żeby pokolenie 13–15-latków odspawać od smartfonów. Większe nadzieje można wiązać z młodszymi. To trochę jak z operacjami antypapierosowymi. A największy praktyczny problem to prosty, bezpieczny i skuteczny system weryfikacji wieku. Dobry byłyby jednolity front i wspólne rozwiązania; nad takimi dla całej Unii Europejskiej pracuje Bruksela, ale to żmudna droga i wielu – pod presją społeczną – chce iść swoją drogą (jak Polska). Brytyjska ministra technologii Liz Kendall po wizycie studialnej w Australii zapowiedziała „wiodące na świecie blokady szkodliwych funkcji" i moc zabezpieczeń, również dotyczących gier komputerowych i chatbotów AI. Premier Norwegii Jonas Gahr zapowiedział zakaz korzystania ze sztucznej inteligencji w szkołach podstawowych i znaczne ograniczenie w średnich. Otwiera się nowy front. WP

eprasa.pl 74925dea9a

Bogaci lekarze w

Oświadczenie majątkowe radnego Dawida Kacprzyka to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Mamy informacje o jeszcze większych milionowych zarobkach innych radnych lekarzy. Generalnie, system płac w ochronie zdrowia ma liczne cechy patologii. I niewielkie szanse na terapię.



ILUSTRACJA **BARTEK TROJANOWSKI**

eprasa.pl 74925dea9a

biednych szpitalach

JOANNA SOLSKA

Najpierw pracę stracił sam Kacprzyk, koordynator SOR, który zarobił w Szpitalu Południowym w 2025 r. 1,7 mln zł, pracując świątek piątek po kilkanaście godzin dziennie. Zaraz potem poleciały głowy zarządu szpitala, a następnego dnia prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski zapowiedział, że w radach nadzorczych podległych mu placówek nie będą już zasiadać politycy. Do Warszawy należy kilka szpitali miejskich, ale samorządowych szpitali w kraju jest kilkaset. Inni apolityczności rad ani zarządów nie deklarują.

Dopiero po wybuchu afery dr Kacprzyk (lat 29, jeszcze bez specjalizacji) w te pędy złożył korektę do 33 wystawionych faktur, zwracając szpitalowi 500 tys. zł. Wcześniej nikt z jego szefów nie zorientował się, że szpital płaci lekarzowi za większą liczbę godzin, niż ten faktycznie spędził w szpitalu. Nie wiedzieli też – jak twierdzą – że zorganizował samowolnie pomieszczenie, w którym mieli czekać na badanie poza kolejką partyjni koledzy Kacprzyka. Młody doktor stracił więc pieniądze, pracę i legitymację partyjną, co może spowodować konieczność pozbycia się świeżo nabytego Porsche.

Afera Kacprzyka to dla opozycji polityczne złoto, choć media odświeżają m.in. sprawę Elżbiety Witek, która jako marszałkini Sejmu ulokowała swego męża na najdroższym oddziale intensywnej terapii, zamiast w hospicjum, mimo że na żadną poprawę jego zdrowia już nie można było liczyć. Okazało się także, że sygnalista, który wywołał „aferę Kacprzyka", to dr Emil Jędrzejowski, z którym Szpital Południowy jest w sporze prawnym, żądając od niego zwrotu ponad pół miliona złotych za „fikcyjne dyżury i zabiegi". Dokładnie jak dr Kacprzyk, z którym Jędrzejowski był w ostrym konflikcie. Nadto dr Jędrzejowski miał się ubiegać u prezydenta Warszawy (jak podaje „Gazeta Wyborcza") o darmowy przydział działki pod budowę prywatnej kliniki sportowej. Działki nie otrzymał. Ale, pomijając już motywy „sygnalisty", potwierdził on, także swoją osobą, jak łatwo jest pompować prywatne zarobki w publicznych szpitalach. I że nie ma to przyczynowego związku z obecnie rządzącą ekipą. Jeśli sprawdzić oświadczenia majątkowe radnych lekarzy sprzed kilku lat, z czasów rządów PiS, były nawet jeszcze bardziej bulwersujące. Nikt jednak wtedy patologią w publicznym lecznictwie się nie interesował.

Na przykład 4,3 mln zł w 2021 r. zainkasował Robert Górski, radny (tylko oni ze swoich dochodów muszą się spowiadać publicznie) Zielonej Góry, znany także z tego, że jeszcze do niedawna bardzo wspierał publicznie posła PiS Łukasza Mejzę. Zielona Razem, czyli ugrupowanie, które reprezentuje, formalnie apolityczne (coś jak Bezpartyjni Samorządowcy), faktycznie w głosowaniach popierało zwykle PiS. Teraz widoczne jest, że Zielona Razem sympatyzuje z partią Grzegorza Brauna – twierdzi dziennikarz z Zielonej Góry.

Radny Górski, inaczej niż Kacprzyk, nie jeździł Porsche, tylko Renault, więc nikt mu w oświadczenie nie zaglądał. Za zasiadanie w Radzie Miasta dostawał zaledwie 31,8 tys. zł, więc właściwie można powiedzieć, że pracował tam społecznie. Jeszcze w styczniu 2021 r. Górski pracował też w pogotowiu ratunkowym. Po wybuchu pandemii obaj z kolegą z karetki zostali jednoosobowymi przedsiębiorcami.

Już 8 stycznia 2021 r. lokalny portal naszemiasto.pl najpierw cytował narzekania mieszkanki Zielonej Góry, która pragnie się zaszczepić przeciwko covidowi, ale nie może, bo jej przychodnia nie zgłosiła się do szczepień, by w tym samym artykule przytoczyć wypowiedź Roberta Górskiego, że on, wraz z kolegą z pogotowia, otwierają punkt szczepień. „Mamy sprzęt i przygotowujemy wszystko, żebyście zostali sprawnie i bezpiecznie zaszczepieni. Mamy nawet defibrylator AED" – podkreślał Górski. „Pracujemy w pogotowiu ratunkowym, więc wiemy, co robić, gdyby ktoś po szczepieniu poczuł się źle". W ramach jednoosobowej działalności gospodarczej radny lekarz osiągnął w 2021 r. dochód w wysokości 4,3 mln zł.

W przeciwieństwie do Dawida Kacprzyka radny Górski ciągle należy do lekarzy kominiarzy. W ubiegłym roku zadeklarował w oświadczeniu dochody przekraczające 1 mln zł. Trudno nie zadać pytania, czy zarobiłby tyle, nie będąc radnym?

W województwie stołecznym o wiele większe pieniądze niż były radny Kacprzyk, w publicznym lecznictwie, ciągle zarabia 32-letni ortopeda Michał Burczy, też radny, formalnie niezwiązany z żadną partią. W ubiegłym roku zainkasował 3 mln zł, co także publicznie ujawnia, bo całą sumę zarobił legalnie. To człowiek orkiestra: jest jednocześnie prezesem Powiatowego Centrum Medycznego w Grójcu, a także dyrektorem odległego o 36 km szpitala w Nowym Mieście nad Pilicą. Obie placówki podlegają temu samemu staroście Krzysztofowi Ambroziakowi. Starosta związany jest z PSL, startował z listy Trzeciej Drogi 2050.

Ortopeda za prezesowanie w Grójcu dostaje zaledwie 22 tys. zł, za dyrektorowanie w Nowym Mieście nad Pilicą tylko 18 tys. zł miesięcznie – informuje portal wp.pl. Nie są to jednak jedyne pieniądze, jakie z kas obu szpitali płyną na konto medyka. Zarabia głównie na kontraktach z obiema placówkami. Jest ich partnerem biznesowym. Jako biznesmen z prywatnej praktyki wyciągnął w ubiegłym roku 2,8 mln zł. NFZ dobrze płaci szpitalowi za zabiegi i operacje, które wykonuje ortopeda, więc szpital dzieli się pieniędzmi z lekarzem, ofiarowując mu procent od każdej procedury.

„Dzięki mnie oba szpitale mają o połowę mniejsze długi" – zwierza się Burczy wp.pl. Jak lekarz zarobi w szpitalu 30 czy ▶

eprasa.pl 74925dea9a

▶ 50 tys. zł, to szpital zarobi na nim 80–90 tys. zł. Proste. Bez ortopedy szpital nie miałby kontraktu.

Tak powstają kolejne kominy, a na leczenie pacjentów z chorobami gorzej wycenionymi brakuje pieniędzy. Między innymi dlatego, że premier Morawiecki, przy okazji Polskiego Ładu, który zwykłych Polaków obciążył 9-procentową składką na zdrowie, lekarzom podatki obniżył, składkę też. To dlatego Michał Burczy w swoim oświadczeniu pisze, że jego zarobki z indywidualnej praktyki lekarskiej wyniosły wprawdzie aż 2,8 mln zł, ale na rękę zainkasował „tylko" 2,4 mln. Polak na etacie, gdyby nawet taką górę pieniędzy zarobił, to zapłaciłby 32 proc. plus 9 proc. składki, a dodatkowo opłatę solidarnościową. Lekarze na ryczałcie dostali od premiera Mateusza Morawieckiego prezent, płacą tylko 14 proc. Ale prezydent Nawrocki zapowiedział, że zawetuje każdą próbę podwyższenia jakiegokolwiek podatku, co już kilkakrotnie potwierdził w praktyce.

Kilkumilionowe zarobki lekarzy związanych z lokalną polityką nie są nielicznymi wyjątkami. Takich radnych mamy 1,4 tys. Mateusz Bratkowski na portalu X informuje, że dokładnie przeanalizował zaledwie 160, do apanaży powyżej 1 mln zł przyznało się kilkunastu, co czwarty zarobił przez rok powyżej 500 tys. zł.

Po ujawnieniu oświadczenia Kacprzyka do kontroli nieprawidłowości jego rozliczeń natychmiast stawiła się Naczelna Izba Lekarska. A przecież lekarski samorząd doskonale zdawał sobie sprawę od dawna z patologii systemu. Kiedy szpital w Bielsku-Białej szukał, także w sieci, szefa SOR, oferując mu 150 tys. zł miesięcznie, nie było chętnych. A rzecznik NIL publicznie stwierdził, że i za 200 tys. pewnie nie znajdzie. A jednak ministra Jolanta Grenda-Sobierajska bez skutku domagała się przepisów, które dostarczyłyby jej wiedzy o prawdziwych zarobkach lekarzy. Środowisko protestowało, oświadczając, że „kominy" dotyczą niecałego 1 proc. lekarzy, najwyżej kwalifikowanych specjalistów, którzy lepiej, żeby za duże pieniądze operowali w kraju, niż mieliby wyjechać za granicę. Ale dane Agencji Oceny Technologii Medycznych nie pokazywały całej prawdy: ujawniały zarobki lekarzy na kontrakcie tylko z jednym szpitalem, a zwykle medycy mają ich po kilka.

Według AOTM rekordzistą był lekarz, który wystawia jednemu tylko szpitalowi miesięczne faktury w wysokości ponad 300 tys. zł. Nikogo to nie bulwersowało. Trzeba było afery Kacprzyka, żeby Sejm w tydzień uporał się z uchwaleniem ustawy pozwalającej ministerstwu, po numerze PESEL i prawie wykonywania zawodu, dowiedzieć się, ile naprawdę zarabiają lekarze w biednych szpitalach (jeśli prezydent lex Kacprzyk nie zawetuje). Dodajmy: sama wiedza o zarobkach nie likwiduje jeszcze patologii, które narastały przez lata.

Jedną z przyczyn była porażka Konstantego Radziwiłła jako ministra zdrowia, który zapowiedział stworzenie „sieci szpitali". Słusznie uważał, że skromne publiczne pieniądze nie powinny trafiać do wszystkich istniejących placówek, bo aż tylu łóżek nam nie potrzeba. Naciski polityczne z terenu były jednak tak ogromne, że na listę wybranych do sieci szpitali ciągle dopisywano kolejne i w rezultacie z sieci wyszły nici. Od tej pory także NFZ, dysponujący publicznymi pieniędzmi, nawet nie ukrywa, że dba o przetrwanie wszystkich. Bo to się politycznie opłaca, szpitale w mniejszych ośrodkach są często największym pracodawcą. O to, żeby nie zniknęły, walczą starostowie, marszałkowie, wojewodowie, a radni lekarze ich w tym wspierają. Od tego, czy uratują szpital, często zależy ich pozycja polityczna. Przy okazji tworzą się sitwy lokalne, uprzywilejowane polityczne dojścia na skróty do ochrony zdrowia i do kontraktów.

Z tego, że łóżek szpitalnych w kraju mieliśmy o wiele więcej niż inne kraje unijne, a lekarzy mniej, zrodziła się pierwsza patologia. Szpitale zaczęły skłaniać lekarzy do przechodzenia na kontrakty. Obu stronom opłacały się finansowo, a lekarze biznesmeni mogli pracować o wiele dłużej, niż nakazywały unijne przepisy. Często po kilkanaście godzin dziennie; nierzadko, jak Kacprzyk, wpisując do faktur większą liczbę przepracowanych godzin niż faktycznie.

Ale i tego było za mało. Szpitale, żeby przetrwać, chciały wykonywać najlepiej opłacane przez NFZ procedury, nawet nie mając lekarzy. Zaczęła się więc era lekarzy latających, specjalistów, którzy przyjeżdżali raz w tygodniu operować trudne przypadki w prowincjonalnym szpitalu. Pacjenta po raz pierwszy i ostatni widzieli na stole operacyjnym. W razie komplikacji nie było komu go ratować. Dziś to już jest norma. W jednym ze szpitali w Wielkopolsce nie pracuje na stałe ani jeden urolog, ale oddział, gwarantujący kontrakt z NFZ, jest. Sytuację ratują medycy przyjeżdżający na dzień, góra dwa z innych miast.

Patologie w systemie zachęcały do patologicznych zachowań. Dzisiaj żaden lekarz raczej nie pójdzie do ordynatora prosić o podwyżkę, teraz cała obsada jednego oddziału, nierzadko z pielęgniarkami, zawiadamia dyrektora, że odchodzi z pracy, bo gdzie indziej zaproponowano im wyższą stawkę. Lekarze, jak aktorzy, korzystają z usług agencji, które w ich imieniu negocjują warunki pracy. – *To prawda, ja też, gdy potrzebuję specjalisty, zwracam się o pomoc do agencji* – przyznaje dyrektor szpitala wojewódzkiego. Część pieniędzy NFZ przeznaczonych na leczenie przejmują agencje pośrednictwa. Dzięki nim siła przetargowa medyków jest potężna. Kominy rosną.

Kiedy Renata Kaznowska, wiceprezydentka Warszawy, usłyszała o stawce, jaką dostaje lekarz bez specjalizacji w Szpitalu Południowym, nie była zdziwiona. Powyżej 300 zł za godzinę to w Warszawie standard, żeby zatrzymać lekarza, bo więcej płacą szpitale powiatowe. Najwięcej te najbardziej zadłużone.

Na wygórowane żądania lekarzy narzeka też Krzysztof Ambroziak z PSL, starosta Grójca. Szpital dostał spore dofinansowanie, żeby bardziej dopasować działalność do potrzeb lokalnej społeczności, czyli uruchomić oddział geriatrii. Ale geriatrii nie będzie. Lekarze, niekoniecznie geriatrzy, zażądali stawki 500 zł za godzinę. Tylko do tego jednego oddziału starostwo musiałoby dokładać 10 mln zł rocznie.

Od lipca w całym kraju stawki wynagrodzeń znowu wzrosną, zapewnia to medykom ustawa uchwalona jeszcze w poprzedniej kadencji. Już wtedy wiadomo było, że zadekretowanie corocznych podwyżek, o wiele wyższych od inflacji, musi się skończyć katastrofą. „Za" były jednak wszystkie partie, PiS chciał władzę utrzymać, Koalicja Obywatelska odzyskać. Po podwyżki, które nastąpią w lipcu, pierwsi zgłosili się lekarze na kontraktach, chociaż to nie do nich odnosi się ustawa.

Teraz, po aferze w Szpitalu Południowym, partie prześcigają się w propozycjach reformy systemu zdrowia od Sasa do Lasa, od wprowadzenia urzędowych limitów zarobków, nowej sieci szpitali, rozdzielenia prywatnej i publicznej służby zdrowia, aż do likwidacji całego NFZ. Jednak istotnych zmian nie należy się spodziewać, są zbyt ryzykowne politycznie.

JOANNA SOLSKA

eprasa.pl 74925dea9a

Dla wielozadaniowców
Monitory interaktywne

SMART®



www.irs.com.pl

tel . + 48 602 336 341

eprasa.pl 74925dea9a

Polska wojna o Ukrainę

W relacjach polsko-ukraińskich dawno nie było tak źle. Jednocześnie rekordowy poziom osiągnęła wymiana gospodarcza, czyniąc z Polski najważniejszego po Chinach partnera Ukrainy. Sąsiedztwo może być dobrym interesem. Dlaczego politycy to niszczą?

EDWIN BENDYK

Karol Nawrocki postanowił odebrać prezydentowi Ukrainy Order Orła Białego przyznany w 2023 r. To odpowiedź na decyzję Wołodymyra Zełenskiego, by jednemu z oddziałów wojskowych nadać imię Bohaterów UPA. W Polsce wybuchły gniew i oburzenie ponad politycznymi podziałami, choć ów podział spowodował licytację, kto oburzy się bardziej. Karol Nawrocki uznał, że przebije wszystkich: odbierze Order.

Odpowiedź nieproporcjonalna i błędna, bo jakkolwiek oburzający jest gest Zełenskiego, nie był on wymierzony bezpośrednio w Polskę, choć nie brakuje w Polsce komentatorów twierdzących, że było to świadome działanie, by przewidywalny wzrost antyukraińskiego napięcia w Polsce wykorzystać do społecznej konsolidacji w Ukrainie.

W każdym razie prowokacyjny ruch Zełenskiego wymagał zdecydowanej reakcji dyplomatycznej, ale niekoniecznie publicznego upokorzenia. Zełenski zapewne uznał, że nie może się cofnąć. Nawrocki, zachęcony sondażami pokazującymi, że jego pomysł popiera ponad połowa Polek i Polaków, uznał podobnie. Politycy z obu krajów czują, że ich polityka odpowiada na jakąś głębszą społeczną potrzebę, co utrudnia komukolwiek ustępstwa.

Pierwszą konsekwencją jest *ordenopad* – zrzekanie się polskich odznaczeń. Zrezygnowali z nich żyjący prezydenci: Leonid Kuczma, Wiktor Juszczenko i Petro Poroszenko; zrezygnował bohater tej wojny i jeden z najpopularniejszych generałów, dziś szef Biura Prezydenta Kyryło Budanow; nie można zapomnieć o ministrze spraw zagranicznych Andriju Sybisze i ambasadorze Ukrainy w Polsce Wasylu Bodnarze. Ukraińcy zjednoczyli się wokół swojego prezydenta tak, jak w lutym 2025 r. po połajance w Białym Domu.



Kijów, marsz ku czci ukraińskich ochotników, żołnierze niosą portret Stepana Bandery

eprasa.pl 74925dea9a

Donald Trump przekonywał wówczas, że Ukraina przegrywa wojnę, a Zełenski nie ma żadnych kart.

Karty Zełenskiego

Ukraińcy Trumpowi nie uwierzyli i zamiast poddać się Rosji na narzuconych przez Waszyngton warunkach, kontynuowali walkę. Grali va banque, bo w 2025 r. nic nie było przesądzone. Rosjanie wykazywali się większą inicjatywą na froncie, ukraińska armia miała problemy z pozyskaniem rekrutów, żołnierze masowo opuszczali oddziały. Niepewne było nawet finansowanie ze strony Unii Europejskiej, bo pieniądze blokował Orbán.

Na dodatek krajem wstrząsnął najpierw kryzys polityczny spowodowany majstrowaniem przy prawie antykorupcyjnym, co wywołało latem społeczne protesty i interwencje zagranicznych partnerów Ukrainy. Jesienią wybuchła afera korupcyjna „mindiczgate" sięgająca szczytów władzy. Ten największy kryzys od początku prezydentury zakończył się czystkami, odszedł wszechmocny szef Biura Prezydenta Andrij Jermak, stanowisko stracił legendarny szef Służby Bezpieczeństwa Ukrainy Wasyl Maliuk.

W takim stanie Ukraina weszła w najsroższą od lat zimę, wielotygodniowe mrozy przekraczające -20 st. C, brak dostaw ciepła i energii na skutek systematycznego niszczenia infrastruktury energetycznej przez Rosjan. Nie złamało to jednak ukraińskiego ducha, przeciwnie, zwiększyło determinację: wraz z nadejściem wiosny Ukraińcy wkroczyli z rekordowymi wskaźnikami optymizmu i przekonaniem, że przyszłość należy do nich. Ponad 60 proc. uważa, że za 10 lat Ukraina będzie kwitnącym państwem Unii.



© ANDREAS STROH/ZUMA PRESS/FORUM

Rosja przegrywa

Zimy już nikt nie pamięta, trwają przygotowania do kolejnej, bo mało kto wierzy, że wojna skończy się szybko. Zaczęły się żniwa zapowiadające rekordowe zbiory. Zmieniła się też sytuacja na froncie – Ukraińcy przejmują inicjatywę i zwiększają zdolności uderzeń w głębi Rosji. Ataki na Petersburg, Moskwę oraz strategiczne obiekty przemysłowe w całym kraju, systematyczne niszczenie połączeń logistycznych z Krymem pokazują, że Ukraina jest w stanie przejmować inicjatywę strategiczną.

Admirał Mick Ryan, autor prac poświęconych wojskowej strategii, nie ma wątpliwości, że Rosja wojnę zaczęła przegrywać. Nie znaczy to, że Ukraina wojnę wygrywa. Ale pokazuje, że ma coraz mocniejsze karty na przyszłe negocjacje. Przyznali to liderzy państw G7 podczas spotkania we francuskim Evian. Zełenskiego przywitano tam z honorami, rozmawiał z Donaldem Trumpem, choć nie było tego w planie. Szczyt zakończył się jednoznaczną deklaracją poparcia dla Ukrainy.

Szczyt Rady Europejskiej, wcześniej londyńskie spotkanie w formacie E3, czyli z liderami Wielkiej Brytanii, Francji i Niemiec, pokazują poprawę ukraińskiej sytuacji nie tylko na froncie, lecz również na arenie międzynarodowej. Kolejne ważne wydarzenie to zaplanowana na 25 i 26 czerwca w Gdańsku Ukraine Recovery Conference, Konferencja o Odbudowie Ukrainy (URC), największe doroczne międzynarodowe spotkanie polityczno-gospodarcze poświęcone nie tylko przyszłości Ukrainy, ale także regionu i Europy.

Konferencje URC organizowane są od początku wojny, pierwsza odbyła się w lipcu 2022 r. w Lugano. Potem ▶

eprasa.pl 74925dea9a

▶ były: Londyn, Berlin, Rzym. Lokalizacja w Polsce wcale nie była pewna, ostateczne potwierdzenie ze strony ukraińskiej zapadło pod koniec 2025 r. Widać było wyraźnie, jak mocno już wtedy słabły relacje i przekonanie Kijowa, że warto w nie inwestować.

Rząd słusznie zabiegał o prawo do organizacji URC, bo przemawiają za tym podstawowe fakty. Polska jest po Chinach największym partnerem gospodarczym Ukrainy. – *Polski eksport do Ukrainy osiągnął w 2025 r. 57 mld zł* – informuje Jacek Piechota, były minister gospodarki, dziś prezes Polsko-Ukraińskiej Izby Gospodarczej. – *To trzykrotnie więcej niż import z Ukrainy. I dwukrotnie więcej niż eksport w 2021 r. I wbrew obiegowym opiniom o tym wzroście nie zdecydowała zbrojeniówka.* Rzeczywiście w 2025 r. udział produkcji wojskowej w eksporcie z Polski osiągnął 5,3 mld zł. Największa pozycja to paliwa, poza tym pełen asortyment. Co ciekawe, nawet w produkcji rolnej eksport z Polski przeważa nad importem.

Polska ekspansja

W Ukrainie działa ok. 600 polskich firm. Państwowa Korporacja Ubezpieczeń Kredytów Eksportowych (KUKE) już w czerwcu 2022 r. przywróciła możliwość ubezpieczania polskich eksporterów. PZU kupił niedawno MetLife Ukraina. PKO BP już wiele lat temu kupił w Ukrainie Kredobank z siedzibą we Lwowie. Wojciech Kostrzewa, szef Polskiej Rady Biznesu, pytany o rolę polityki w robieniu interesów, twierdzi: mogłaby pomagać, ale nie przeszkadza. A polski biznes jest skuteczny, również jeśli chodzi o pozyskiwanie zamówień publicznych.

Analiza przetargów z platformy zamówień publicznych Prozorro za lata 2024–26 przygotowana przez kancelarię Jus Collegium pokazuje, że polskie firmy radziły sobie najlepiej. Wystartowały w 299 przetargach, wygrywając 166 na kwotę 7,3 mld hrywien (1 hrywna to ok. 8 groszy). Za polskimi przedsiębiorstwami na podium brytyjskie i czeskie. Polski biznes nie ma powodów do obaw, że zostanie „wykiwany", bo wykiwać się nie da, ale też nie może liczyć na specjalne traktowanie. Ukraina to już jest obiecujący rynek, a perspektywa powojennej odbudowy otwiera wielkie możliwości.

O tym m.in. ma być URC 2026 w Gdańsku. Przyjadą tysiące uczestników: politycy najwyższego szczebla, szefowie instytucji międzynarodowych i finansowych, przedsiębiorcy, samorządowcy, działacze społeczni. Główny program podzielony jest na pięć linii tematycznych: biznes, Unia Europejska, wymiar społeczny, wymiar lokalny i regionalny, bezpieczeństwo i obrona. Do tego targi dla biznesu, dziesiątki spotkań organizowanych przez think tanki. W przededniu konferencji odbędzie się w Europejskim Centrum Solidarności Forum Społeczeństwa Obywatelskiego z udziałem ponad 400 organizacji z Ukrainy, Polski, Europy i ze świata.

Szefem komitetu sterującego URC z polskiej strony jest minister finansów i gospodarki Andrzej Domański, co jasno określa priorytet programowy. Bez pieniędzy nie da się zrealizować żadnych planów. Doprowadzenie wojny do końca i późniejsza odbudowa będzie niezwykle złożonym problemem. Same potrzeby infrastrukturalne szacowane są na ponad 0,5 bln dol., trzykrotność ukraińskiego PKB. Do tego trzeba doliczyć tzw. dług modernizacyjny, czyli odkładane na później remonty istniejącej infrastruktury. Na wymiar materialny nakłada się wymiar społeczny: reintegracja weteranów, pomoc osobom z trwałymi niepełnosprawnościami na skutek ran, reintegracja milionów wewnętrznie przesiedlonych. W końcu pytanie o niezwykłym znaczeniu: ile osób wróci z emigracji? Zgodnie z najnowszym badaniem agencji Gradus chęć powrotu deklaruje 53 proc. mieszkających obecnie za granicą.

Ukraińcom zależy, by podczas konferencji, pokazując potencjał rozwojowy Ukrainy, zachęcać nie tylko do deklaracji przyszłego zaangażowania, lecz także do utrzymania wsparcia wojennego i gospodarczego dziś. Decyzja Karola Nawrockiego w odpowiedzi na wcześniejszą inicjatywę Wołodymyra Zełenskiego podjęta tuż przed konferencją wywołała zamieszanie. Nie wiadomo, czy Zełenski podtrzyma chęć przyjazdu, czy obniży rangę zaangażowania i wystąpi tylko online, czy w ogóle zrezygnuje. Jaka więc będzie ranga polityczna wydarzenia? Polska na tych wątpliwościach już ponosi straty, bo jako największy partner gospodarczy Ukrainy ma też najwięcej podczas URC do ugrania. W przygotowanie zaangażowały się największe polskie firmy i instytucje wspomagające ich działalność w Ukrainie. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebują, są kłody rzucane przez polityków.

Co dalej z naszymi relacjami? Próbując zrozumieć atmosferę w Ukrainie w kontekście relacji z Polską, należy pamiętać o głębokiej asymetrii we wzajemnym postrzeganiu. Ukraińcy są dziś jednym z najbardziej nielubianych przez Polaków narodów, lutowy raport CBOS pokazuje, że sympatię do nich wykazuje 29 proc. ankietowanych, niechęć 43 proc. To radykalne pogorszenie po entuzjazmie 2022 r. W Ukrainie sympatia do nas też zmalała, ale ciągle, jak pokazuje badanie Centrum Mieroszewskiego (koniec 2025 r.), Polacy uznawani są przez Ukraińców za naród najbliższy im kulturowo, a dobre i bardzo dobre opinie o Polakach ma 43 proc. Ukraińców, negatywne 8 proc.

Asymetria sympatii przekłada się na asymetrię woli. Myśl o wysłaniu polskich wojsk na misję do Ukrainy, nawet bez ich bojowego zaangażowania, wywołuje panikę. Taki pomysł zyskałby poparcie co najwyżej ćwierci społeczeństwa. W maju na pytanie, czy Siły Zbrojne Ukrainy powinny bronić Polski, gdyby została zaatakowana przez Rosję, pozytywnie odpowiedziało 58 proc. Ukraińców. Te wyniki pozwalają uznać zapewnienia, że wzrost sympatii do UPA w Ukrainie nie ma antypolskiego charakteru. Zmierzyć się jednak trzeba z nierozwiązywalnym paradoksem. Polacy coraz mniej lubią Ukraińców m.in. za to, że choć Ukraińcy ciągle jeszcze lubią Polaków, to nie kryją rosnącej sympatii do UPA i Bandery. Do czego oczywiście przyczyniła się wojna z Rosją.

W 2013 r., tuż przed rewolucją godności, w odpowiedzi na pytanie o ocenę OUN-UPA w czasie drugiej wojny światowej 22 proc. respondentów wypowiadało się pozytywnie, 42 proc. negatywnie. W rozbiciu regionalnym obraz odbiegał od średniej: na wschodzie Ukrainy, skąd pochodzi prezydent Zełenski, negatywnie oceniało OUN-UPA aż 66 proc., pozytywnie tylko 9 proc. osób. Sytuacja zaczęła zmieniać się po 2014 r., kiedy Rosja dokonała aneksji Krymu i rozpoczęła działania w Donbasie. Pełnoskalowa wojna spowodowała radykalny antyrosyjski zwrot ukraińskiego społeczeństwa i przyspieszenie procesu dekolonizacji, czyli odcinania się od jakichkolwiek związków z dawnym imperium.

Zmieniają się nazwy ulic, padają pomniki Puszkina i innych ikon imperialnej dominacji; wskrzeszani są bohaterowie skazani na niepamięć w czasach rosyjskich i radzieckich symbolizujący opór wobec

eprasa.pl 74925dea9a

Rosji i walkę o ukraińską państwowość: hetman Iwan Mazepa, Symon Petlura, hetman Pawło Skoropadski. I UPA, jako symbol walki do końca, nawet po rozbiciu powstańczych oddziałów przez NKWD. Bo pojmani żołnierze wszczynali powstania w łagrach GUŁagu, do których zostali zesłani. Badanie opublikowane w październiku 2023 r. przez Centrum Badań Ruchu Niepodległościowego pokazało, że zdaniem 70 proc. Ukraińców „UPA ufundowała tradycję oporu wobec agresora".

Po co nam Ukraina

Te wyniki nie oznaczają, że i my w Polsce mamy zmienić zdanie o UPA i zapomnieć o popełnionych zbrodniach. Egzekwowanie rozliczenia z historią powinno być jednak wpisane w szerszy kontekst i odpowiedź na pytanie: do czego i jakiej Ukrainy Polska potrzebuje? Nie wystarczą slogany, że nie ma wolnej Polski bez wolnej Ukrainy, i na odwrót.

Tak, w 2022 r. pomoc Polski w wymiarze humanitarnym, militarnym i politycznym miała kluczowe znaczenie dla powodzenia Ukrainy w pierwszych tygodniach walki. Polskie zaangażowanie zmalało, ale nie ustaje i jest solą w oku Moskwy, która odpłaca, czyniąc nasz kraj celem działań w ramach wojny hybrydowej. Nic dziwnego, że i polskie elity polityczne, i opinia społeczna są przekonane, że Polska ma ciągle fundamentalne strategiczne znaczenie dla Ukrainy. Oczekujemy za to wdzięczności, którą mogłaby wyrażać większa skłonność do realizacji polskich oczekiwań dotyczących zarówno spraw historycznych, jak i bieżącej polityki. Ukraińcy jednak, wbrew oczekiwaniom w Polsce, nie traktują naszego kraju priorytetowo. Dominuje przekonanie, że Polska i tak musi się angażować na rzecz Ukrainy dla własnego bezpieczeństwa.

Bo Ukraińcy nie mają wątpliwości, że walczą nie tylko o swoją suwerenność, ale także o bezpieczeństwo Europy, powstrzymując Rosję. Z treścią tego hasła zgadza się ponad 70 proc. Ukraińców. W Polsce mało kto ma wątpliwości, że Ukraina powstrzymuje Rosję, ale też mamy poczucie, że jak powiedział były premier Mateusz Morawiecki, krytykując pomysł Przemysława Czarnka, by wstrzymać pomoc militarną dla Ukrainy: lepiej żeby ukraińscy żołnierze ginęli w ukraińskich czołgach niż polscy żołnierze w polskich czołgach. Nawet gdyby Ukraina upadła, a Polska stała się kolejnym celem Rosji, to przecież nie jesteśmy sami i polskiego bezpieczeństwa nie budujemy na sile oporu Ukrainy, ale na rozwoju własnej armii oraz sojuszy, do których należymy.

Ukraińcy proponują, że wobec słabnięcia NATO w wyniku polityki Donalda Trumpa wypełnią lukę po Amerykanach, stając się sprawdzonym w boju elementem architektury europejskiego bezpieczeństwa. Ukraińskie argumenty w Polsce nie przekonują, a ich doświadczenia wojennego nie traktujemy do końca poważnie. Amerykańscy czy brytyjscy wojskowi w różnych wcieleniach penetrują ukraińskie struktury wojskowe, by z pierwszej ręki poznać specyfikę prawdziwej wojny XXI w. Polskich wojskowych w Ukrainie praktycznie nie ma.

W Polsce nie doceniamy Ukrainy, Ukraińcy zapewne przeceniają siebie. Ale niezaprzeczalnym faktem jest to, że ciągle skutecznie bronią się przeciwko rosyjskiej agresji. I to nie tylko dzięki zagranicznej pomocy. Rozwój rodzimego sektora obronnego zmusza Rosjan do technologicznego wyścigu według reguł w dużej mierze narzuconych przez Ukraińców.

Zły scenariusz

Obserwacja ukraińskiej debaty już po decyzji Karola Nawrockiego pokazuje, że w Ukrainie mógł rozpocząć się niekorzystny dla Polski proces społeczny. Demonstracyjne oddawanie polskich odznaczeń opisywane hasłem *ordenopadu* wpisuje obecną reakcję do ciągu, w jakim wcześniej występował *leninopad* i *puszkinopad*, a oznaczał wyzwalanie się Ukraińców z kompleksu kolonialnej zależności. Tylko że dotychczas kwestia dekolonizacji odnosiła się do wychodzenia spod wpływu Rosji.

Sukcesy w stawianiu oporu Rosji, zdolność nie tylko do rozwoju nowoczesnego uzbrojenia, lecz także modernizacji państwa w warunkach wojny powodują, że Ukraińcy pozbyli się kompleksu Polski i szerzej Zachodu. Są przekonani, że nie tylko giną za europejskie wartości, ale także mogą być jednym z liderów kształtujących europejską powojenną przyszłość.

Coraz bardziej krzepka gospodarczo Polska ma własne aspiracje i problem z uznaniem ukraińskiej równocennej podmiotowości. Ukraina, choć pięciokrotnie od Polski biedniejsza i wyniszczona wojną, na rolę młodszej, biedniejszej i głupszej siostry, którą trzeba wprowadzać za rękę na europejskie salony, się nie zgodzi. Bo może pokazać, jak się siada przy stole G7, a argumenty do przyszłych negocjacji wykuwa na polu walki.

Polski w Evian nie było, bo na razie wdrapujemy się do G20 i żądamy, by nas przy stole rokowań posadzono, poszerzając formułę E3 do przynajmniej E5, przez włączenie Polski i Włoch. Obecna eskalacja starania te najprawdopodobniej storpedowała. Skłóconej z Ukrainą i nieprzewidywalnej Polski nikt w negocjacjach nie zechce. Po szczycie G7, po porozumieniu Stanów Zjednoczonych z Iranem, a przed konferencją relacje polsko-ukraińskie są na bardzo niskim poziomie, ale też być może w przełomowym momencie.

Gdańska konferencja może być doskonałą platformą do dyskusji zarówno o konkretach, jak i o kwestiach strategicznych. Jeśli obecne wzmożenie polityczne nie zniweczy tej szansy.

EDWIN BENDYK

Autor jest publicystą POLITYKI i prezesem Fundacji im. Stefana Batorego. W ramach URC Fundacja wraz z European Endowment for Democracy i International Renaissance Foundation organizuje 24 czerwca Forum Społeczeństwa Obywatelskiego.

REKLAMA

KLINIKA KROJANTY

Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty – Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398·56·56
tel. (052) 398·56·57
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:
rwę kulszową, wypadnięcia dysków, chroniczne zespoły bólowe kręgosłupa i głowy, powikłania choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa, następstwa i powikłania urazów układu kostnego, wiązadeł i stawów, migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:
po wylewach, po operacjach ortopedycznych, po złamaniach



ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM

eprasa.pl 74925dea9a

Cmentarzyk

Jeszcze dwa tygodnie temu o dr H. mówiło się dobrze. Teraz tylko nieoficjalnie, źle albo wcale. Tak zmienia się obraz człowieka, pod którego oknem odkryją cmentarzyk.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Rzucała się w oczy, bo kochała życie. Tak mówi nieoficjalnie znajoma dr Magdaleny H. Styl może nieco papuzi – jaskrawe włóczkowe ponczа, długie włosy ufarbowane na marchewkowo – a pod spodem delikatność, dobroć i poczucie humoru. Na Magdalenę można było liczyć bez względu na porę. Nagle znajoma zdaje sobie sprawę, że mówi o dr H. w czasie przeszłym, a przecież ona żyje. Dr Magdalena H., lat 57, renomowana patomorfolożka, od 12 czerwca siedzi w areszcie pod zarzutami znieważenia zwłok i porzucenia odpadów niebezpiecznych (szczątków ludzkich) w miejscu nieprzeznaczonym do ich składowania. Konkretnie – we własnym ogródku na osiedlu domów we wsi Lutoryż pod Rzeszowem.

Braki

Osiedle jest ciasne, ale przy sprzedaży używano słowa „kameralne". Domy w modnym stylu skandynawskim, a między nimi kilka metrów odstępu.



Były dom dr H. na osiedlu Nova Kolonia w Lutoryżu. Tu wykopano 32 płody.

© MARCIN KOŁODZIEJCZYK

prasa.pl/492ddea9a

Okna patrzą w inne okna. Jedynie skrajne działki mają więcej oddechu – widok na cmentarz parafialny za drogą i pogórza karpackie jako tło. Dom H. to działka środkowa, więc teraz policja rozpytuje sąsiadów, czy nie widzieli, jak samotna kobieta o pomarańczowych włosach prowadzi wielokrotnie powtarzane głębokie prace ziemne. Nie widzieli.

Kopiąc doły, Magdalena H. była na kolejnym zakręcie życiowym. Złe czasy zaczęły się dla niej, kiedy skończyła pięćdziesiątkę. Znajomi to widzieli, próbowali rozmawiać, ale zmieniała temat – była niezależna, nie chciała współczucia. Wiadomo było, że nie ma pieniędzy. A powód tych braków bywał tematem żarcików. Po prostu, jak się to teraz delikatnie mówi, bliscy podejrzewali u Magdy ostry kryzys wieku średniego. A jego objawy były tak farsowo typowe, że całkiem nie pasowały do ogarniętej, stabilnej życiowo Magdaleny, jaką znali wcześniej. Nie stać jej było na dom w Lutoryżu. Kosztował 650 tys. zł w stanie surowym. Wpłaciła część, a potem już tylko grała na czas. Aż po komornika i przymusową wyprowadzkę w lutym 2025 r. Pozostawiła po sobie mały cmentarzyk.

Chór

Głupia, zła, powiesić. Od kiedy najpopularniejsze portale społecznościowe ogłosiły, że rezygnują z moderatorów, publika powróciła do krwiożerczości z początków internetu. Od razu wywlekli na powierzchnię pełne nazwisko Magdaleny H. i szargają. Chór wie najlepiej, więc atakuje stadami najpierw H., a potem siebie nawzajem. Jatka słowna i taniec obosieczny. Lewactwo kontra prawactwo. Wiara przeciwko nauce. Fakty walczą z magiczną wiedzą ludową. „Utylizacja płodów ludzkich" bije się z „płód to człowiek, któremu należy się godny pochówek w poświęconej ziemi". Bo w dawnym ogródku Magdaleny H. w Lutoryżu znaleziono oficjalnie 32 płody ludzkie.

Koparka

W lutym 2025 r. dom dr H. w Lutoryżu kupiło młode małżeństwo. W ten sposób trafiło do elitarnej wspólnoty, którą zasiedziali mieszkańcy wsi określają czasem jako UFO. Białe osiedle Nova Kolonia przy cmentarzu wyrosło błyskawicznie na dawnym polu uprawnym, a pierwsze, co zrobiło, to odgrodziło się od otoczenia.

Nowi lokatorzy wnieśli do nieco zapuszczonego domu rodzinne ciepło, zadbali o kwiaty w oknach. Postanowili dobudować taras, na który wchodziłoby się przez przeszklone drzwi salonu. 10 czerwca wykonawca sprowadził koparkę, żeby wyrównać teren. Wraz z ziemią spod łyżki posypały się tysiące laboratoryjnych szkiełek mikroskopowych i innych śmieci. Jak wiadomo nieoficjalnie, właściciele zadzwonili do Magdaleny H., żeby spytać, czy coś o tym wie. Odebrała telefon, miała zadeklarować, że posprząta śmieci ze swojej dawnej posesji. Ale znikła, nic nie zrobiła. Tymczasem kolejne ruchy koparki ujawniły coś, co zostało potem opisane jako „trzydziestocentymetrowy szkielet ludzki". Stało się jasne, że to nie patomorfolożkę H. należy wezwać do posprzątania, a policję do śledztwa.

H.

Magdalena H. pochodzi ze znanej w Rzeszowie lekarskiej rodziny. Jej matka, również patomorfolożka, prowadziła w eleganckiej dzielnicy własny gabinet, który później przekazała córce. Przekazała jej również, jak mówi nieoficjalnie znajoma, kontakty w lokalnych szpitalach. Dzięki nim prywatna praktyka, wsparta badaniami zamawianymi przez placówki medyczne, obrastała w prestiż i przynosiła zysk. Do 2017 r. H. była biegłą rzeszowskiego Sądu Okręgowego. Zakres działań: oględziny na miejscu zdarzeń, sekcje, obdukcje. Nie zabiegała o wpis na listę biegłych po tym roku – to jest wersja oficjalna. A nieoficjalna taka, że „zasugerowano" jej, żeby tego nie robiła, ponieważ miała popełnić błąd w opinii.

„Cudowna, miła Pani doktor. Chciałbym, żeby każdy lekarz był z takim podejściem do pacjenta i do życia" – to jedna z opinii pacjentów o Magdalenie H. Inna: „Doświadczony specjalista medyczny, aktywnie praktykująca od 2006 r. Z pasją podchodzi do każdego przypadku, dążąc do zapewnienia pacjentom kompleksowej i profesjonalnej opieki zdrowotnej". Opinii w podobnym tonie miała więcej, niektóre bardzo osobiste: uczynna, pełna empatii, optymizmu.

Tąpnięcie nastąpiło po 2020 r. Zaczęła zawalać terminy badań. Jej prywatny gabinet Patolog mieścił się wówczas w biurowcu centrum handlowego. Zapamiętał ją portier z tego budynku: – *Zrobiła się taka jakaś nieobecna.* Laborantki, które zatrudniała, żaliły się, że przestała im płacić. Skończyły się zlecenia. Gabinet miesiącami stał pusty.

Hotel

Policjanci przyszli po nią 12 czerwca po szóstej rano, jak nieoficjalnie opowiada osoba z obsługi hotelu w Zamościu, prosto do pokoju. Pracownicy, którzy mieli wtedy zmianę, zdziwili się, bo policja była pytać o nią już dzień wcześniej. Magdalena H. musiała więc wiedzieć, że się nią interesują. Nie wykonała żadnego ruchu, była spokojna. Nie ukrywała się, mówi prokurator Krzysztof Ciechanowski z rzeszowskiej okręgówki, jeździła do Zamościa do pracy. Wykonywała tam badania patomorfologiczne na zlecenie prywatnej kliniki. Wynajmowała pokój w hotelu, żeby nie tracić czasu na dojazdy. Przy zatrzymaniu nie stawiała oporu.

Pracownik hotelu: – *Wyprowadzili ją w piżamie, cicho i dyskretnie, jeszcze zanim pierwsi goście hotelowi zeszli na śniadanie. Następnego dnia dowiedzieliśmy się z mediów, że pod domem tej pani wykopali cały cmentarzyk z nienarodzonymi dziećmi.* Magdalena H. przyznała się podczas przesłuchania, że zakopywała odpady medyczne w Lutoryżu. Miała wynosić je z rzeszowskich szpitali, w których pracowała, w czasie pandemii covidu, i przeprowadzać na nich badania w domu. Sąd aresztuje dr H. na trzy miesiące.

Chór

W ciągu dwóch dni po aresztowaniu Magdaleny H. w socjalach internetowych opcja wiary zwycięża opcję faktu przez zakrzyczenie i triumfuje. Chodzi o wiarę w dwóch znaczeniach. Po pierwsze: staje się dla wierzących jasne, że dr H. nie żyła w zgodzie z Bogiem, Jego prawem i sumieniem. Że traktowała ludzi nienarodzonych gorzej niż zwierzęta. Że odmawiała rodzicom nienarodzonych dzieci prawa do pochówku. Po drugie: robiła w domu aborcje. W związku z tym była częścią zorganizowanej sieci podziemia aborcyjnego, do której należało szereg innych osób. Trzeba je wskazać i skazać na dożywocie. Niemoderowana wiara internetu błyskawicznie staje się świętą prawdą. Inicjowane są modlitwy za dusze nienarodzonych.

Prokurator żadnej z powyższych wiar nie potwierdza. Sprawa jest za świeża, mówi, za wcześnie na jakiekolwiek wnioski. Oświadczenia wydają także rzeszowskie szpitale, z którymi współpracowała dr Magdalena H. – powołują się na procedury nakazujące skrupulatnie rejestrować każdy odpad medyczny. Szczątki ludzkie przechowuje się w specjalnych ▶

eprasa.pl 74925dea9a



Widok na osiedle Nova Kolonia z pobliskiego cmentarza

▶ chłodniach, a dwa razy w roku utylizuje w krematoriach. Lekarz zawsze ma obowiązek poinformować pacjenta lub jego bliskich, że ich prawem jest odebranie szczątków pozabiegowych (w tym nienarodzonych dzieci) i pochowanie ich w zgodzie z ustawą o cmentarzach i chowaniu zmarłych. Niemożliwe jest wynoszenie szczątków ze szpitali. Przynajmniej nie za ich wiedzą.

Arab

Romans dr Magdaleny H. z tunezyjskim Arabem w 2021 r. był dla jej znajomych trudny do przełknięcia. Zdawało się, jak mówi nieoficjalnie znajoma, że wszyscy oprócz Magdy widzą grubą niezręczność tej sytuacji. Z boku wyglądało to tak, jakby H. postanowiła po pięćdziesiątce rozpocząć całkiem nowe, o wiele bardziej ekscytujące życie. Magda chce się nażyć, mówiono. Pojechała na *all inclusive* do północnej Afryki i wróciła do Polski z chłopakiem młodszym od siebie o jakieś 30 lat.

Chłopak był miły, uśmiechnięty i miał mnóstwo potrzeb. Lubił rzeczy w dobrym gatunku i nie wstydził się o nie prosić. A patomorfolożka nie miała serca mu odmawiać. A gdy się z dnia na dzień ulotnił, została z długami. Zaczęły się próby odzyskiwania dawnego życia w Rzeszowie, ale nieudane. Praktyka w gabinecie Patolog leżała. Miesiącami napływały monity – 19 postępowań komorniczych, blisko pół miliona do zapłacenia.

Mama

Dr Magdalena H. zamknęła się za zaciągniętymi żaluzjami rzeszowskiego domu rodzinnego w dobrej dzielnicy. Nie wychodziła, nie odbierała telefonów. Chwasty w jej ogrodzie rosły na wysokość człowieka. W tych cięższych życiowo momentach zawsze uciekała pod skrzydła matki, miały ze sobą bardzo bliską relację. Tym razem był to chyba moment najcięższy. Magdalena H. bardzo się zmieniła, a były to zmiany głębokie, jakby w miejsce dawnej, mocno trzymającej się ziemi osoby nagle postawiono kogoś powłóczystego, niezdecydowanego, bez ikry.

Dzielnica willowa widziała, jak spacerują we dwie – matka i córka. Obie jaskrawe jak papużki, Magda z pomarańczowymi włosami, mama z czerwonymi. A potem nagle zniknęły. Mama zmarła w 2024 r., a Magdalena H. sprzedała dom i przeniosła się do Novej Kolonii w Lutoryżu. Wciąż wydawała się spowolniona. Miewała ataki zakupowe – kupowała rzeczy, których nawet nie rozpakowywała.

Lutoryż

W czerwcu 2026 r. każdy samochód mijający ogrodzone osiedle białych domów w stylu skandynawskim zwalnia, a pasażerowie zaglądają w jedyną uliczkę Novej. Trwa tam remontowy rejwach, bo większość domów wciąż w trakcie urządzania i przerabiania. Pod garażami samochody z rejestracjami z całej Polski. Na tym właśnie polega osiedle UFO w oczach zasiedziałych mieszkańców wsi – Lutoryż, gmina Boguchwała, okrąża Novą ze wszystkich stron, ale się z nią nie zna. Ludzie osiedlowi żyją za swoim ogrodzeniem, na całe dnie znikają w pracy w mieście, potem wracają i zamykają się w domach. Nie za bardzo jest gdzie posiedzieć na zewnątrz, nie będąc obserwowanym przez sąsiadów.

Patomorfolożka o marchewkowych włosach przemknęła przez Novą jak kometa. Była tu tak krótko, że ludzie zapamiętali tylko jej włosy. A teraz się dziwią, że ta spokojna i smutno uśmiechnięta kobieta przez tak krótki czas zdołała zakopać 32 płody i tysiące szkiełek laboratoryjnych w głębokich dołach. Bezpośrednio pod jej salonem stał metalowy blaszak, zasłaniał widok z okien, nie wpuszczał światła słonecznego. Nikogo to nie dziwiło, bo wkoło budowa. A teraz się okazuje, że dr H. pod osłoną tego blaszaka kopała przydomowy cmentarzyk i grzebała w nim szczątki dzieci.

Nowi lokatorzy hodują w doniczkach na parapetach pelargonie. Ale okna zasłonięte żaluzjami. Pod całościennym oknem salonu pozostał dół. Dopiero co skończyła się tu policyjna gorączka. Kilkuset funkcjonariuszy przez kilka dni przekopywało ogródek delikatnie jak archeolodzy, warstwa po warstwie. Mieli georadary i psy do poszukiwań zwłok. Kamery telewizyjne stały przy drodze na cmentarz parafialny, dziennikarze przypuszczali naloty dronowe na ciche skandynawskie osiedle.

Przypadek

Dr Magdalenie H. grozi 12 lat więzienia. Jeśli zarzuty się potwierdzą, może ją czekać dożywotnie wydalenie z zawodu. Po zatrzymaniu źle się poczuła i skierowano ją na obserwację. Okazało się, że zabrana przez policję prosto z łóżka hotelowego nie wzięła leków, które przyjmuje na stałe.

Jak nieoficjalnie wiadomo, Patrycja Chobel, obrończyni z urzędu, złożyła wniosek o ponowne przesłuchanie klientki. Magdalena H. deklaruje współpracę z prokuraturą, liczy na wyjście na wolność do czasu rozpoczęcia procesu. Prokurator Krzysztof Ciechanowski mówi, że zatrzymana zostanie poddana badaniom przez biegłego psychiatrę, co jest rutynowym postępowaniem w podobnych przypadkach. Z nieoficjalnych informacji od osób zaangażowanych w sprawę wynika, że prokuratura skłania się ku uznaniu kłopotów finansowych Magdaleny H. jako głównego motywu jej postępowania. Z tego samego źródła wiadomo też, że w 2021 lub 2022 r. H. przeszła ciężko chorobę covidową, która odbiła się bardzo poważnie na jej zdrowiu. Stąd leki, które przepisano jej do zażywania na stałe.

Drzwi lutoryskiego domu, w którym kiedyś mieszkała dr Magdalena H., otwiera młoda, sympatyczna kobieta. Nie może rozmawiać, bo opiekuje się niemowlakiem – z salonu dobiegają głosy dzieci. Potem kobieta przysyła dziennikarzowi wiadomość: „Jeszcze nie chcemy komentować niczego ani udzielać wywiadu ze względu na stan psychiczny i w trosce o nasze dzieci".

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

© MARCIN KOŁODZIEJCZYK

eprasa.pl 74925dea9a



ILUSTRACJE **MAX SKORWIDER**

Amnezja i amnestia

Pytanie, przed którym stoi wielu rozczarowanych wyborców koalicji 15 października, brzmi: czy da się ukarać Donalda Tuska za słabe rządy tak, aby do władzy nie wrócił Jarosław Kaczyński?

MARIUSZ JANICKI

Propozycja premiera Tuska, aby 4 czerwca w wyborczym 2027 r. odbył się w Warszawie „wielki marsz patriotów", została przyjęta dość chłodno zarówno przez wrogów szefa rządu, jak i jego dawnych zagorzałych zwolenników, którzy w sporej grupie na żadne marsze już się nie wybierają. Jak piszą w socialach, „plecaki demonstranta" odłożyli na pawlacz. Ale przy tej okazji, oprócz wybrzydzania na władzę, przypomniały się wielkie marsze z 2023 r., także te z kampanii prezydenckiej z 2025, trochę odżyły wspomnienia tamtego entuzjazmu, kiedy cel demokratów był jasny: odebrać władzę populistom, a potem to ugruntować w wyborach prezydenckich. Ten proces się załamał, a konsekwencje okazały się głębsze, bo pojawiło się zwątpienie co do sensowności tamtego zaangażowania.

Niektórzy przeszli wręcz drogę od niemal fanatycznego popierania Platformy i Rafała Trzaskowskiego do bycia dzisiaj fanami prezydenta Nawrockiego, a nawet Kaczyńskiego. To być może rodzaj jakiegoś politycznego masochizmu, wynikającego z głębokiej traumy albo też z rozczarowania brakiem spodziewanych od nowej władzy korzyści. Pod hasłami neutralności, wyjścia „poza duopol" część dawnych sympatyków obozu demokratycznego zaczęła zawzięcie krytykować KO, a zamilczać PiS.

Kłopot z alternatywą

W całym rozczarowaniu i krytyce wobec rządu Tuska kryje się bowiem istotne niedopowiedzenie, nawet pewien rodzaj tabu: otóż jeśli nie ta władza, to co po niej, jaka jest alternatywa? Rządy Koalicji Obywatelskiej z sojusznikami mogą się jeszcze trochę polepszyć, może pojawić się kilka koncepcji i chwytów, ale jest pytanie: a co, jeśli nie? Jedni mówią, że nie pójdą na wybory, czyli nie poprą wprost PiS, bo ręka by im jednak uschła, ale też nie są już w stanie głosować na KO. Kolejna fala zwątpienia przyszła po głośnym przypadku lekarza – radnego KO z milionowymi zarobkami i salonikiem VIP. Tu bronią Koalicji tylko ▶

eprasa.pl 74925dea9a

▶ najtwardsi, reszta się podłamała: albo samą sprawą, albo próbami jej tłumaczenia. Na Lewicę też nie widać większej ochoty – bo Czarzasty; na Razem nie – bo Zandberg; a PSL nie wiadomo, o co chodzi. Pozostają absencja, polityczne wyciszenie. Jednak podczas tej chwili ciszy i refleksji otworzy się szeroko droga do władzy dla Kaczyńskiego, bo frekwencja dawno już stała się polityczną bronią. Wstrzymanie się od głosowania oznacza bierne poparcie opozycyjnej dzisiaj prawicy. Ale machnięcie ręką na wybory jest bardzo prawdopodobne, może zabraknąć pozytywnej motywacji.

Drugi rodzaj alibi to czekanie na „inny podział sceny politycznej", pojawienie się nowych formacji, tzw. świeżych twarzy, obalenie duopolu. To nic nowego, takie nadzieje powracają cyklicznie, podobnie jak późniejsze rozczarowania. Tutaj najczęściej pojawia się spekulacja, że z PiS odejdzie Mateusz Morawiecki, tak jak z Fideszu odszedł kiedyś nowy węgierski premier Péter Magyar, a teraz go wszyscy noszą na rękach. Podobnie Morawieckiemu wybaczy się to i owo, może pożeni z PSL, także z pozostałościami Polski 2050 czy Ryszardem Petru, i na taki odświeżony zestaw z odzysku, jakąś Czwartą Drogę, już będzie można zagłosować bez większego wstydu. A co potem Rozwój Plus i reszta zrobią, z kim zawrą koalicję i dlaczego z Kaczyńskim, to już inna sprawa, na tym rozumowanie „rozczarowanych" na razie się zatrzymuje.

Porównywanie Morawieckiego do Magyara jest dość zabawne i pokazuje raczej desperację poszukujących niż realny obraz sytuacji, gdzie Morawiecki wciąż jest wiceprezesem PiS, przez wiele lat był wiernym premierem Kaczyńskiego, popierał reformy Ziobry, wygadywał niestworzone rzeczy o Unii Europejskiej i szydził z ówczesnej opozycji z niemniejszym zapałem niż posłowie Suwerennej Polski. Jeśli to ma być ta nowa twarz, to kryteria nowości dość dramatycznie się obniżyły, ale „aspiracyjny" Morawiecki naprawdę serio zaczął być rozpatrywany jako alternatywa do KO.

Oni jeszcze nie rządzili

Trzecia opcja to poparcie Konfederacji, pod starym dobrym hasłem, że „jeszcze nie rządzili", z tego paragrafu kiedyś dostały szansę Samoobrona, Ruch Palikota, Kukiz'15, Wiosna i Nowoczesna, dzisiaj ugrupowania z podręczników historii, co jednak nie zraża entuzjastów „trzecich sił". To wymaga przymknięcia oka na ekscesy i zwyczajnie niemądre wypowiedzi Sławomira Mentzena czy na coraz bardziej altprawicowe deklaracje Krzysztofa Bosaka, jak ostatnio, kiedy współlider Konfy stwierdził, że odbierałby dzieci wychowywane przez osoby tej samej płci po śmierci jednego z partnerów i oddawał je do rodzin zastępczych. Bosak ma wśród części liberalnych środowisk niezasłużenie dobrą opinię jako sympatyczny i dobrze wychowany chłopiec z prawicy, do którego należy przyszłość, ale rzecz w tym, że w kwestii poglądów to raczej głęboka przeszłość.

I w tym przypadku rozważanie dalszych politycznych konsekwencji nie jest specjalnie zgłębiane. Panuje oficjalne przekonanie, że Konfa „łamie układ KO–PiS", jest gdzieś pomiędzy, nie wybrała jeszcze przyszłego koalicjanta, co świadczy o jej niezależności i tego typu dziwne opowieści. Choć jest jasne, że w grę wchodzi tylko sojusz z Kaczyńskim i prawdopodobnie z Koroną, jeśli inaczej władzy Tuskowi odebrać się nie da. Nawet Kaczyński nie będzie się przed Braunem wzdragał, bo PiS szybciej odeśle Kaczyńskiego na emeryturę, niż zrezygnuje z przejęcia władzy. Tu zdaje się przebiegać cienka granica lojalności wobec prezesa, którą ten jako doświadczony polityk zapewne dostrzeże we właściwym momencie i da się przekonać.

Jednak widać w części dawnego elektoratu koalicji rządzącej tendencję, że niech się dzieje, co chce, bo według regulaminowej demokracji słaby rząd trzeba po prostu odsunąć na rzecz takich zmienników, jacy są. Dość zatem głosowania taktycznego na projekty polityczne, wykombinowane sojusze, czas skończyć z moralnymi i politycznymi szantażami. Należy popierać konkretne ugrupowania, a co się potem z tego ułoży, to się zobaczy. Jest jednak w tym rozumowaniu pewna intelektualna trudność: rezygnacja z całościowej koncepcji demokratycznego państwa, co zawsze było jakoś bliskie inteligenckiemu postrzeganiu rzeczywistości.

Unieważnione marsze

Czuć dziś, że tama pęka, że dopuszcza się już powrót PiS do władzy, co jeszcze rok, dwa lata temu było dla całego demokratycznego środowiska niewyobrażalne. Czyli pojawia się zgoda na recydywę partii, która rozmontowała Trybunał Konstytucyjny, sądownictwo, media, zagarnęła instytucje, przekazywała setki milionów dla zaprzyjaźnionych organizacji i środowisk, bezpardonowo atakowała politycznych rywali, podsłuchiwała opozycję, wygłaszała horrendalne opinie, rujnowała pozycję państwa w Unii i w międzynarodowych strukturach, patronowała drakońskim regulacjom antyaborcyjnym, wprowadzała „strefy wolne od LGBT" itd. W obronie demokratycznych zasad wielkie rzesze ludzi paliły świeczki, marzły na mrozie w niezliczonych protestach, marszach i pikietach. Sprzeciw wobec władzy PiS był totalny: polityczny, moralny, ustrojowy i estetyczny. Objęcie przez nią rządów w 2015 r. było traktowane jako eksces, systemowa awaria, niemal atak kosmitów. Po czym rządy PiS okazały się wypełnieniem wszystkich wcześniejszych zapowiedzi i gróźb, demonstracyjną realizacją „demokracji nieliberalnej". W żadnym momencie tamte rządy nie okazały się lepsze, bardziej ugodowe, niż się spodziewano, to była prawica zwycięska i bezpardonowa.

Całe osiem lat oporu wobec władzy PiS, opartego przecież na mocnych wartościach liberalno-demokratycznych, miałoby pójść w piach? Oznaczałoby to zgodę na powrót do władzy wszystkich głównych postaci dawnej władzy, łącznie z podkomisją smoleńską Macierewicza. Powstaje pytanie, czy aż tak zmienił się obraz partii Kaczyńskiego przez ten krótki czas od października 2023 r.? W czym tamte oceny działań byłej władzy straciły ważność, co konkretnie okazało się aż taką nieprawdą, że powrót PiS do rządzenia wydaje się niemal naturalny? Można usłyszeć odpowiedź, że nijakie rządy Tuska osłabiły zapał do obrony liberalnej aksjologii. Nastąpiło zatem coś w rodzaju przedawnienia, pojawiła się specyficzna amnezja i amnestia. Skoro nie ma wyjścia, i po władzy Tuska mogą przyjść tylko rządy Kaczyńskiego i spółki, to pojawia się psychologiczny mechanizm łagodzenia dysonansu poznawczego, czyli wybielania PiS, tak, aby za rok nie trzeba było głosować na politycznych chuliganów z obu Konfederacji, ale na „prawie normalną partię". To nie PiS się zmienił, wręcz zapowiada, że po 2027 r. będzie jeszcze ostrzej. Zmienia się postrzeganie tego ugrupowania, a w efekcie system liberalny reprezentowany przez Tuska traci moralną, ustrojową przewagę nad wizją Kaczyńskiego, wybór staje się kwestią politycznego gustu.

eprasa.pl 74925dea9a

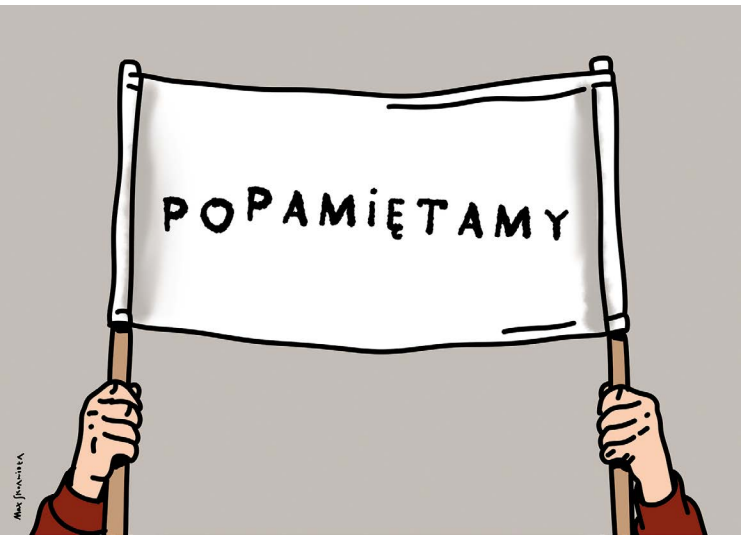

Krótszy cykl wybaczania

Dlatego dzisiaj mówienie o dawnych winach partii Kaczyńskiego jest wręcz w złym tonie, na zasadzie „nie nudźcie już", „ziew", „zajmijcie się Tuskiem i jego partią". Krytyka Nawrockiego zaś jest uznawana za małostkowość „przegrywów". Widać satysfakcję, że Tusk i KO mają problemy. Następuje podobny proces jak dekadę temu, kiedy wydawało się, że po pierwszym okresie rządów PiS w latach 2005–07 powrót tej partii do władzy jest niemożliwy, że ludzie drugi raz nie dadzą się nabrać, bo zobaczyli okropną politykę, cyniczny sojusz z Lepperem, a potem jego spektakularne zniszczenie, kuriozalne zmagania z LPR Giertycha, a następnie wielką finałową awanturę i przedterminowe wybory. Wydawało się to z perspektywy liberalnej tak żenujące, że nie miało prawa wrócić. Jednak już po ośmiu latach odświeżony i wypomadowany PiS zameldował się znowu, przy oklaskach publiczności. I teraz zaczyna się meldować ponownie.

Wiele wskazuje na to, że ten cykl się jeszcze skrócił, a dzisiejsze wyniki sondażowe PiS nie powinny mylić, po prostu wyborcy tej formacji się trochę rozmyli w całej prawicy, doszli młodzi, ale to wciąż partia Kaczyńskiego rozdaje karty, a w kampanii zawsze zyskiwała kilka punktów. Rozważania, że sytuacja się zmieniła, że PiS już nie jest tak silny, że w rządzie będzie hamowany przez koalicjantów, są mało poważne. Pytanie, kto miałby kogo hamować i w którą stronę. Mentzen może i ratowałby przed Kaczyńskim w jakiejś sprawie, ale w innej to Kaczyński byłby jedynym ratunkiem przed Mentzenem, nad czym czuwałby spokojny Bosak, a swoim barytonem komentował Braun, który według wypowiedzi Bosaka jest naturalnym rządowym koalicjantem. Jest jeszcze jest Patryk Jaki, który zapowiada specjalne „komisje weryfikacyjne z uprawnieniami karnymi", czyli mówiąc wprost – sądy ludowe.

Przy obecnym stanie ducha Kaczyńskiego jest niemal pewne, że nie będzie nikogo hamował w zemście, co daje do zrozumienia przy okazji niemal każdej miesięcznicy smoleńskiej. Ale widać, że PiS zaczyna być traktowany selektywnie, o pewnych postaciach się nie mówi, poglądy przemilcza, sytuacje zapomina. To nie Czarnek jest bronią Kaczyńskiego w nadchodzących wyborach, bo to przedstawiciel starego, „jaskiniowego" PiS. Teraz liberalne środowiska znacznie skuteczniej przyciąga Morawiecki i Nawrocki. A być może właśnie ta odłowiona kilkuprocentowa grupa dawnych demokratów okaże się decydująca w 2027 r.

Mimo wszystko świadome amputowanie własnej pamięci, udawanie, że PiS nie był może taki zły, że przeszłość tej partii jakoś wyszlachetniała, oznacza odejście od ideałów, które były ważne jeszcze dwa, trzy lata temu. Tłumaczenie, że sytuacja uległa zmianie, że rzeczywistość poszła na prawo, jest o tyle nieprawdziwe, że radykalna prawica zwycięża właśnie z powodu kapitulacji liberalnych demokratów, przekonanych, że takie są obiektywne trendy, bo Trump itd. Klęska została dość skutecznie przeszczepiona do ich głów przez speców delegowanych przez lokalną i globalną altprawicę.

Nacjonalistyczna prawica może się zżymać, że liberałowie, aby z nią walczyć, próbują przejąć część jej agendy, antyimigranckiej, antyukraińskiej czy konserwatywnej obyczajowo, ale tak naprawdę to jej sukces. Bo to, co było może na początku strategią, z czasem zamienia się w powolną rezygnację z listy wyznawanych wcześniej wartości, skoro one „przegrywają". Jest tu gdzieś granica ideowej przyzwoitości, której Tusk wciąż nie przekroczył, ale być może zdecyduje się jeszcze bardziej podążać za wahającym się elektoratem, jeśli wyczuje, że ten ucieka mu do Kaczyńskiego, Mentzena czy Nawrockiego. A także do „pośrednika" Stanowskiego, który jest teraz najwydajniejszym zasobem prawicy na odcinku „wahających się", znacznie ważniejszym niż TV Republika i wPolsce24 razem wzięte.

Kto bliżej kanonu

Czy da się zatem ukarać Tuska tak, żeby jednocześnie do władzy nie wrócił Kaczyński? Racjonalna odpowiedź brzmi: nie da się. Każda inna jest tworzeniem sztucznego politycznego alibi. Albo przyjmie się, że winy Tuska są tak duże, że zasługują na ponowny triumf Kaczyńskiego, albo że jednak powrót PiS byłby takim despektem, kompromitacją i dyshonorem, że przy wszystkich wadach rządów obecnego premiera i jego ludzi nie wolno do tego dopuścić. W tym pierwszym przypadku nie obejdzie się bez wybaczenia PiS tego wszystkiego, co przez minione lata budziło oburzenie i obrzydzenie, oraz uznania, że rządy Tuska były aż tak fatalne, że to wszystko wystarczająco zrelatywizowały, zrównoważyły i unieważniły. A może były tylko nieoczekiwanie przeciętne, zwyczajne, ale nie na tyle marne, aby nagle otwierać drzwi tym, których jeszcze niedawno uważało się za wrogów liberalnego systemu.

Byłoby historycznym paradoksem, gdyby zemsta demokratów na Tusku spowodowała odwrót od samej demokracji, w istocie od całej liberalnej wizji europejskiej, która w ogólnym planie jest nieporównanie ważniejsza od tego, jak postrzegane są akurat teraz KO, Lewica, PSL czy Razem.

To prawda, że obecna „ściboląca" władza nie ułatwia przyjęcia tej szerszej, całościowej perspektywy. To miały być rządy efektowne, z rozmachem, pomysłami i planem, przywracające blask demokratycznej opcji po niemal dekadzie politycznego zawłaszczania państwa i jego zasobów przez jedną partię. Tak się nie stało. Ale być może, jak to już bywało, wyborcy powinni jeszcze raz okazać się bardziej przenikliwi od polityków, widzący dalej, ponad ich głowami. Chodzi o to, aby już teraz, przedwcześnie, nie wpaść w polityczno-emocjonalny klincz, nie zapędzić się w miejsce, z którego trudno będzie wrócić w dniu wyborów. A KO i rząd Tuska mają jeszcze chwilę, aby decyzje wyborcom ułatwić.

MARIUSZ JANICKI

eprasa.pl 74925dea9a



Maszynista w starym pociągu

RAFAŁ KALUKIN

W tradycyjnym elektoracie PiS wciąż jeszcze potrafi wywołać entuzjazm, ale na tym wyczerpują się jego możliwości. Inwestycja w „premiera” Przemysława Czarnka okazuje się fiaskiem, czego konsekwencje ponosi głównie Jarosław Kaczyński. Tyle że wycofanie się z niej byłoby równie bolesne jak kontynuacja.

Internetowi szydercy tym razem przestrzelili, gdyż entuzjazmu wcale nie trzeba było dowozić do Kalisza autokarami. To w zdecydowanej większości mieszkańcy wypełnili salę gimnastyczną jednej ze szkół, w której zorganizowana została w ubiegłą niedzielę konwencja PiS. Odświętnie ubrani, wielu zapewne dotarło tutaj prosto

eprasa.pl 74925dea9a

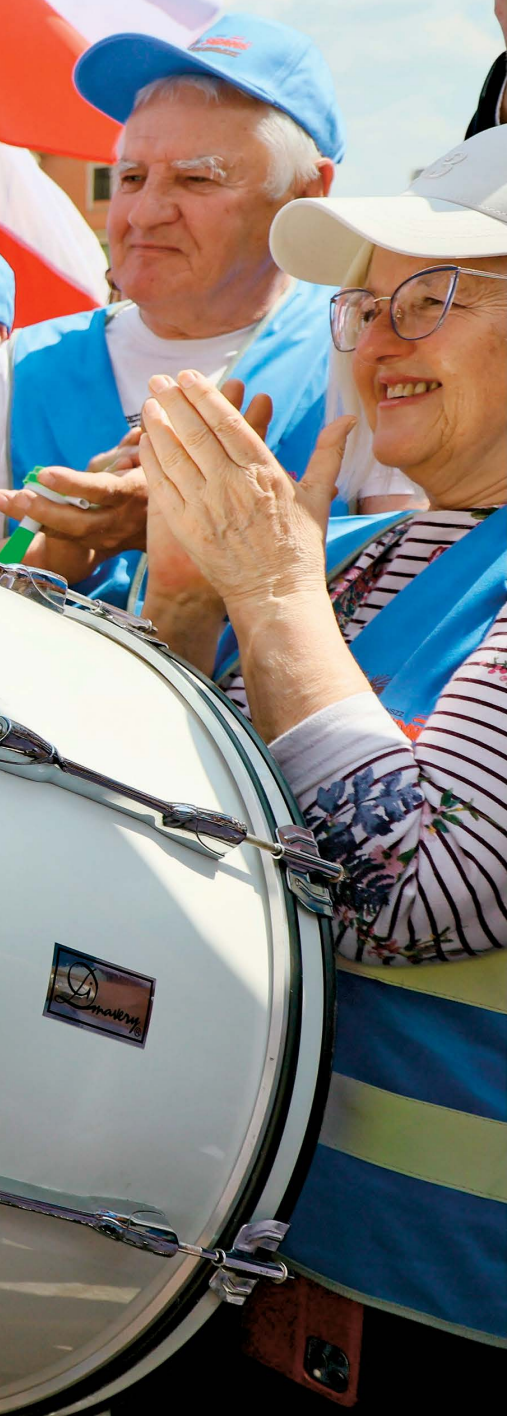

© DAWID WOLSKI/EAST NEWS

z przedpołudniowej mszy. Na każdym krzesełku czekała na nich biało-czerwona chorągiewka z papieru, żeby mieli czym zamanifestować poparcie.

I nie trzeba ich było specjalnie namawiać, żeby robili użytek z rekwizytu. Reagowali na wydarzenia z nieodgrywanym animuszem. Nikomu nie przyszło do głowy ociągać się z powstaniem, kiedy duet wodzirejów ogłosił pojawienie się na sali prezesa PiS. Jak już przyszło skandować „Niech żyje Polska!", to naprawdę ze wszystkich gardeł. Mazurek Dąbrowskiego obowiązkowo od pierwszej do ostatniej zwrotki, oczywiście na baczność. A zaraz potem rozległo się już gromkie „Prze-my-sław!", zapowiadając wejście na scenę gwiazdy imprezy.

Sami swoi, najwierniejsi z wiernych, z opanowanymi do perfekcji odruchami wspólnotowymi. Szczęśliwi, że ponownie była okazja zobaczyć na żywo swoich ulubieńców. Posłuchać, co mają tym razem do powiedzenia, ale choćby goście odgrywali ze sceny wyłącznie pisowskie evergreeny, w niczym nie zmąciłoby to radości z ponownego spotkania. Pod wieloma względami konwencja PiS w Kaliszu przypominała wielki i od dawna oczekiwany zlot rodzinny.

Naród otwiera oczy

Czarnek nie sprawiał w Kaliszu wrażenia polityka, któremu grunt zaczyna się palić pod nogami. Jak zawsze pewny siebie, dosadny, panujący nad salą. Płynnie przechodził z jednej kreacji w drugą. Zaczął wystąpienie jako chłopak z sąsiedztwa, co miało uzasadnienie, bo pochodzi z pobliskiego Koła. Ale później już pozował na światowca, który odwiedza międzynarodowe konferencje i spotyka się z ambasadorami najpotężniejszych państw świata.

Mijało właśnie sto dni, odkąd został wskazany jako kandydat na premiera. To dostatecznie wiele, żeby po zaliczeniu „setek spotkań ze zwykłymi Polakami przy kuchennym stole" zdążyć nabrać pewności, iż „Polska się budzi, naród otwiera oczy". Za rządów „koalicji 13 grudnia" znaleźliśmy się bowiem w „dolinie mroku", co Czarnek powtórzył parokrotnie, żeby się utrwaliło. Najpewniej ma to być nowa wersja „państwa w ruinie".

Z ekspresowo rosnącym długiem publicznym pędzimy bowiem w otchłań kryzysu i biedy. I jeśli tego nie powstrzymamy, wkrótce trzeba będzie ciąć emerytury, całkiem już rozpadnie się służba zdrowia, a młodzi znów jak kiedyś zaczną uciekać za granicę. Czas więc powrócić do sprawdzonych rozwiązań z czasów PiS, do czego wzywał były minister edukacji i obecny kandydat na premiera, trochę się przy tym asekurując rozróżnieniem pomiędzy „dobrą" pierwszą kadencją rządów swojej partii i drugą „trudną". Ale mimo niedociągnięć obietnice były wówczas realizowane, bo „wiarygodność to my", czyli PiS.

Kaliska impreza wychodzi jednak poza rytuał dotychczasowych spotkań za sprawą ogłoszenia „planu Czarnka", który w sumie ma liczyć 21 punktów. Skojarzenie z ubiegłorocznym planem Karola Nawrockiego z kampanii prezydenckiej nieprzypadkowe, gdyż oba plany podobno łączy „komplementarność". Ale na razie mamy okazję poznać jedynie trzy pierwsze punkty, a reszta ma być odsłaniana cyklicznie.

Największy entuzjazm wywołuje oczywiście zapowiedź wyjścia z systemu ETS, co Czarnek stosownie podbija deklaracją suwerennościową. Tyle że bez wychodzenia z Unii Europejskiej, co polityk wyraźnie podkreśla, chociaż nie zdradza szczegółów, jak jednostronnie wystąpić z priorytetowego projektu i nie ponieść konsekwencji. Ogranicza się tylko do mglistej sugestii, że Polska zdoła pociągnąć za sobą inne państwa i wtedy Zielony Ład sam się zawali, ale niestety trzeba mu wierzyć na słowo.

Zwykłe rodziny i srebrna praca

Kolejne obietnice tak samo zresztą owija w ideologiczne sreberka. Zapowiedź wprowadzenia limitu na opodatkowanie pracy emerytów („srebrna praca") zagadkowo wiąże z niedawną bójką w lubelskim klubie, w trakcie której obywatel Zimbabwe pokiereszował mocno Polaka. Co ma wspólnego jedno z drugim? Otóż zwiększenie zatrudnienia emerytów obniży popyt na imigrację zarobkową i dzięki temu Polska stanie się bezpieczniejsza. Następny tego rodzaju szpagat będzie towarzyszył obietnicy podniesienia drugiego progu podatkowego, na którym skorzystają „zwykłe rodziny", ale już niekoniecznie osoby o statusie osoby najbliższej. Czarnek oczywiście nic do nich nie ma („niech sobie żyją, ich sprawa"), ale małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny. Sorry, takie „prawo natury".

I można było odnieść wrażenie, że publiczność żywiej reagowała na ideologiczną krucjatę, nie przywiązując aż takiej wagi do konkretnych obietnic. A już zdecydowanie największy entuzjazm ogarnął salę, kiedy kandydat na premiera upomniał się o polską godność, którą zszargali właśnie Ukraińcy. Po uderzeniu w ten ton echo owacji wręcz zadudniło w uszach, zapewne utwierdzając Czarnka i jego towarzyszy o słuszności przyjętej linii.

Zresztą najprzyjemniej zrobiło się już po zakończeniu oficjalnej części, kiedy kamery telewizyjne sobie poszły i została ▶

eprasa.pl 74925dea9a

▶ zniesiona bariera oddzielająca scenę od publiczności. Klaszczący mogli wreszcie podejść do oklaskiwanych, żeby zamienić parę zdań i zrobić wspólne zdjęcie. A było w kim wybierać, bo oprócz Czarnka, do którego ustawiła się zresztą najdłuższa kolejka, odwiedziła Kalisz cała plejada znanych i lubianych. Z Antonim Macierewiczem, Mariuszem Błaszczakiem, Joachimem Brudzińskim, Joanną Lichocką, Jackiem Sasinem, nawet Jackiem Kurskim. Z młodszych kręcił się Tobiasz Bocheński, ale widać było, że na szacunek najbardziej etosowego elektoratu musi jeszcze trochę zapracować.

Po skróceniu dystansu można było sobie wreszcie pozwolić na trochę więcej szczerości. Raz po raz dochodziła wtedy do głosu tłumiona wcześniej nuta zwątpienia w realne możliwości opozycji, która jest podzielona i daje się rozgrywać rządzącym. Jeden z rozmówców Macierewicza miał żal, że nie udało się posadzić Tuska, kiedy była taka możliwość. Polityk tłumaczył, że osobiście składał zawiadomienia, ale prokurator był z tamtej strony i nic nie można było z tym zrobić. Pytający pozostał jednak sceptyczny i właściwie już stracił nadzieję ujrzeć Tuska w celi. Chociaż oczywiście pójdzie zagłosować na PiS, bo na kogo innego?

Wizerunkowa katastrofa

Politycy PiS zdawali się wręcz zaskoczeni tak gorącym przyjęciem. Jeżeli jednak kaliska konwencja okazała się sukcesem, to najwyżej lokalnym, ograniczonym do zgromadzonej w jednym miejscu wspólnoty. Ale już oficjalne hasło #PrzebudzeniePL okazało się mocno na wyrost. Mierzący nastrój w internecie kolektyw Res Futura wycenił go raptem na 11 proc., bo tyle było poświęconych imprezie pozytywnych komentarzy w sieci. Dominowała drwina, a w dalszej kolejności wrogość i pogarda. Nawet nie tyle dla samej treści, ile samych postaci na czele z Czarnkiem.

Impresyjnych reakcji w internecie pewnie nie należy przeceniać, chociaż w tym przypadku akurat pokrywają się one z tradycyjnymi badaniami opinii. W zrealizowanym na kilka dni przed konwencją sondażu SW Research (dla „Rzeczpospolitej") jedynie 18 proc. badanych uznało Czarnka za dobrego kandydata na premiera. A to oznacza, że nawet nie wszyscy wyborcy PiS doceniają kwalifikacje tego polityka. Przeciwko jego kandydaturze opowiedziało się 64 proc. badanych.

Taki wynik po trzymiesięcznej ofensywie wizerunkowej to wręcz katastrofa. Bo Czarnek nie musiał przecież zabiegać o rozpoznawalność, jak choćby na początku kampanii prezydenckiej Karol Nawrocki, co zazwyczaj wymaga czasu, ale zarazem daje możliwość plastycznego ulepienia rzeźby kandydata pod oczekiwania wyborców. Problemem Czarnka okazało się coś dokładanie przeciwnego, czyli od dawna ugruntowany wizerunek arcypisowca.

Swoim radykalizmem zapewne miał przyciągać do PiS wyborców obu Konfederacji (szczególnie tej braunowskiej). Co byłoby zapewne możliwe, gdyby problem polegał tylko na zmęczeniu bardziej dotąd wyeksponowanymi twarzami PiS. Tyle że od początku był on dużo poważniejszy, bo nie chodzi o brak wyrazistości bądź niedostateczny radykalizm. Prawdziwą walutą w prawicowej rywalizacji jest dzisiaj autentyzm i wiarygodność, co w znacznej mierze wynika z naturalnych potrzeb młodych elektoratów. Z ich punktu widzenia PiS jest prawicą starego typu, która przez lata zatarła swoje kontury. Z przekroczonym resursem i archaiczną technologią pod maską, czego nie jest w stanie zmienić kolejno świeżo nałożona warstwa lakieru w obecnie modnym kolorze.

W pułapce przeszłości

Czarnek w jakimś sensie miał być Braunem w wersji light, ale to kreacja chybiona. Fenomen Brauna polega bowiem na tym, że jest niepodrabialny. To polityk pod każdym względem odróżniający się od reszty klasy politycznej. Postać tak bardzo osobliwa, operująca w sobie tylko znanych rejestrach, zdolna konstruować własny język i schematy opisu rzeczywistości, że mniej istotne stają się w jego przypadku części składowe wizerunku (skrajny tradycjonalizm, antysemityzm, prorosyjskość), a bardziej – ogólne wrażenie odmieńca. Dzięki temu stał się w oczach swoich zwolenników ikoną buntu przeciwko całej klasie politycznej.

To jednak umożliwiło Braunowi skupienie wokół siebie czegoś w rodzaju świeckiego kościoła, którego mury trudno teraz sforsować. Szczególnie komuś takiemu jak Czarnek, za którym miał zapewne przemawiać jego wizerunek wojującego tradycjonalisty rodem z parafialnej kruchty, tyle że w tym przypadku to akurat stosunkowo mało istotne. Jako przedstawiciel elity PiS i wybraniec Kaczyńskiego już na starcie był spalony.

I kiedy tylko wychyli się z pisowskiej bańki, jego wysiłki zaczynają przypominać walenie głową w mur. Entuzjastyczne przyjęcie w wypełnionej fanami kaliskiej hali powinno go na dobrą sprawę zaniepokoić, gdyż zapowiadało odrzucenie w pozostałych prawicowych grupach. Nawet jeżeli jego ostatnie obietnice zostały tak skomponowane, żeby zadowolić wszystkie nurty, bo „srebrna praca" została przecież zaprojektowana pod oczekiwania starszego wiekiem, socjalnego elektoratu PiS, a zmiany w podatkach to oczywisty ukłon pod adresem konfederatów.

Drugą z tych propozycji też zresztą próbował później prezentować w telewizyjnych wywiadach na dwa różne sposoby, zależnie od audytorium. W pisowskiej stacji wPolsce24 przekonywał o korzyściach dla „zwykłych polskich rodzin z dziećmi i wnukami". Z kolei młodszej i raczej bezdzietnej publiczności Kanału Zero zafundował konfederacką w duchu opowieść o konsekwentnej walce swojej formacji z fiskalizmem („Obniżanie podatków to nasza specjalność"). Wyraźnie był jednak zdziwiony, że rozmawiający z nim dziennikarz nie poszedł za ideologiczną słusznością tych obietnic, tylko chciał wiedzieć, z czego konkretnie należałoby sfinansować reformę, której koszt minister finansów Andrzej Domański wycenił kilka dni później na 25 mld zł rocznie. Trochę z konieczności reaktywując dalej starą pisowską mantrę o uszczelnianiu systemu podatkowego, likwidowaniu luk VAT i „ściganiu gigantów".

Im bardziej jednak zagłębiał się w przeszłość, tym trudniej było mu wydostać się z pułapki. Bo obniżanie podatków przez PiS kojarzy się przeciętnemu wyborcy jednej bądź drugiej Konfederacji z nieszczęsnym Polskim Ładem, który obok obostrzeń pandemicznych uchodzi do dziś za główny symbol bałaganu pisowskich rządów. Bez większego znaczenia, że tamtą reformę firmował Mateusz Morawiecki, z którym Czarnek akurat dzisiaj drze koty. I podobnie jest zresztą z jego pozostałymi krucjatami przeciwko Ukraińcom, ETS, migrantom. Zawsze znajdzie się w przeszłości

eprasa.pl 74925dea9a



Spotkanie „kandydata na premiera" i innych polityków PiS z mieszkańcami Kalisza. Na pierwszym planie Przemysław Czarnek, Jarosław Kaczyński, Mariusz Błaszczak.

jakiś haczyk, który ostatecznie niweczy wiarygodność.

Widać to doskonale w sondażach. Trzy miesiące intensywnego objeżdżania kraju i częstych występów Czarnka w mediach nie przyniosły bowiem prawie żadnego efektu. W porównaniu z marcem średnie poparcie dla PiS (według platformy ewybory.eu) urosło o symboliczne 0,5 pkt proc. O tyle samo obniżyły się słupki Konfederacji, z kolei Korona Brauna trwa niewzruszenie na swoim stałym poziomie. Tyle dla PiS dobrego, że trochę skróciło dystans do prowadzącej KO, chociaż na razie trudno mówić o trendzie. Chyba że afera z zarabiającym miliony młodym lekarzem przyniesie efekty, ale to już nie będzie oczywiście zasługą Czarnka.

Zadowolony Morawiecki

Toteż pomimo cyklicznych mobilizacji nie widać dzisiaj w PiS wielkiej wiary w szybkie wyjście z marazmu. Można zresztą odnieść wrażenie, że skonfliktowanej partii mało to dzisiaj interesuje, bo zajęta jest głównie koteryjnymi wojenkami, których Czarnek mimowolnie stał się zakładnikiem. Wskazany przez Kaczyńskiego „maszynista", jak sam Czarnek się określił przy okazji nominacji, miał przy okazji pomóc odnowić prezesowi – „kierownikowi pociągu" – jego wątlejące przywództwo. Ale tak się nie stało i w efekcie pozycja patrona jeszcze bardziej w ostatnich paru miesiącach osłabła. Z kolei im słabszy Kaczyński, tym trudniej zagonić partię do wspierania Czarnka i koło się zamyka.

W pierwszej kolejności Kaczyński chciał oczywiście przywołać Czarnkiem do porządku coraz bardziej niesubordynowanego Morawieckiego, ale tylko pogorszył sprawę. Były premier podniósł bowiem poprzeczkę, zakładając własne stowarzyszenie pomimo wyraźnego zakazu, co było jawnym już wypowiedzeniem posłuszeństwa prezesowi. A ten nie miał praktycznej możliwości powstrzymania dintojry, gdyż ku jego zaskoczeniu spora część klubu stanęła za Morawieckim. Zamiast tego upoważnił Jacka Sasina do założenia konkurencyjnego stowarzyszenia, które miało zrównoważyć grupę „harcerzy".

Kres wszechwładzy Kaczyńskiego zaczyna jednak wywoływać rozmaite i często trudne do przewidzenia konsekwencje. Jak zawsze, kiedy wali się utrwalony porządek, który dotąd gwarantował poszczególnym grupom utrzymanie wpływów. Teraz każda z nich zaczęła na własną rękę kalkulować, jak się utrzymać na powierzchni po odejściu starego prezesa. Od jakiegoś czasu słychać więc o coraz większych niesnaskach pomiędzy forowanymi przez Kaczyńskiego „maślarzami", którzy nie tworzyli dotąd zwartego środowiska i tak naprawdę poza niechęcią do Morawieckiego niewiele ich łączyło. Postawienie na Sasina, który w partii traktowany jest z pobłażliwością, miało więc zranić ambicje kolejnego z „maślarzy", Patryka Jakiego, który sam od dawna przymierza się do schedy po prezesie.

A przy okazji zaniepokoiły się resztki „zakonu PC", czyli tradycyjnie najbliższej Kaczyńskiemu grupy w PiS. W ubiegłym tygodniu media doniosły, że jej przedstawiciel Marek Suski po karczemnej awanturze z Sasinem miał zapowiedzieć powołanie kolejnego stowarzyszenia. A jakby tego było mało, z innej flanki nieustannie podobno napiera szef TV Republika Tomasz Sakiewicz, który chciałby mieć własną grupę w PiS i w tym celu zabiega u Kaczyńskiego o miejsca na listach wyborczych dla gwiazd swojej stacji – Michała Rachonia i Miłosza Kłeczka.

Bałagan najbardziej zapewne cieszy Morawieckiego, którego środowisko pozostaje najbardziej zwarte i lojalne wobec swojego lidera. I dzisiaj to były premier szachuje Czarnka, chociaż miało być odwrotnie. Sam decyduje, kiedy podciąć mu skrzydła jakąś polemiką, ponownym rozniecaniem konfliktu, sprytnym odciągnięciem uwagi. A kiedy mu z kolei pasuje, jest w stanie rzucić Czarnkowi koło ratunkowe, zgadzając się na wspólny publiczny występ, jak ostatnio w Gorzowie Wielkopolskim. Głównie chyba po to, żeby bronić się przed zarzutem braku lojalności, chociaż w PiS wszyscy wiedzą, że sukces Czarnka to ostatnia rzecz, na której byłemu premierowi może zależeć.

A prezes ma związane ręce, bo gdyby nawet zdecydował się na wycofanie słabo rokującego Czarnka, musiałby liczyć się z pogłębieniem chaosu. Pomijając już kwestię, czy byłby w stanie znaleźć odpowiedniego zmiennika. Przykład obecnego kandydata na premiera nie jest bowiem specjalnie zachęcający. Jeszcze trzy miesiące temu uchodził za polityka przyszłościowego, pretendenta do schedy po Kaczyńskim. Dzisiaj jest typowym politycznym zderzakiem, na którego już mało kto się orientuje. Niewykluczone więc, że podróż „kandydata na premiera" jeszcze trochę potrwa. Tylko że coraz trudniej się rozeznać, jaki jest punkt docelowy i kto tak naprawdę kieruje tym pociągiem.

RAFAŁ KALUKIN

© MACIEJ KONIECZNY/REPORTER

eprasa.pl 74925dea9a



Tata jak mama

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

eprasa.pl 74925dea9a

Z biologicznego punktu widzenia to oczywiście niewykonalne, ale w demografii się sprawdza: ojciec rodzi dziecko. Symbolicznie, bo to od zaangażowania mężczyzn zależy, czy kobiety będą chciały być matkami.

ZBIGNIEW BOREK

Polska grzęźnie w zapaści demograficznej. W 2025 r. zarejestrowano 238,3 tys. urodzeń (żywych). To najniższy wynik w powojennej historii. Współczynnik dzietności spadł do stanu 1,1. Jest jednym z najniższych w Europie i daleko mu do poziomu 2,1, który gwarantuje zastępowalność pokoleń. Mimo że mamy 800 plus, becikowe, babciowe, kosiniakowe, szkolne wyprawki i prorodzinne ulgi podatkowe, dzieci kosztują nas coraz więcej. Dosłownie i w przenośni. W tym roku budżet państwa wyda na ten cel niemal co dziesiątą złotówkę, łącznie ponad 80 mld zł.

Tymczasem badania dowodzą, że o liczbie dzieci w społeczeństwach rozwiniętych decyduje nie tylko wysokość świadczeń, dostępność mieszkań czy sytuacja materialna rodziny. Coraz częściej kluczową zmienną okazuje się jakość partnerstwa między kobietą i mężczyzną. Ujmując rzecz inaczej: nie ma lepszego narzędzia zwiększania dzietności niż nowoczesny ojciec. Nie rodzi dzieci w sensie fizjologicznym, ale poprzez tworzenie warunków, w których kobiety czują się bezpieczne na tyle, by podjąć decyzję o macierzyństwie. Aby Polska się nie wyludniała, potrzebna jest więc fundamentalna zmiana modelu ojcostwa. Jak sobie z tym radzą ojcowie, jakie wzorce ojcostwa odziedziczyli i jakie przekazują synom?

Emocje w tabelce

– *Zawsze chciałem być innym ojcem niż mój ojciec, który chodził do roboty, a nami się nie przejmował. Wychowanie zrzucał na barki mamy* – mówi Piotr Haraf. Ma 39 lat i troje dzieci: 11-letnie bliźnięta Franka i Hanię oraz 4-letniego Hugona. Mieszka z rodziną w Lubaczowej pod Tarnowem w drewnianym domku na górce wśród drzew. Kupili go z żoną do remontu, gdy postanowili wyprowadzić się z Krakowa. Ewelina była wtedy w pierwszej ciąży, ale założyła, że dadzą radę – i z remontem, i z dziećmi. – *Przed ślubem byliśmy razem pięć lat, dzieci przyszły na świat trzy lata po ślubie, mieliśmy więc czas, żeby się poznać. Było jasne, że będę prowadził dom razem z żoną, bo to robota dla obojga* – mówi Piotr.

Dla Franka, który urodził się z zespołem Downa, z mechanika zmienił się w specjalistę hipoterapii, dogoterapii i buwiterapii (wykorzystuje zwierzęta rogate). Został trenerem umiejętności psychospołecznych, zajął się terapią czaszkowo-krzyżową i założył z żoną Fundację Iskierka, która organizuje zajęcia edukacyjne i terapeutyczne. – *Ale każde z bliźniąt jest inne, z każdym trzeba inaczej rozmawiać i inaczej się bawić. A Hugon na nowo przypomniał mi, że rodzicielstwo to ciągła nauka, bo i on ma swój styl* – mówi Piotr.

40-letni Michał Ziemek, bankowiec ze Wschowy w Lubuskiem, to syn kanapowca (– *Po pracy obiad, gazeta, telewizja*) i ojciec pięciorga dzieci. – *Przy pierwszym początkowo nie stanąłem na wysokości zadania* – przyznaje. Gdy Magda powiedziała mu, że jest w ciąży, miał 19 lat i szedł na studia. Wyprowadziła się z miasteczka. Wróciła, gdy Maria miała półtora roku. Michał zaczął regularnie zajmować się córką, żeby Magda mogła wrócić do pracy. – *Ja dojrzałem* – mówi Michał. – *A ja zmądrzałam* – dodaje Magda. Maria owinęła go sobie wokół palca: – *Człowiek przytulił się do takiego malucha i pstryk. Stało się.* Z czasem zbliżyli się też do siebie z Magdą, w końcu razem zamieszkali i wzięli ślub.

Siedem lat po Marii (tak późno z powodów zdrowotnych) na świat przyszedł Franciszek, później Konstanty i Władysław,



Piotr Haraf z Lubaczowej, ojciec trojga dzieci. Wspólnie z żoną założył edukacyjno-terapeutyczną Fundację Iskierka, razem prowadzą też dom.

Jadwiga urodziła się trzy lata temu. – *Każde kolejne dziecko to była świadoma decyzja* – mówi Magda Ziemek, żona Michała. Pracuje jako ratowniczka medyczna na 12- i 24-godzinne zmiany. Ten, kto jest w domu, gotuje, pierze, odwozi do przedszkola i na trening, pomaga odrobić lekcje, kąpie, tuli do snu. – *Inaczej mało prawdopodobne, że dalibyśmy radę. I że chciałabym kolejne dzieci* – mówi Magda.

33-letni Daniel Szkudlarski z Gliwic, dawniej street worker, teraz edukator, ze swojego słownika wyciął słowo „pomaganie" (przy dziecku) i „zostawanie" (w domu): – *To tak, jakby być w rodzinie kimś drugorzędnym albo zostawać w firmie na nadgodziny. Ja nie pomagam, tylko uczestniczę. I nigdzie nie zostaję, tylko spędzam z dziećmi czas.* Jest ojcem dwóch kierowników: starszego i młodszego. Tak nazywa synów, 4,5-rocznego Dominika i 2,5-rocznego Józia. O sobie mówi: kompas, ale nie GPS. – *Idę z nimi i wyznaczam cel, ale uszy i oczy mam otwarte na to, czego chcą kierownicy, i w razie potrzeby koryguję kierunki.* Jego ojciec był tak zapracowany, że aż nieobecny, Daniel chciał więc być zaangażowany. Liczył, że ojcostwo będzie przygodą życia. I jest, ale inną niż pozostałe: przez pierwsze półtora roku Dominik budził się w nocy co 40 minut, tata zasypiał w fotelu na siedząco.

Jednym z filarów ojcostwa dla Daniela jest praca nad emocjami. – *Pokolenie naszych ojców kompletnie sobie z tym nie radziło, nasze się uczy, a dla pokolenia naszych synów wyrażanie emocji* ▶

© FUNDACJA SHARE THE CARE

eprasa.pl 74925dea9a

▶ *powinno być naturalne* – mówi. Gdy jeden czy drugi kierownik się przewrócą, ojciec nie wmawia im, że nic się nie stało. Zaglądają wtedy do „tabelki emocji": 30 obrazków symbolizuje smutek, radość, strach, ale też potrzeby zrozumienia, spełnienia czy rywalizacji. – *Ostatnio Dominik oświadczył, że jest na mnie zły, ale nie jest jeszcze gotów o tym rozmawiać. Nauka emocji idzie nam chyba nieźle* – mówi Daniel.

Monika poznała go, gdy była opiekunką dzieci we Włoszech. – *Od razu dostrzegłam, jak świetnie sobie radzi z dziećmi* – wspomina. „W praniu" potwierdziło się, że Michał potrafi się zajmować ich synami. Nie tylko pajacować, ale też trzymać się zasad i uczyć tego chłopców. – *Mężczyzna powinien być partnerem na życie, ale jednocześnie materiałem na ojca, bo inaczej nici ze związku i z rodziny* – uważa Monika Szkudlarska.

Powrót taty

– *Oparty na patriarchacie model ojca żywiciela rodziny powoli odchodzi w zapomnienie. Ojcowie coraz bardziej angażują się w wychowanie dzieci* – mówi dr Marta Bierca, socjolożka z Uniwersytetu SWPS. W książce „Nowe wzory ojcostwa w Polsce" opisuje sześć typów współczesnych polskich ojców. Profesjonalista podchodzi do dziecka jak do inwestycji: od najmłodszych lat planuje jego życiową karierę i pilnuje realizacji. Wychowawca chce być wzorem i życiowym przewodnikiem. Odmieniony przez ojcostwo to człowiek, którego narodziny dziecka przywracają „do pionu". Niedoskonały opiekun nie idealizuje roli ojca, ale i nie jest idealny, wciąż przeżywa więc frustracje. Ojciec uczuciowy jest jak męska kwoka: otacza dziecko opieką już w życiu prenatalnym, a po narodzinach daje z siebie wszystko i jeszcze się przy tym wzrusza. Kumpel buduje relacje na zasadzie równości i czasem sprawia wrażenie, jakby też był dzieckiem. – *Tyle jednak jest modeli ojcostwa, ilu ojców. Różnią się wizją ojcostwa, zaangażowaniem i stosunkiem do dzieci* – dodaje dr Bierca.

Statystyczny polski mężczyzna tatą zostaje po trzydziestce. Żyje trochę jak w imadle: czuje presję, żeby być nowoczesnym ojcem, ale dobrych wzorców raczej nie odziedziczył. Badacze wykazują tymczasem zależność – jeśli chłopcy wychowują się w rodzinie praktykującej wzory równościowe, jako mężczyźni powielają je we własnej. Na poziomie deklaracji równość płci ma się u nas znakomicie. Dziewięciu na dziesięciu mężczyzn uznaje ją za wartość, którą należy przekazywać dzieciom. Ponad 80 proc. ojców chciałoby spędzać więcej czasu z dziećmi – wynika z raportu Nationale-Nederlanden „Powrót taty. Polskie ojcostwo: pełen etat czy praca dorywcza?" z 2019 r. (objął reprezentatywną próbę 1201 Polaków).

Rzeczywistość wciąż jednak wygląda gorzej, a panowie potrafią robić dobrą minę do złej gry: sami siebie oceniają znacznie lepiej, niż widzą ich żony i partnerki. Co czwarty mężczyzna z projektu „Powrót taty" twierdzi, że czerpał wiedzę o roli ojca z fachowego piśmiennictwa (potwierdza to co dziesiąta kobieta). 62 proc. twierdzi, że prowadza dzieci na rutynowe badania lekarskie i szczepienia (co potwierdza 37 proc. respondentek), do odrabiania lekcji z dziećmi i kontaktu z wychowawcą przyznaje się trzech na czterech, ale przeczy temu co druga kobieta.

Z „Budżetu czasu ludności" (GUS 2023) dowiadujemy się, że mężczyzna wykonuje obowiązki domowe i opiekuńcze średnio przez 2 godz. 41 minut dziennie, a kobieta – 4 godz. 19 minut. Dysproporcje się zmniejszają, ale zbyt wolno, podobnie jak ojcostwo w praktyce. Autorzy projektu „Równość płci i jakość życia" (Instytut Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2015 r.) wyliczyli



Michał Ziemek, bankowiec ze Wschowy, ojciec pięciorga dzieci. Kiedy jego żona Magda, ratowniczka, ma dyżur, on zajmuje się dziećmi i domem.

tempo tej zmiany: 20 proc. rocznie. Czyli co piąty badany częściej przypisywał poszczególne obowiązki domowe obojgu partnerom w rodzinie założonej przez siebie niż w tej, w jakiej się wychował. Jeśli chcemy powalczyć o demografię, zmiany trzeba przyspieszyć. Tak przynajmniej wynika z krzywej „U", która obala archaiczne teorie wieszczące upadek rodziny wraz z emancypacją.

Model skandynawski i czeski

Za pomocą krzywej w kształcie litery „U" socjologia, w tym prace duńskiego badacza prof. Gøsty Esping-Andersena, tłumaczy obecną sytuację Polski. Według niej w pierwszej fazie emancypacji kobiety wchodzą na rynek pracy, ale normy domowe pozostają tradycyjne. Rodzi to konflikt ról i drugi etat kobiety w domu, co skutkuje gwałtownym spadkiem dzietności. W tym miejscu znajduje się Polska ze wskaźnikiem 1,1.

Stabilizacja i ponowny wzrost liczby urodzeń (druga faza emancypacji) następuje najszybciej tam, gdzie ojcowie przejmują znaczną część obowiązków domowych (tzw. feminizacja ról męskich), a państwo wspiera ten proces. Zaangażowanie ojca zmniejsza bowiem koszty rodzicielstwa ponoszone przez matkę – nie tylko w wymiarze praktycznym (opieka nad dzieckiem, obowiązki domowe), ale również zawodowym, emocjonalnym i psychicznym. W społeczeństwach, w których kobiety mają wysokie aspiracje edukacyjne i są aktywne zawodowo – a tak jest już także w naszym kraju – decyzja o kolejnym dziecku często zależy od tego, czy rodzicielstwo jest postrzegane jako wspólne przedsięwzięcie.

Potwierdzają to dane z krajów nordyckich. W Islandii nietransferowalne urlopy dla ojców (nie może wykorzystać ich matka) wyhamowały spadek liczby urodzeń pierwszego dziecka, zwiększyły szansę przyjścia na świat drugiego oraz trzeciego, a wskaźnik dzietności wzrósł z 1,3 do 1,8. Zbliżone wyniki przynoszą badania nad rodzinami szwedzkimi. Badania norweskie Trude Lappegård i Toma Kornstada dowodzą, że pierwsze dziecko staje się wręcz testem partnerstwa, który wpływa na decyzję o powiększeniu rodziny.

– *Narodziny pierwszego dziecka są często silnie związane z normami kulturowymi i samą decyzją o wejściu w rodzicielstwo. Natomiast przy drugim dziecku rodzice podejmują decyzję już na podstawie własnych doświadczeń* – komentuje dr Bierca. Jeśli partner rzeczywiście uczestniczy w obowiązkach rodzinnych, kobieta częściej rozważa powiększenie rodziny. Partnerski model ojcostwa sprzyja zatem wyższej dzietności, ale mechanizm ten jest

eprasa.pl 74925dea9a

bardziej złożony, niż mogłoby się wydawać, co widać np. u naszych południowych sąsiadów.

„W Czechach dominuje obecnie model współdzielonego intensywnego rodzicielstwa" – zauważa dr Jana Klímová Chaloupková z Instytutu Socjologii Akademii Nauk Republiki Czeskiej, badaczka rodziny i rodzicielstwa. Na łamach „Journal of Family Issues" opisała cechy tego modelu. Zakłada on odrzucenie założenia, że matki mają wrodzone (czytaj: lepsze) umiejętności opiekuńcze. Poświęcenie dziecku ogromnej energii i czasu to zadanie dla obojga rodziców. Ojciec przy dziecku powinien być nie tylko fizycznie, ale też emocjonalnie, intymnie. Nowoczesne ojcostwo nie działa jednak w próżni. Eksperci ekonomiczni Klára Kalíšková i Daniel Münich udowodnili na przykładzie czeskich gmin, że dzietność i aktywność zawodowa kobiet są też ściśle powiązane z dostępnością infrastruktury: gdy liczba miejsc w przedszkolach rośnie o 10 proc., zatrudnienie matek zwiększa się o 0,5 proc.

Dzielenie się rutynowymi pracami domowymi ma nawet silniejszy wpływ na decyzję o drugim dziecku niż samo uczestnictwo w opiece nad dzieckiem – dowodzą z kolei Ester Fanelli (Brown University w USA) i Paola Profeta (Bocconi University we Włoszech). Sprzątanie, gotowanie i zakupy są postrzegane jako bardziej uciążliwe, dlatego przejęcie tych obowiązków przez mężczyznę skuteczniej niweluje podwójne obciążenie pracującej matki, co zwiększa prawdopodobieństwo powiększenia rodziny nawet o 50 proc. – wynika z ich badań m.in. w Czechach i Polsce. Jak dowodzą, bez zaawansowanego partnerstwa w domu rośnie ryzyko, że pracująca matka nie zdecyduje się na dziecko, bo jedną z głównych barier prokreacyjnych dla kobiet jest lęk przed regresem zawodowym. Ten lęk nie jest wydumany.

Bój o równość rodzicielską

Badania laureatki Nagrody Nobla prof. Claudii Goldin wskazują, że wraz z dzieckiem rodzą się nierówności płacowe, bo kobieta wypada z rynku pracy, a mężczyzna nadal buduje swoją karierę. W Polsce mediana zarobków wynosi 7299 zł dla mężczyzn i 6979 zł dla kobiet. Zawodowo pracuje u nas 98 proc. ojców dzieci w wieku 1–3 lat i tylko 62 proc. matek. Gdy jednak dziecko zachoruje, wolne w pracy znacznie częściej bierze kobieta: w 2025 r. matki wykorzystały 78 proc. dni na opiekę, ojcowie tylko 22 proc.

– *Gdy ojciec staje się pełnoprawnym opiekunem, kobieta przestaje być postrzegana przez pracodawców jako „pracownik podwyższonego ryzyka"* – zauważa Karolina Andrian z Fundacji Share the Care, która promuje równy podział obowiązków domowych. Dzięki unijnej dyrektywie *work-life balance*, która zwiększyła dostępność urlopu rodzicielskiego, liczba ojców korzystających z tego rozwiązania skoczyła u nas z 1 proc. w 2022 r. (3,7 tys. osób) do 24 proc. w 2025 r. (57 tys. osób). Tempo wzrostu jednak słabnie. „Dalsze zwiększanie skali zaangażowania mężczyzn wymaga działań systemowych" – czytamy w najnowszym raporcie ZUS i Share the Care „Równość rodzicielska w Polsce" z marca 2026 r.

Trzeba zacząć od rzetelnej, czytelnej i precyzyjnie kierowanej informacji, bo polscy mężczyźni narzekają na galimatias nazewniczy (ojciec może iść na urlop macierzyński, a tacierzyński formalnie nie istnieje) i trudności w dostępie do informacji, które są rozsiane na stronach internetowych różnych ministerstw i urzędów. To zadanie dla urzędów, szkół rodzenia, szpitali, pielęgniarek środowiskowych, a także pracodawców. Samo informowanie problemu jednak nie rozwiąże, bo w Polsce wciąż obowiązuje przekonanie, że to matka jest domniemanym pierwszym opiekunem dziecka. Tak z reguły myśli dalsza rodzina, sąsiedzi, znajomi i przyjaciele, tak działają żłobki, przedszkola i szkoły, tak ją traktują instytucje czy urzędy. Z tego też wynikają społecznie akceptowane „naturalne koszty" macierzyństwa, jak ograniczenie aktywności zawodowej, nie wspominając o redukcji życia towarzyskiego, zainteresowań, pasji. O tacierzyństwie także w tym kontekście zapomnij.

Trend „powrotu do rodziny" (stabilne związki, dwoje i więcej dzieci) jest napędzany przez najlepiej wykształcone elity, które zaadaptowały model partnerski. Niestabilność i samotne rodzicielstwo stają się domeną rodzin słabiej wykształconych i uboższych. Egalitaryzm wymaga więc budowania bezpiecznej przestrzeni dla ojcostwa – jak to się fachowo określa – żeby zajmowanie się domem nie było dla mężczyzn aktem odwagi, lecz standardem. Aby tak się stało, ustawodawca i rząd powinni podnosić jakość edukacji (także dorosłych), redukować lukę płacową i opiekuńczą, uelastyczniać warunki pracy (także dla ojców). Sporo do zrobienia mają lokalne samorządy: zamiast wdrażać „programy dla mam" czy „strefy dla mam", winny adresować działania do obojga rodziców.



Daniel Szkudlarski z Gliwic, edukator, ojciec dwóch synów. Dla niego jednym z filarów ojcostwa jest praca nad emocjami.

Nowy ojciec – obecny, czuły i kompetentny – staje się nieodzowny, jeśli chcemy zatrzymać wyludnienie. Bez zaangażowanego ojca coraz trudniej przekonać kobiety, że macierzyństwo nie oznacza rezygnacji z siebie. Udział ojców w wychowaniu redukuje ryzyko wystąpienia problemów emocjonalnych dzieci. U mężczyzn podnosi dobrostan psychiczny. Inaczej postrzegają własną męskość, rośnie u nich poczucie sensu, sprawczości i satysfakcji z życia – dowodzą liczne badania naukowe, a także cykl studiów nad ojcostwem i rodziną think tanku Tato.Net.

– *Ojcostwo odmieniło moje życie. Czuję się facetem pełną gębą* – tak to ujmuje Piotr Haraf z Lubaczowej, ojciec trojga dzieci. Michał Ziemek ze Wschowy żartuje, że przy piątce dzieci nie ma czasu na kryzys wieku średniego. Raz jest potworem, który krzyczy i się wygłupia, a za chwilę musi być jak policjant albo żołnierz na służbie. Daniel Szkudlarski z Gliwic tak się zapalił do ojcostwa, że po narodzinach Józia (młodszego kierownika) wykorzystał urlop macierzyński żony. – *To był najlepszy okres w moim życiu* – mówi.

ZBIGNIEW BOREK

© FUNDACJA SHARE THE CARE (2)

eprasa.pl 74925dea9a

Zajeżdżeni

Rozmowa z prof. Arkadiuszem Karwackim z UMK w Toruniu o przemęczonych Polakach i o tym, co zrobić, by naprawdę odpocząć.



JULIUSZ ĆWIELUCH: **– Pan potrafi odpoczywać?**

ARKADIUSZ KARWACKI: – Już tak. Ale przez lata nie tylko tego nie potrafiłem, ale nawet nie miałem świadomości, że nie odpoczywam.

I co się stało?

Doświadczyłem głębokiego kryzysu i wtedy zrozumiałem, że tak dalej nie mogę i nie chcę żyć. W 2015 r. ujawniła się u mnie głęboka nerwica lękowa. Ale symptomy miałem już znacznie wcześniej. Tyle że je bagatelizowałem. Dopiero kiedy nastąpiło tąpnięcie i już nie dało się bagatelizować, musiałem się zmierzyć ze swoimi problemami. Poszedłem do psychoterapeutki, z czym wcześniej bardzo długo zwlekałem. I przy jej pomocy zacząłem się mierzyć ze swoimi problemami.

Brzmi tajemniczo.

Właściwie to wiele z moich problemów jest udziałem większości Polaków, np. problemy ze snem. Z badań wynika, że połowa Polaków źle sypia. Nie wysypiają się, nie regenerują, przez co są chronicznie przemęczeni, rozdrażnieni.

Biorą pigułkę i po krzyku.

To tak nie działa. Albo inaczej. Nie powinno tak działać. Moja psychiatra oprócz antydepresantów poleciła mi książkę „Mindfulness – trening uważności...". I to ona okazała się dla mnie odkryciem kluczowego „lekarstwa". Oczywiście nie bagatelizuje działania leków, które są niezbędne do uzyskania wstępnej równowagi, czasami muszą zostać z nami na długo, może na zawsze, ale postawienie tylko na leki może nie dać poszukiwanej zmiany. Ja dopiero po latach terapii, a następnie po tym, jak wszedłem na ścieżkę praktyki uważnościowej, zacząłem odzyskiwać utracony spokój. Praktyka medytacyjna była jednym z kluczowych elementów zmiany, budowania nowego stosunku do swoich myśli, poznawania – bez trwogi – emocji. Co samo w sobie było procesem żmudnym.

Odpoczywania trzeba się nauczyć?

Trzeba się nauczyć czegoś więcej niż samego odpoczywania. Mamy kulturowo wdrukowaną wizję wartościowej jednostki, która swoją pozycję wyraża poprzez konkurowanie, osiąganie celów, których pułap ustawiać należy wyżej i wyżej. Nasze życie jest konglomeratem ról – ojciec, mąż, naukowiec, osoba społeczna – i w każdej z tych ról oczekuje się od nas ciągłego potwierdzenia wartości, akceptacji, zgodności ze społecznymi oczekiwaniami. Nieustannie spalamy się w tych rolach plus jeszcze dochodzi pogoń za materialnymi atrybutami statusu. W tej gonitwie nie ma miejsca na stratę czasu, bo tak dziś postrzegamy odpoczynek. Chyba że myślimy o odespaniu umęczenia, aby z energią powrócić do fabryki spełniania oczekiwań.

© SHUTTERSTOCK, MP

eprasa.pl 74925dea9a

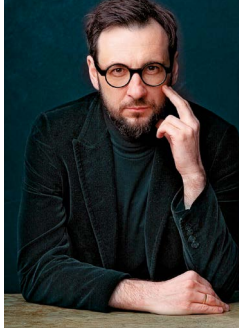

Arkadiusz Karwacki – socjolog, doktor habilitowany, profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, kierownik Katedry Badania Jakości Życia i Socjologii Stosowanej w Instytucie Socjologii UMK. Specjalizuje się w badaniach jakości życia, problemów społecznych oraz współczesnej polityki społecznej. Członek Komitetu Socjologii Polskiej Akademii Nauk oraz Komitetu Nauk o Pracy i Polityce Społecznej PAN.

A kiedyś jak go postrzegaliśmy?

To skomplikowane, bo problemy z odpoczynkiem ludzkość ma nie od dziś. Zacznijmy od tego, że człowiek jako istota funkcjonuje zasadniczo w trzech trybach regulacji emocjonalnej. Są to tryby ukształtowane w nas ewolucyjnie. Podstawowy jest tryb przetrwania, wykrywania niebezpieczeństw, zagrożeń. Odczuwamy w nim lęk, złość, obrzydzenie, różnego rodzaju nieprzyjemne emocje. Mające jednak funkcje ochronne, które uruchamiają reakcje w razie konfrontacji z zagrożeniem. To może być walka, ucieczka, zamrożenie. Kolejnym trybem są popędy. Głód, zaspokojenie seksualne, ale też osiąganie celów, zdobywanie zasobów czy w dzisiejszych czasach osiąganie awansów. Trzeci tryb, w który możemy wpisać m.in. odpoczynek, to tryb kojenia. Ten stan, w którym nic nie muszę zdobywać, nic mi nie zagraża, jestem bezpieczny. I to jest tryb, któremu towarzyszy spokój, wdzięczność, jakieś poczucie zaufania do chwili, która się teraz wydarza.

Moment, kiedy nasi praojcowie siedzieli przy ognisku i jedli pieczonego mamuta?

Kiedyś to właśnie był ten moment. A dziś to będzie przytulenie kochanej osoby, spacer po lesie czy rozmowa z kimś bliskim. Wszystko, co daje głębokie poczucie akceptacji danej chwili, relaks, spokój. Stan emocjonalny, ale też fizjologiczny, w którym mamy obniżone tętno, spada napięcie mięśniowe. Nasz mózg daje sygnał do obniżenia produkcji adrenaliny i kortyzolu, odpowiedzialnych za reakcję na sytuację stresową. Doświadczamy prawdziwego odpoczynku. Tyle że to stan, którego doświadczanie przychodzi nam coraz trudniej.

Bo?

Bo po drodze mieliśmy kilka rewolucji, które niosły w sobie obietnicę, że będzie lepiej, ale nie mówiły jakim kosztem. Przejście z czasów łowiecko-zbierackich do rewolucji neolitycznej i związanego z nią osiadłego trybu życia Juwal Noah Harari nazwał w jednej ze swoich książek największym oszustwem w historii ludzkości. Coś, co miało dać stabilność, dało również mozół i powtarzalność ciężkich prac polowych i obowiązki związane z dbaniem o zwierzęta oraz dobytek. Niekończący się sznur obowiązków. Tak licznych, że z czasem do jego realizacji potrzebny był sztywny system, którego funkcjonowanie trzeba było podtrzymać za pomocą sztucznej miary, jaką był czas i związany z nim wynalazek, czyli zegar. Co jeszcze wyżej podnosiło poprzeczkę. Już nie rytm słońca, ale dźwięk kościelnego dzwonu mówił, kiedy ma się zacząć dzień i kiedy może zakończyć się praca. Człowiek i jego potrzeby zaczęli schodzić na drugi plan. Już nie osobiste zmęczenie wyznaczało kres zaangażowania w pracę.

Mechanizm zegara był przygotowaniem do wrzucenia nas w tryby mechanicznego świata maszyny parowej?

Rewolucja przemysłowa, uznana za najbardziej kluczowy moment w budowie współczesnej cywilizacji, ale też mentalności. Fabryka wymagała punktualności, stałej obecności, niezależnie od samopoczucia czy pogody. Ludzie pracowali w rytmie maszyny, a nie w swoim rytmie. W tej sytuacji odpoczynek był traktowany jako przerwa od pracy, a nie naturalny element życia.

Przerwa była dla maszyny, a nie dla człowieka.

Tak. Co oczywiście było wbrew naturze, ale zostało cywilizacyjnie obudowane całym systemem etycznym i moralnym, tzw. etyką produktywności, opisywaną przez Maxa Webera, gdzie pracowitość była cnotą, bezczynność moralnie podejrzana, a sukces zawodowy świadczył o wartości człowieka. To jest oczywiście historia ludzkości rysowana bardzo grubą kreską, pełna uproszczeń, ale wiodąca do dnia obecnego, w którym produktywność, sprytnie połączona z pozorną zabawą w urządzeniu zwanym smartfonem, powoduje, że jesteśmy nieustannie podłączeni do pracy. Mail może do nas dotrzeć w każdym miejscu i momencie. Jesteśmy stale osiągalni. Sami się zresztą bodźcujemy, sprawdzając po pracy różnego rodzaju wiadomości z nią związane. To powoduje, że odpoczynek jest pod ogromną presją oczekiwań. Tych z zewnątrz, ale i naszych własnych, kreowanych przez poczucie zagrożenia, że inni coś zrobią lepiej, są gotowi, by działać, kiedy my „śpimy", że finalnie stracimy pracę.

We Francji wprowadzono prawo, które zakazuje wysyłać esemesy i maile do podwładnych po godzinach pracy.

Niemiecki socjolog Hartmut Rosa nazywa to społecznym przyspieszeniem, społeczną akceleracją, która następuje właśnie z tym przetwarzaniem ogromu informacji, z tym ciągłym podłączeniem. Pod taką presją odpoczynek jest właściwie bez szans. W swoich pracach nazywam to żebraniem o poczucie własnej wartości, połączonym z nieustannym lękiem, że odpuszczenie nieustannego „krzątania się" w życiu doprowadzi do katastrofy. Mamy tyle zobowiązań, że na nasze potrzeby po prostu brakuje już przestrzeni.

Czy my przehandlowaliśmy nasz odpoczynek w zamian za sukces ekonomiczny?

Wolę mówić, że daliśmy się uwieść pewnej obietnicy związanej ze statusem, awansem społecznym, a nawet awansem całej zbiorowości na arenie międzynarodowej, jakkolwiek górnolotnie to zabrzmi. Słowo obietnica ma w sobie jakiś czar, jakąś emocję. Przehandlowanie nie tylko jest transakcyjne, ale odarte z pozytywnych emocji, których przecież również nie brakowało, kiedy dokonywały się transformacje ustrojowa i gospodarcza.

Rewersem obietnicy może być rozczarowanie. Czy Polacy są rozczarowani?

Polacy byli najbardziej rozczarowani tym, co dawał, a właściwie czego nie dawał, poprzedni system. Stąd świat oparty na liberalnej koncepcji jednostki wydawał się zbawienny. Ludzie na wiele się godzili. Natomiast po zrealizowaniu tego marzenia okazało się, że Polacy są umęczeni. To słowo jest chyba najbardziej adekwatne do opisania stanu samopoczucia polskiego społeczeństwa.

Barwne, ale co nas tak umęczyło?

Przed pandemią katedra w Instytucie Socjologii UMK, którą współtworzę, wraz z Instytutem Gospodarstwa Społecznego SGH w Warszawie ogłosiła konkurs na pamiętniki bezrobotnych. Zachęceni efektami, już w trakcie pandemii ogłosiliśmy jeszcze jeden konkurs na prace obrazujące codzienność Polaków w dobie upowszechnienia Covid-19. W sumie ponad tysiąc pamiętników i dziesiątki tysięcy stron, które napisali Polacy, można sprowadzić do tego jednego słowa – umęczenie. Ponad trzy ▶

eprasa.pl 74925dea9a

▶ dekady ostrej walki o pozycję, o status, mówiąc potocznie, nas zajeździło. Ludzie są chronicznie zmęczeni.

A może to nie jest zmęczenie made in Poland, tylko wszyscy tak mają, bo w takim żyjemy świecie?

Tak i nie. Instytut Gallupa regularnie robi badania w tym obszarze. W zeszłym roku ankieterzy przepytali respondentów z różnych krajów, w tym z Polski, jaki odsetek pracowników odczuwał silny stres poprzedniego dnia. Średnia dla świata była 40 proc. Dla Europy 39 proc., a dla Polski 22 proc. Niby wspaniale. Ale gdy zaczęto drążyć i badać stres związany z samą pracą, to aż 53 proc. Polaków deklarowało wysoki codzienny stres. Reasumując: odczuwamy wiele zadowolenia z życia osobistego, rodzinnego – o ile ktoś ma rodzinę. Ale praca odbiera nam tę radość. Negatywnie oceniamy poziom wynagrodzeń. Nie tyle sama praca jest problemem, ile relacje w niej panujące i poczucie zagrożenia, że pracę stracimy. Brak stabilności jest silnym stresorem w polskich realiach.

Czy jakimś rozwiązaniem jest urlop?

Dla tych, którzy z niego korzystają, pewnie jest. Tyle że Polacy korzystają z urlopów w sposób mało efektywny. Mało kto decyduje się na długi urlop, który jest jedynym sposobem, by złapać dystans do pracy i zacząć realnie wypoczywać. Z badań CBOS wynika, że 60 proc. Polaków zadeklarowało wyjazd na co najmniej dwudniowy wypoczynek.

Żeby odpocząć, powinien być znacznie dłuższy, np. dwutygodniowy.

Taką przerwę w pracy deklarowało zaledwie 11 proc. respondentów. Nawet gdybyśmy w sposób karkołomny i nieuprawniony zrównali urlop z odpoczynkiem, to i tak wychodzą niezwykle krótkie momenty na realny odpoczynek. Tyle że do tego trzeba jeszcze dodać te powszechne problemy ze snem. W Polsce, ale nie tylko u nas, jest już zjawisko opisywane jako *sleep tourism*, czyli takie wczasy, na które jedziemy tylko po to, żeby się wyspać.

My na wakacjach lubimy przebałaganione poranki. Takie ze śniadaniem o 10 czy nawet 11, kiedy do stołu zapędza już głód, a nie obowiązek szybkiego zjedzenia i działania.

Kultura odpoczynku jest czymś, co właściwie musimy odbudować. Presja efektywności, w której byliśmy trenowani przez lata, ma nad nami wielką zawłaszczającą władzę, która rozciąga się na zachowania pozornie związane z relaksem. Dobrym przykładem jest bieganie. Czynność, która daje nam kontakt z naturą, odcina od bodźców związanych z pracą, pozwala zrzucić stres zawodowy. Ale we współczesnych realiach bieganiem rządzi aplikacja, ewentualnie jakiś zegarek, który nagradza nas za dobry trening pochwałami, ale też potrafi skarcić, że wysiłek był bezproduktywny. W efekcie nie biegniemy już dla siebie, ale dla aplikacji, prestiżu, podtrzymania samooceny, osiągnięcia jakichś celów wizerunkowych, bo przecież po takim biegu należy jeszcze wrzucić relację na media społecznościowe. Współczesny świat na każdym kroku nieustannie mówi do nas: eksponuj status, potwierdź go.

Kto jest problemem: ja czy mój wizerunek ja, który buduję w mediach błędnie nazywanych społecznościowymi, a w zasadzie antyspołecznościowymi?

Problemem jest uwikłanie w różnego rodzaju oczekiwania, obietnice, które są wpisywane w nas od dziecka. Pozornie sami sobie wkładamy do kieszeni maszynkę do nieustannych społecznych porównań: twojego życia, twojego stroju, twojego ciała, twoich wakacji, twojego mieszkania. Ale tak naprawdę to nie jest nasz wybór, tylko presja, której ulegamy. Presja tak silna, że stajemy wobec niej bezbronni.

Jak się uratować?

Odpowiedzi szukałbym w badaniach harvardzkich, które są najdłużej realizowanymi badaniami nad zagadnieniem szczęścia, zdrowia i długowieczności. Wynika z nich, że najważniejsze są relacje, w których możemy się czuć swobodnie, „nie grać w status". Inwestycja w relacje, przyjaźnie, udany związek jest kluczem do poczucia szczęścia. W moim małym środowisku zawodowym udało się nam stworzyć przestrzeń, w której ludzie otwarcie mówią o swoich słabościach, dzielą się problemami, wspierają wzajemnie. I wiem, że można taką atmosferę skalować również na większe zespoły zawodowe. Tylko trzeba stworzyć bezpieczną przestrzeń. Da się inaczej funkcjonować i wyjść z tej jaskini rywalizacji.

To budujące, że po przeczytaniu tysiąca pamiętników ma pan w sobie odwagę głoszenia takiej utopii.

To nie jest utopia, tylko konieczność. Wiem, bardzo trudne do wdrożenia – zbyt wiele zasad przyswoiliśmy, często nie znamy innej formuły, nikt nam jej nie pokazał. Świat zdominowany przez walkę o przetrwanie i permanentne osiąganie jest tym naszym „oczywistym". Ale jeśli nie naprawimy życia w pracy, to się zajedziemy do końca. *Work life balance* będzie tylko pustym hasełkiem. Tego czasu nie da się podzielić na pracę i wypoczynek. Jan Danecki już w latach 70. XX w. pisał o „jedności podzielonego czasu". Trzeba się odsłonić i zaprosić do tego innych – i w pracy, i w domu.

Jest, jak jest. Polacy kradną szczęście w życiu, stąd takie oczekiwanie na weekend. Tylko czy my te weekendy dobrze wykorzystujemy?

Z tym też jest problem. Kiedyś się śmiałem, że Polska to taki kraj kulturowego wzoru grillowania, w którym już Mieszko I to robił. Co mogło mieć miejsce. Ale u nas model grillowy jest skopiowany z amerykańskiego snu. Bardziej z filmów niż z realnego życia Amerykanów. Gdy tworzyliśmy nowe wzorce zachowań, wydawało nam się, że tak powinien wyglądać wypoczynek. Co zresztą było bardzo wygodne, bo łączyło gościnność z emanacją statusu. Dawało pozór relaksu, ale przede wszystkim stanowiło alibi do takiego cywilizowanego sięgania po alkohol. Alkohol bez grilla kojarzony był źle, a z grillem już był w pełni akceptowany.

Alkohol miał też funkcje odstresowania.

Nigdy nie piłem szczególnie dużo, a przez ostatnie 10 miesięcy nie piję w ogóle i, proszę mi wierzyć, że obecnie jestem bardziej zrelaksowany. Alkohol nam w niczym nie pomaga, a wręcz szkodzi. Wszystkie działania związane z redukcją stresu przez alkohol są pozorne. Podobnie przeglądanie rolek w telefonie jako tzw. odmóżdżenie też nie odstresowuje. Nasz mózg jest tak zbudowany, że próbuje budować spójną historię z tego, co oglądamy. A tam jest przecież totalna sieczka. To nie jest odmóżdżenie, to jest zajeżdżanie mózgu.

I tak mamy zajeżdżonych Polaków. Czy podróżowanie jest pomysłem na nasze narodowe zajeżdżenie?

Mądre, nienastawione na budowanie pozycji na socialach, na odhaczanie zabytków na liście, na bycie produktywnym w wypoczynku, oczywiście jest. Ale tego też trzeba się nauczyć, tak jak odpoczywania. Warto zwrócić uwagę, czy potrafię nic nie robić. Niby łatwe, ale czy naprawdę?

ROZMAWIAŁ JULIUSZ ĆWIELUCH

eprasa.pl 74925dea9a

Forum Horyzontów Społecznych 2026. Dwa dni rozmów o przyszłości społeczeństwa

Ponad 70 prelegentów, 22 debaty i blisko 200 uczestników zgromadziła pierwsza edycja Forum Horyzontów Społecznych Uniwersytetu Civitas 2026. Przez dwa dni przedstawiciele nauki, administracji, biznesu i NGO debatowali o kluczowych wyzwaniach współczesności.



Forum zostało pomyślane jako przestrzeń dialogu między środowiskiem akademickim a praktykami życia społecznego i gospodarczego. Program wydarzenia łączył refleksję naukową z analizą realnych problemów, z którymi mierzą się dziś społeczeństwa w Polsce i na świecie.

W centrum dyskusji znalazły się trzy obszary szczególnie istotne dla przyszłości nauk społecznych. Pierwszy dotyczył edukacji i rynku pracy. Eksperci zastanawiali się, jak przygotowywać młodych ludzi do funkcjonowania w rzeczywistości ciągłych zmian technologicznych i społecznych oraz jakie kompetencje będą kluczowe w nadchodzących dekadach.

Drugim ważnym tematem była sztuczna inteligencja i jej wpływ na życie społeczne. Uczestnicy debat analizowali nie tylko możliwości rozwoju nowych technologii, lecz także ich konsekwencje etyczne, psychologiczne i kulturowe. Rozmawiano o relacjach między człowiekiem a technologią, odpowiedzialności za rozwój algorytmów oraz wyzwaniach związanych z cyfryzacją codzienności.

Trzecim filarem Forum było bezpieczeństwo społeczne i odporność wspólnot. W obliczu narastających kryzysów, dezinformacji i napięć geopolitycznych uczestnicy poszukiwali odpowiedzi na pytania o budowanie zaufania społecznego, wzmacnianie instytucji publicznych oraz rozwijanie kompetencji pozwalających skutecznie reagować na współczesne zagrożenia.

Wydarzenie zgromadziło przedstawicieli wielu środowisk i dyscyplin, potwierdzając rosnące znaczenie interdyscyplinarnego podejścia do rozwiązywania problemów społecznych. Formuła hybrydowa umożliwiła udział zarówno osobom obecnym na miejscu, jak i uczestnikom śledzącym obrady online.

Partnerem Strategicznym Forum był Totalizator Sportowy. Wydarzenie odbyło się pod patronatem m.in. Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Przewodniczącej KRASP, Narodowego Centrum Kultury oraz Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej, Fundacji Panoptykon, Polskiego Towarzystwa Bezpieczeństwa Narodowego i Polskiej Izby Informatyki i Telekomunikacji.

Istotną rolę w dotarciu do szerokiego grona odbiorców odegrał partner medialny wydarzenia - tygodnik „Polityka", od lat aktywnie uczestniczący w debacie o najważniejszych wyzwaniach społecznych, politycznych i cywilizacyjnych.

Forum było również ważnym momentem dla samego Uniwersytetu Civitas. Wydarzenie potwierdziło, że uczelnia może skutecznie łączyć środowiska naukowe, eksperckie i społeczne wokół tematów istotnych dla przyszłości Polski i Europy. Spotkanie badaczy, praktyków, przedstawicieli instytucji publicznych, organizacji społecznych oraz biznesu pokazało, że dialog między różnymi perspektywami jest dziś nie tylko potrzebny, ale wręcz niezbędny do wypracowywania odpowiedzi na złożone wyzwania współczesności.

– To wydarzenie pokazało, że jako społeczność akademicka potrafimy nie tylko rozmawiać o przyszłości, ale także wspólnie tworzyć przestrzeń do prowadzenia takich rozmów – podkreśla dr hab. Michał Szostak, prof. Uniwersytetu Civitas, prorektor ds. naukowych i międzynarodowych oraz przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Forum.

Pierwsza edycja Forum Horyzontów Społecznych pokazała, że istnieje duże zapotrzebowanie na rzetelną debatę opartą na wiedzy, doświadczeniu i otwartości na różne perspektywy. Uniwersytet Civitas zapowiada kontynuację inicjatywy w kolejnych latach.

eprasa.pl 74925dea9a



O. Tadeusz Rydzyk z darowanym mu mieczem piastowskim, obok Paweł Majewski, ówczesny prezes spółki Enea, i Jacek Sasin, wtedy minister aktywów państwowych, Jasna Góra, lipiec 2023 r.

Podanie o mieczu piastowskim

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

To taka legenda, że żaden Ekskalibur się nie umywa.



Rzecz działa się nie tak dawno temu, bo za panowania drugich książąt pisowskich (AD 2023). W lipcu tamtegoż roku na słynące cudami wzgórze klasztorne w Częstochowie – gdzie świętował sługa boży o. Tadeusz Rydzyk wraz z rzeszami wyznawców swych – przybył pokłonić głowę ministerialną Jacek Sasin, sam podskarbi królestwa nazywany ministrem aktywów państwowych. Przywiózł ze sobą dar tak cudny, że po dziś dzień niezbadany, choć najtęższe nad nim pochylają się głowy.

Był to miecz książęcy, tysiącletni, Piastów pamiętający. Zdobiony bogato, ale po chrześcijańsku, bo i krzyże Pańskie, i skrzydło anielskie na jego głowni ręką płatnerza wyryto. Miecz, chociaż taki przedwieczny, pałał blaskiem kruszców, jakoby dopiero z płatnerskiego kowadła był zabrany, albo i od złotnika po inkrustacji.

Przyjął o. Tadeusz z rąk posła pisowskiego owo drogie sercu każdego prawdziwego Polaka utensylium, a ze skromnością w dłoniach ważył. Gdyż nie dla siebie on brał, jeno dla gabinetu osobliwości, wielkiego i nadobnego, które w mieście Toruń stawiał. Muzeum Pamięć i Tożsamość miejsce to zwano, a jako w budowie będące, z silnym brakiem eksponatów się zmagało. (Będą potem złe języki gadać, że dzieła swe o. Rydzyk za gotowiznę wszystkich poddanych królestwa uskutecznia, czy im to miłe, czy nie. Ale na onych oszczerców zagrzmi duchowny i klątwą jako obrzuci, albowiem mu to wolno).

Zaś w dniu ofiarowania miecza tłum wyznawców wiwatował na Jasnej Górze na cześć nowo uczynionej relikwi wszechpolskości. Wszak po mieczu ci zawsze u nas w Polsce spuścizna umysłowa idzie, a nigdy po kądzieli.

•••

Szczerego serca i prawilni – oto jakimi mężami byli dawni książęta pisowscy! Skarbiec państwowy chętnie otwierali przed swoimi, zwłaszcza hojnie wynagradzali tych ślepej wierności. A nade wszystko o modlitwy sławiące majestat ich władzy u duchowieństwa zabiegali, datki hojne na Kościół łożąc.

Jednakże od pewnego czasu pomruk jakowyś zły poszedł z narodu, co zmianę u władz zwiastował. A z nią rachunków wyrównywanie i sromotę obecnie panujących. Lud – jak to wywodzili wieszcze

© FACEBOOK JACKA SASINA, FORUM

eprasa.pl 74925dea9a

po sondażowniach – obrać mógł sobie na jesieni innych faworytów, którym korona przechodnia przynależna będzie.

Trwogą wśród książąt pisowskich powiało. Nawet już liczne zastępy minstreli dworskich, na garnuszku władzy tłusto pasanych i dlatego panów swych pod niebiesa sławiących po telewizjach różnych, z pomocą nie nadążały. Oto już inni łby z błot politycznych wystawiali, wołając o odnowę w kraju. Przeto działać należało bez zwłoki, a już osobliwie na polu sztuk tajemnych, które lud umiłował sobie bardziej, niźli nauki mężów uczonych.

Jedną z odpowiedzi jawił się zaiste miecz piastowski, nasz polski Ekskalibur.

•••

Bowiem częstochowski on był, swojski, przez dziesięć stuleci zębem czasu niezbyt nadgryzion. Zesłany podskarbiemu Jackowi Sasinowi z gotową legendą piastowską. Ziścić się to musiało w okolicznościach cudownych, bo na całym świecie nie było i nie ma człeka, który by o tak nadobnej starożytności, jak ten miecz, kiedykolwiek słyszał. Gdyby bowiem miecz za dawnych czasów był już odkryty, poczytano by go za skarb o wartości zgoła niebywałej, a cenie nieoszacowanej.

W prostych i nieobłudnych słowach cieszył się podskarbi Sasin w Częstochowie, iż tak cenny eksponat, obiekt z czasów Mieszka I, o. Rydzykowi do rąk własnych przekazuje. Zaś jeden z dworzan, co w świcie Sasina oddać cześć duchownemu przybyli – Paweł Majewski, namiestnikujący w dobrach państwowych jako prezes spółki Enea SA – z pompą niemałą wypowiedział słowa te: „Jako firma odpowiedzialna społecznie z radością wsparliśmy toruńskie muzeum, przyczyniając się do upamiętniania wydarzeń historycznych oraz budowania postaw patriotycznych”.

•••

I rzucili się różni pisarczykowie i kałamarzowie szargać świętość miecza tego! „Gazeta Wyborcza”, wp.pl, POLITYKA, „Fakt” i inni szatani byli tam czynni! Władzy panującej urągali, sugerując jej gruby przekręt finansowy na szkodę społeczeństwa. I wołali chorałem za poetą: „O! rękę karaj, nie ślepy miecz!”.

Nic to, że legendzie miecza dawał wiarę lud mnogi. Że już gotował się pielgrzymować tłumnie i czcić miecz w mieście Toruń, pomiędzy innymi dziełami ojca Tadeusza jak Sanktuarium Najświętszej Maryi Panny Gwiazdy Nowej Ewangelizacji i św. Jana Pawła II; uczelnia wyższa Jego, w której naucza się wiedzy; a Medium, z którego to głosi światu prawdę jedyną i niedosiężną faktom namacalnym. Nic to, że poprzez misterium miecza patriotyzm polski przed wyborami wzmożono niebywale!



Mieszko I z mieczem piastowskim w wyobrażeniu Jana Matejki

Pisarczykowie źli nie znali pomiarkowania w czynach. Wywiedzieli się skrycie, iż ze skarbca krajowego książęta pisowscy wyłożyli na kupno starożytnego miecza dla o. Rydzyka sumę 250 tys. Drogo!, wyły te koszałki-opałki; oddawać pieniądze do skarbca! Natenczas władza niezłomnie trzymała stronę miecza, a póty trwała, nic nie mógł wróg legendzie tej staropolskiej zrobić.

•••

A trzeba wam wiedzieć, że żył-był w AD 2023 Krzysztof Brejza z Inowrocławia, senator. Przez książąt pisowskich był on gremialnie nieszanowany jako zagończyk stronnictwa przeciwnego, postrach siejący w hufcach władzy pytaniami swymi przykrymi. Nieraz już wywlekał on na światło dnia rozmaite czyny delfinów partii panującej, nielicujące z ich chrześcijańskimi sumieniami oraz kalające polskie gniazdo. Wielokroć zaginali na niego parol książęta pisowscy, nawet i czytali jego prywatne pisma, a podsłuchiwali telefony, a przyłapać na postępku zdrożnym nie zdołali. Przeto nie pozostawało im nic innego, jeno lżyć go na równi ze wszystkimi z jego stronnictwa – minstrele dworscy nakazane mieli snuć intrygę, że tamci drudzy to złe Niemce są, Polsce wbrew robiący, a do komunii św. nie chodzą. Nie byłoż w owym czasie nic gorszego jak publiczne obwinienie o konszachty z Niemcem.

Już od pierwszych chwil Krzysztof z Inowrocławia jawnie i ostro przeciw baśni o mieczu piastowskim wystąpił. Wpierw do Prokuratury Okręgowej w Varsovii skierował sprawę, żeby oni tam czem prędzej za śledztwo się brali, jako że miecz wielce podejrzany mu się zdaje. Bowiem po pierwsze: za tę świeżo wydobytą na jaw relikwię płacono złotymi ze skarbca państwowego w taki oto sposób, że Fundacja Enea (państwowa) dała na miecz Fundacji Pamięć i Tożsamość (o. Tadeusza, sługi bożego), a uczynić to mogła jedynie za zgodą podskarbiego (ministra) Sasina.

Po drugie zaś, uczeni świeccy powiadali, iż legenda, tak zuchwale datująca miecz na prapoczątek polskości, mogła okazać się jeno snem obłudnika śnionym nieprzytomnie, by omamić naród cały.

•••

Mówiąc całkowicie poza piękną legendą: od miecza wiało farmazońskim.

Świecił się jakby był z Jablonexu, nie z wykopalisk. Urągał oszczędnej estetyce swoich czasów poprzez nachalizmy symbolistyczne. Nikogo nie dopuszczano do miecza na odległość wzroku. Należało ślepo wierzyć władzy, że jacyś światowi eksperci już miecz widzieli i potwierdzili, że oryginalny. Kto pytał o nazwiska, treść ekspertyzy lub adresy sklepów, które sprzedają takie miecze, otrzymywał w odpowiedzi pozew sądowy, że szkaluje dobre imię państwa, jego spółek i instytucji.

Wracając do legend: byli tacy, co gadali, że król jest goły, a król gadał, że jest ▶

eprasa.pl 74925dea9a

▶ godnie odziany, i kto mu za to mógł co zrobić?

•••

Przeto i niewiele zwojował w owym czasie Krzysztof z Inowrocławia, senator, tarabanieniem swoim. Nie wierząc w miecz, powagę miecza jedynie na szwank wystawiał, a historii tysiącletniej uwłaczał – przyganiali mu królewscy urzędnicy. Bo taki koncept prawny sobie wysnuł: o ile miecz jest fałszywy, tedy zachodzi przestępstwo oszustwa, o ile prawdziwy, to przekuwanie go na nadobniejszy z wyglądu także jest przestępstwem. A w obu tych przypadkach nieład się szerzy i marnotrawstwo w skarbcu, że już i miecze takie kosztowne się kupuje, skoro podobne dużo przystępniej znaleźć można na rynku osobliwości pamiątkowych.

A gadaj zdrów! Sprawy żadnej wszczynać się nie będzie, bo podstaw po temu brak – w ten oto sposób władza ówczesna, nieomylna, kwestię prawdy od siebie oddalała raz a dobrze. Miecz piastowski rzetelnym jest, od Polaka w Polsce kupionym i niech go tam sobie lud ma w głębokim poszanowaniu patriotycznym, jako główny eksponat polskości – rzekła tym samym władza, jakby amen w pacierzu stawiała.

I do muzeum o. Tadeusza w Toruniu dołożyli dobrzy książęta panujący jeszcze bez mała 200 mln ze wspólnej kasy narodowej, aby słuszności swej dziejowej dowieść, a wrogów pokarać.

Nie ustawał Brejza, a z nim i inni wojowie opozycyjni, i wciąż pytali władzę o miecz piastowski – czy podatek od darowizny uiszczono i kto uiścił. Ale na to jeno urzędniki (Ministerstwo Finansów, Krajowa Administracja Skarbowa) odpowiedź dali w liście, że pytanie o daninę od miecza na rzecz skarbu „nie zawiera wystarczających danych do jednoznacznej identyfikacji podmiotu w celu ustalenia żądanej informacji".

A nade wszystko odpór dali zdaniem takim, kres sprawie kładącym: „wnioskowane dane objęte są tajemnicą skarbową".

•••

I odtąd sprawa miecza w milczenie popadła w Polsce. Jedynie darczyńca (Fundacja Enea) wciąż jeszcze pozwy słał do „Gazety Wyborczej", albowiem byli tam ludzie, co o miecz ów piastowski, pradawny, pytań nie zaniechali. A wywiadywanie się o miecz już naonczas zakazane przez władzę było, jako czyn na szkodę powagi państwa.

I tak oto kolejno dni uchodziły w kierunku jesieni AD 2023. Pora wyborów zbliżała się wielkimi krokami, a z nią i czas otwarcia muzeum toruńskiego (Pamięć i Tożsamość) – tak pomyślanego społem przez dostojników władzy i wiary, aby wyłącznie prawdziwą polskość szerzyło. Naród miał miecz piastowski ujrzeć w całej jego glorii.

Wtem zaszły dwie takie rzeczy, które biegiem spraw pokierowały całkiem inaczej. „Fakt" drukiem ogłosił, iż miecz o. Tadeuszowi na Jasnej Górze przez podskarbiego Sasina darowany, chrześcijański i prapolski od zarania, od Niemca,



Mieszko I i Bolesław Chrobry ze Szczerbcem – pomnik niemieckiego rzeźbiarza Christiana Raucha w katedrze poznańskiej

w Niemczech i za euro zakupiony został. Niemiec ów (Jürgen H. Fricker) od bardzo wielu już lat parał się handlem dawnym orężem, a na stronie internetowej całość towaru swego ogłaszał: od mieczów, przez kusze po akcesoria strzelnicze. On to był ten – jak z czasem na jaw wyszło – który ekspertyzę dobrą, prawdziwość potwierdzającą, mieczowi do Polski sprzedanemu wystawił.

Drugą zaś sprawą, która tok spraw w kraju odmieniła, było zwycięstwo w wyborach obozu przeciwnego i tak oto książęta pisowscy władzę nad Polakami stracili, a byli wśród nich i tacy, co ze strachu przed sądem rozpierzchli się po świecie. Rzecz trzecia zaś była tajemnicza wielce: muzeum ojcotadeuszowe parę dni po wyborach niby podwoje otworzyło, wszakże zamknięte pozostaje po dziś dzień.

•••

Można by w miejscu tym położyć kres legendzie o mieczu piastowskim, atoli miecz ów w serca wielu ludzi zapadł tak głęboko, iż dalsze dzieje jego równie godne są uwagi. Pisarczyk wasz niżej podpisany do Torunia się udał celem nawiedzenia muzeum, co tam w rzędzie innych dzieł o. Rydzyka (kościół, szkoła) dumnie stoi, a piękne i wedle najnowszej mody budowlanej uczynione (beton i szkło). Albowiem piszą wszędy po internecie, że otwarte. Ba, ceny biletów indywidualnych oraz grupowych dają pod rozwagę chętnym i zapraszają. A tam jedynie podwoje elektroniczne się otwierają, a wewnątrz pustki. Za kontuarem wielkim młoda pani zasiada, co obwieszcza, że jedynie fotowystawę o pielgrzymach krótką, zaraz obok stojącą, zwiedzić się da. W oddali zaś druga pani siedzi i xięgi życiowo cenne sprzedaje, jako wielkich Polaków żywoty spisane, w tym żywot Karola Nawrockiego. I nic nadto, cisza dziejów jeno podzwania w rozległej połaci gmachu tego, a namysł w człowieku pobudza.

Ponieważ miecz aresztowanym został przez prokuraturę w maju AD 2026, tako i całe muzeum w biegu wstrzymano, też z winy prokuratury. Sprawdzają tam, czy książęta pisowscy grosz publiczny słusznie i wedle prawa na miecz i muzeum wydatkowali. Co się tyczy miecza zwanego piastowskim, to „jest przedmiotem ekspertyzy fachowców, w tym z zakresu bronioznawstwa" – wykłada Piotr Skiba (prokurator). Przeciw żadnej osobie oskarżenia nie postawiono – jedynie sprawę badają. Nie chcą mówić za dużo, bo tajemnica. Ale badają, czy nie doszło do oszustwa i bezprawnego rozporządzania skarbem państwowym.

O mieczu różnie teraz prawią. W Toruniu wierni mówią, że granda i hańba taki zabytek polskości aresztować do wyjaśnienia. A znowuż dziejopisowie zawodowi o znanych w kraju nazwiskach napisali w liście otwartym, że nie jest rzeczą możliwą, iż przy kupowaniu tysiącletniego miecza kupcy pobłądzili w rachubach aż o tysiąc lat. Bo oręż ów coś jakby nazbyt w manierze dwudziestowiecznej repliki się wydaje.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

© WIESŁAW M. ZIELIŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 74925dea9a



W szponach piękna

Awantura o paznokcie pielęgniarek i położnych przypomniała, że po pierwsze, kobiety chcą być zadbane. A po drugie, że paznokcie to dziś nasza wizytówka.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Paznokciami pracowników medycznych zajął się właśnie główny inspektor sanitarny. Przekaz jest jasny – żadnych fanaberii. Paznokcie pielęgniarki i położnej mają być krótko obcięte i naturalne. Specjalistyczne fora internetowe się zagotowały: „Personel zdecydowanie powinien chodzić nago, wtedy na żadnej części ubrania nie roznosiłby żadnych patogenów"; „Dziesiątki odwiedzających, i każdy z nich wnosi wszystko, co chce. Pielęgniarki i pielęgniarze mogliby kąpać się w dezynfekcji, to i tak będzie za mało. Ale brudne buty odwiedzających to już jest ok"; „A o sztucznych rzęsach w końcu coś napisali? Czy nadal ich nie widzą?". To tylko próbka, ale linia jest wyraźna – ręce precz od pazurów. – *Pracujemy w rękawiczkach. Ręce dezynfekujemy kilkanaście razy dziennie. I nie mówimy o tipsach, paznokciach jak szpikulce, tylko po prostu pomalowanych. GIS się czepił nas chyba tylko dlatego, że jesteśmy kobietami* – irytuje się pielęgniarka z interny w jednym z wrocławskich szpitali.

Studentka położnictwa z Krakowa: – *Chodzi o bezpieczeństwo pacjentów czy o paznokcie? Bo na oddziały z noworodkami wchodzą szczęśliwi ojcowie, którzy nie przebierają się w sterylne ubrania. Na praktykach widziałam też lekarzy, którzy fartuchy nakładają na ubrania, w jakich wyszli z domów. Czy to zabezpiecza pacjentów przed zakażeniem? No chyba nie...*

A jej koleżanka z roku (są na trzecim) dodaje, że na praktyce słyszała, jak oddziałowa tłumaczyła, że woli, żeby położne i pielęgniarki miały zadbane, krótko obcięte, ale pomalowane paznokcie: – *Bo to też jest higiena, a dobry manicure oznacza, że nie ma ogryzionych skórek, jakkolwiek okropnie to brzmi, bo o wyglądzie nawet nie mówię.*

Mariola Łodzińska, prezeska Naczelnej Izby Pielęgniarek i Położnych, pytana o paznokcie, najpierw wzdycha, a potem odpowiada, starannie dobierając słowa: – *Awantura o te paznokcie wybucha co jakiś czas, bo co jakiś czas GIS przypomina o żelaznej zasadzie „nic poniżej łokcia".* To nic to brak pierścionków, obrączek, zegarków, bransoletek. Prezes Łodzińska nie chce być gołosłowna i powołuje się na badania epidemiologiczne, które przywołał też w swoim zaleceniu GIS – przestrzeń pod paznokciami (zwłaszcza długimi lub sztucznymi) to idealne środowisko dla rozwoju i transmisji groźnych drobnoustrojów, a zgromadzony tam materiał biologiczny może prowadzić do zakażeń krzyżowych i rozprzestrzeniania chorób. I wylicza, że na paznokciach i pod nimi przenosimy najczęściej szczepy *Staphylococcus aureus* (gronkowiec złocisty), pałeczki Gram-ujemne (np. *E. coli*) oraz enterokoki, które mogą wywoływać zakażenia. Gronkowce mogą przeżyć na skórze bez dezynfekcji przez godzinę, pałeczki *Acinetobacter* i *Pseudomonas* i spory *C. difficile* ponad dwie godziny, a rotawirusy cztery. Jakby komuś było mało, to są jeszcze grzyby i wirusy. A dodatkowo żele i hybrydy używane do manicure'u nie tylko przyciągają kurz i brud, ale też tworzą się w nich mikrouszkodzenia, w które mogą wnikać drobnoustroje.

Prezes Łodzińska przypomina, że już na pierwszym zjeździe Izby zdecydowano, że pielęgniarki i położne nie będą nosić charakterystycznych czepków, te pierwsze z czarnym, a te drugie z czerwonym, poziomym paskiem, bo tak po prawdzie też były doskonałym siedliskiem drobnoustrojów. W tej wojnie estetyka pewnie przegra z pragmatyką.

Manicure prawdę powie?

Marta od 20 lat prowadzi jednoosobową firmę, skończyła studia kosmetologiczne, ale kiedy rozstała się z ojcem swojej córki, wystąpiła o dotację w urzędzie pracy i skupiła się na paznokciach: manicure i pedicure, hybryda i żel. Jak podkreśla, nie uczy się nowych metod, bo wystarczą ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 74925dea9a

▶ jej dwie sprawdzone. I po tych 20 latach pracy może z całą pewnością powiedzieć, że paznokcie o kobiecie mówią wszystko.

Bez wahania przyznaje, że wystarczy jej rzut oka i chwila rozmowy, by wiedzieć, czy ma do czynienia z bizneswoman, panią profesor, przedszkolanką czy kelnerką. – *Kobiety wykształcone, na stanowiskach, paznokcie mają krótsze, bez ozdób. Stawiają na dyskretną elegancję, a jeśli kolor jest intensywny, np. czerwony, to bez żadnych wzorków, kryształków, kwiatków. Dziewczyny z niższą pozycją, gorzej wykształcone, mniej zarabiające, paznokcie traktują jako coś, co je wyróżnia. Tak samo zresztą robią nastolatki, które śledzą trendy na Instagramie, stąd moda na tzw. łopatki i migdałki, długie i tak ostre, że mogłyby robić za narzędzie do samoobrony* – tłumaczy Marta. I odsyła do portali i kont instagramowych, gdzie wizażanki promują najnowsze trendy w paznokciach.

Te na 2026 r. są jasne: french manicure, czyli płytka pomalowana bezbarwnym lub bladoróżowym lakierem z charakterystycznym białym paskiem na końcu, odchodzi w cień. Paznokcie nadal są subtelnym akcentem stylizacji, ale ważna jest już nie klasyczna biała końcówka, ale „gra kolorem, światłem i detalem". Słowem schludny efekt i estetyka *clean girl manicure*, którą kreują *muted blue nails* (chłodny niebieski), *sea glass nails*, czyli paznokcie akwamarynowe i *Polka dot nails* – dziewczęca stylizacja z lat 70. XX w., przypomniana przez idolki nastolatek Sabrinę Carpenter, Hailey Bieber czy Addison Rae. Jeśli ktoś jeszcze nie wie, co to jest, to wyjaśniamy – zdobienie w groszki.

Szacuje się, że w Polsce działa 12 tys. salonów, gdzie wykonuje się tylko manicure i pedicure. To zdecydowanie więcej niż parafii. Ale tak naprawdę miejsc do robienia paznokci jest jeszcze więcej, bo często bywają usługą dodatkową w salonie masażu czy salonie fryzjerskim. Takie kosmetyczne *wash and go*.

Od 2020 r. branża beauty rośnie o 6–8 proc. – w ocenie ekspertów wpływ na to mają urbanizacja i rosnące dochody, a firmy rejestrują młodzi przedsiębiorcy, w większości kobiety po trzydziestce. Według danych firmy analitycznej Dun & Bradstreet tylko w 2024 r. otworzyło się w Polsce ponad 14 tys. nowych salonów kosmetycznych. Łącznie było ich ponad 132 tys. – kosmetycznych, fryzjerskich i stylizacji paznokci, a także ok. 10 tys. gabinetów SPA i odnowy biologicznej. Jednak najszybciej przybywa nowych działalności związanych ze stylizacją paznokci oraz rzęs i brwi. Salony manicure to też obszar, w którym dominują dwie grupy obcokrajowców: Wietnamczycy, szczególnie widoczni w Warszawie, i ostatnio również Ukraińcy, a konkretnie Ukrainki. Tutaj najnowszym trendem jest manicure dubajski – cena od 150 do 400 zł – z paznokciami zdobionymi cyrkoniami, kryształkami i tzw. pyłkami. Ale wyróżnia ich przede wszystkim to, że można się tu dostać na manicure – nomen omen – od ręki, a zwykle w salonach do sprawdzonych i dobrych manicurzystek trzeba się zapisywać z dwu-, trzytygodniowym wyprzedzeniem (najgorzej jest w sezonie komunijnym, wakacyjnym i przed świętami).

Prof. Tomasz Szlendak, socjolog z Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, pytany o to, jak badacz patrzy na paznokcie, przyznaje, że patrzy na nie jako na wskaźnik m.in. statusu społecznego, chociaż od razu zaznacza, że stan uzębienia do oceny tego statusu jest zdecydowanie lepszy. Choć nie tak widoczny.

– *Licówki, zęby wybielone, równe czy po prostu zdrowe są wskaźnikiem wysokiego statusu, ponieważ są związane z wysokimi kosztami. Tutaj granica między klasami społecznymi przebiega bardzo wyraźnie. Jeśli chodzi o paznokcie, sprawa nie jest taka prosta* – zastrzega socjolog. I od razu dodaje, że wystarczy spojrzeć na tzw. zetki, dla których dbanie o ciało, a więc i o paznokcie, jest po prostu częścią codziennego funkcjonowania, a granice klasowe są tu bardzo subtelne i odczytują je reprezentanci różnych pięter hierarchii społecznej.

– *Dlatego mówiłbym o kombinacji pewnych cech jako oznace przynależności np. do klasy ludowej, a więc nie tylko same tipsy czy paznokcie z wzorkami, ale też wypełnione usta, makijaż permanentny brwi i doklejone rzęsy. I odwrotnie – im bardziej subtelne te wyróżniki, tym czytelniejszy sygnał przynależności do wyższej klasy średniej. Ale podkreślę, że to nie jest tak, że granica klasowa dotyczy li i tylko długości paznokci* – tłumaczy prof. Szlendak. Zaznacza, że jako socjolog nie analizuje klasy społecznej tylko na podstawie środków finansowych, jakie jej reprezentanci mają do dyspozycji, tylko dzięki kolejnej kombinacji: wykształcenia, kapitału kulturowego, wykonywanego zawodu. I od razu zastrzega, że Polska jest krajem błyskawicznego awansu klasowego, a więc i ekonomicznego, choć za tym awansem niekoniecznie musi iść zmiana nawyków kulturowych.

Zarobki manicurzystek

Według portalu Indeed średnie wynagrodzenie podstawowe stylistki paznokci wynosi 5280 zł miesięcznie brutto, według portalu Jooble – 5669 zł. W Warszawie ta kwota może sięgać 9 tys. Ale doświadczona manicurzystka, dzisiaj nazywana stylistką paznokci, ze stałymi klientkami, może zarobić nawet 20 tys. zł miesięcznie.







© SHUTTERSTOCK (3)

eprasa.pl 74925dea9a

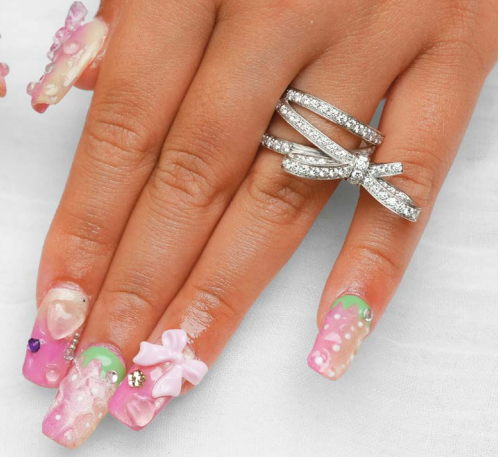

– *Jesteśmy bardzo klasowym społeczeństwem, choć to skrzętnie ukrywamy. A w przypadku pielęgniarek mamy do czynienia z gwałtownym awansem społecznym – od osób, które wykonywały niewdzięczne prace za małe pieniądze, do absolwentek studiów, których pensja jest wyższa od pensji profesora zwyczajnego na uniwersytecie. I z jednej strony mamy tu zderzenie wysokich kompetencji, a na pewno przekonania o ich posiadaniu, z przeświadczeniem, że tym pielęgniarkom w głowach się poprzewracało, bo studia pokończyły* – tłumaczy prof. Szlendak. I dodaje, że w zawodach medycznych, tak jak w wojsku czy policji, istotne są symbole statusu, które od razu pozwalają ocenić człowiekowi, z kim ma do czynienia. I rzuca pytanie: – *Czy bardzo kolorowe paznokcie u pani na oddziale taką ocenę zaburzają? Tak, bo nie wiemy, czy mamy do czynienia z pielęgniarką, opiekunką medyczną, salową czy lekarką, dopóki nie zobaczymy jej przy konkretnych czynnościach.*

Anna, 45-letnia wykładowczyni akademicka, uśmiecha się: – *Byłam niedawno na konferencji naukowej, gdzie wśród gości byli też ludzie biznesu. Organizator miał pieniądze, więc był dobrej klasy hotel, catering itd. Jechałyśmy w kilka panelistek windą. Żadna z nas nie miała długich paznokci, manicure owszem, staranny, ale dyskretny. Dziewczyny z obsługi za to świeciły tipsami, kryształkami. I jakkolwiek klasistowsko to brzmi, to naprawdę, po paznokciach nas poznacie.*

Styl i wolność?

Igor w tym roku zdawał maturę w jednym z wrocławskich liceów. Na studniówkę przyszedł w eleganckim, bordowym garniturze ze złotymi guzikami. I z pomalowanymi paznokciami, które maluje, odkąd skończył podstawówkę.

– *Maluję, bo lubię. Rodziców to nie rusza. Uznali, że to mój wybór i moja wolność. W szkole też nie wywoływało to sensacji, za to na ulicy czy w tramwaju, owszem, słyszałem wyzwiska. Najczęściej wyzywany byłem od, cytuję, „ciot i pedałów”* – opowiada Igor, który szczególnie upodobał sobie niebieski lakier, ale zdarzało mu się też mieć paznokcie w paski. Co nietypowe, bo chłopcy idą raczej w czerń.

Oliwia, też licealistka, na paznokcie chodzi co dwa–trzy tygodnie. Płaci mama, która sama z manicurzystki nie korzysta, paznokcie ma krótko obcięte i niepomalowane. Na manicure wozi nastolatkę najczęściej dziadek, za to zrobione paznokcie pokazuje najchętniej tacie. Koszt jednej wizyty: 150 zł w podwrocławskiej Oleśnicy. I tyle samo trzeba zapłacić za hybrydę we Wrocławiu. – *Wzory często wymyślam sama, ale zaglądam też na Pinterest, czyli katalog pomysłów, obserwuję gwiazdy i influencerki. Długo miałam migdałki, ale ostatnio spodobały mi się kwadratowe paznokcie, chciałam zresztą coś zmienić.* 17-latka, zapytana, czy z paznokciami długości 2–2,5 cm poza opuszkę palca da się normalnie funkcjonować, wybucha śmiechem: – *Jasne, że się da. Tylko trzeba mieć patenty. Pisania na telefonie można się szybko nauczyć i są specjalne folie, żeby ekran reagował na dotyk samego paznokcia. Krem można mieć w tubce. Przy robieniu ciasta jest kłopot, bo rzeczywiście lepkie włazi pod paznokcie. Problem za to miałam, jak zdecydowałam się odbudować płytkę. Kilka miesięcy miałam krótkie paznokcie i to był koszmar.*

Oliwia przyznaje, że to chyba wszystko kwestia kciuka, który inaczej układa się na monitorze telefonu, kiedy wieńczy go długi pazur, a inaczej, gdy płytka kończy się tam, gdzie opuszka. Licealistka od razu dodaje, że na 16 dziewczyn w jej klasie tylko cztery nie chodzą do manicurzystki. A z tych, które chodzą, zwykły manicure robią może dwie. Reszta paznokcie ma zrobione zgodnie z najnowszymi trendami, choć jest kilka zasad – żadna nie ma czerwonych paznokci, a czarne mają te zbuntowane.

Prof. Szlendak: – *Nie tylko dla zetek istotna jest ekspresja własnej tożsamości. Wyrażamy ją poprzez ubiór, dodatki, można ją też wyrażać poprzez pomalowane paznokcie czy tatuaże. Stąd trendy, mody, jak i tzw. dyskretna elegancja. To wszystko są sygnały odczytywane przez obserwatorów zwykle bezbłędnie i od razu plasujące obserwowane osoby w konkretnych grupach społecznych czy klasach.*

Ale czasem można te sygnały odebrać zbyt prosto. Janek, 46-letni nauczyciel, ostatnio w jednej z sieci dyskontów zobaczył u kasjerki paznokcie w... biedronki: – *Byłem pewien, że to daleko posunięta identyfikacja z firmą. Ale młodsza siostra uświadomiła mi, że chyba jednak nie. I pokazała, że to jeden z modniejszych tego lata trendów na Pintereście...*

Prosto z poradników

Paznokcie to nie tylko wyraz tożsamości, przynależności do określonej grupy czy klasy społecznej. To także styl życia. W sieci można znaleźć poradniki, jak radzić sobie z paznokciami o określonym kształcie i długości przy wykonywaniu takich czynności, jak choćby zapinanie guzików, otwieranie puszek z napojami, o pisaniu nie wspominając. Przykłady? „Ponieważ paznokcie typu stiletto nie są szczególnie szerokie, a ich końcówki są wyraźnie zwężone, ten wąski kształt paznokcia może przeszkadzać, ale można pisać, stukając końcówką paznokcia w pojedyncze klawisze, wtedy jest szansa na uniknięcie literówek”. *Stiletto nails* mają przypominać obcasy szpilek lub sztylety, to paznokcie średniej długości lub długie, które mają kształt migdała z końcówkami opiłowanymi w ostry szpic. A jeśli ktoś ma paznokcie kwadratowe typu gwoździe? Tu problemem jest szerokość, bo można wciskać kilka klawiszy jednocześnie. Rada: skupić się na precyzji. A poza tym naśladować pianistę, pisać opuszkami palców. I zwrócić uwagę na to, jakiej używa się klawiatury (jeśli nie kupimy silikonowych nakładek).

Dodatkowe porady? Puszki z napojami najlepiej otwierać kartą kredytową, długopisem lub nożem do masła – złamany paznokieć to katastrofa i koszty. Singielki lepiej, żeby zrezygnowały z kolczyków-sztyftów i bransoletek z zapięciem. Chyba że mają dużo czasu na zabawę z zapinaniem. I dobry wzrok, by znaleźć sztyft, który spadnie na podłogę. Cienkie pończochy, delikatną bieliznę czy jedwabne bluzki najlepiej nakładać w... rękawiczkach. Ostre pazury typu stiletto gwarantują dziury. I fanki soczewek kontaktowych – paznokcie palca wskazującego i kciuka dłoni, którą je zakładają, powinny być krótsze. W ten sposób spada ryzyko zadrapania rogówki. Oślepiona tak osoba nie tylko nie może się cieszyć swoimi pazurami, ale będzie również ślepa na odbiór społeczny.

KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl 74925dea9a



© ANDRZEJ ROSTEK/SHUTTERSTOCK

Krótko o długach

Kredytobiorcy mają prawo do ochrony. Jednak gdy nie spłacają zobowiązań, informacje o tym powinny zostać szybko udostępnione.

Nowa ustawa o kredycie konsumenckim rodzi się w wielkich bólach. Do niedawna przygotowywaniem projektu, który miałby lepiej chronić kredytobiorców, zajmował się Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Jednak z powodu licznych kontrowersji rząd zdecydował, że to nie UOKiK, lecz resort sprawiedliwości przy współpracy z Ministerstwem Finansów opracuje nową wersję projektu. Na wprowadzenie w Polsce dyrektywy CCD2 mamy czas do 20 listopada. Nowa ustawa powinna uregulować np. kwestię sankcji kredytu darmowego. Chodzi o to, kiedy konsument nie musi spłacać całości kredytu. Może się tak stać, jeśli bank naruszył obowiązki informacyjne albo udzielił pożyczki konsumentowi bez jego zgody.

Zgodnie z unijną dyrektywą konsument ma być lepiej chroniony niż dotąd. Służyć temu powinno jasne informowanie go o kosztach związanych z zaciąganiem kredytów i związanych z tym ryzykach. Dziś wiele osób nie wie dokładnie, ile muszą oddać bankowi czy firmie pożyczkowej. Sporym polem do nadużyć są też reklamy kredytów i pożyczek – wprowadzające w błąd albo sprawiające wrażenie, jakby zaciąganie długów było receptą na wszelkie problemy. Na razie nie wiadomo, jakie konkretne rozwiązania znajdą się w nowym projekcie ustawy. Banki przestrzegają przed nadregulacją, czyli tworzeniem rozwiązań, których Komisja Europejska wcale nie wymaga. Równocześnie jednak w relacji między bankiem a konsumentem to ta druga strona jest znacznie słabsza, a konsekwencje przekredytowania (czyli brania na siebie zobowiązań ponad własne możliwości) mogą być tragiczne.

Istotnym punktem spornym okazały się zasady przekazywania danych o dłużnikach do Biura Informacji Kredytowej (BIK) oraz do biur informacji gospodarczej (BIG). To pierwsze jest zarządzane przez banki, a BIG (w Polsce działają obecnie cztery) prowadzą inne firmy. BIK zbiera przede wszystkim informacje o tych, którzy zalegają ze spłatą bankowych kredytów. Z jego usług korzystają same banki.

Z kolei biura informacji gospodarczej gromadzą dane także np. o zaległościach przedsiębiorców wobec siebie oraz o długach konsumentów wobec firm telekomunikacyjnych, energetycznych czy spółdzielni i wspólnot mieszkaniowych. Zgłaszający informacje do BIG liczą, że taka groźba zdyscyplinuje ich klientów czy kontrahentów, skłaniając do terminowego płacenia za produkty i usługi. BIG pełnią zatem bardzo istotną funkcję dla całej gospodarki – działają na podstawie konkretnych przepisów i podlegają ścisłej kontroli. Każdy wierzyciel przekazujący informację o dłużniku do biura ponosi za to odpowiedzialność prawną. Jest też mechanizm chroniący osoby fizyczne. Firma, która chce sprawdzić dane o konsumencie w dowolnym BIG, potrzebuje do tego jego zgody wyrażonej na piśmie.

W projekcie nowej ustawy przygotowanym przez UOKiK pojawiła się spora dysproporcja. W przypadku BIK banki i firmy pożyczkowe miałyby przekazywać dane w ciągu siedmiu dni od chwili powstania długu. – *Tymczasem do BIG dane o opóźnieniach w płatnościach trafiałyby znacznie później. Najwcześniej po 30 dniach od powstania zaległości wierzyciel musiałby wysłać dłużnikowi listem poleconym wezwanie do zapłaty i czekać kolejne 30 dni na jego reakcję. I oczywiście ponieść koszt wysłania wezwania. W praktyce zatem informacja o długu do BIG wpływałaby nieszybciej niż po dwóch miesiącach od pojawienia się zaległości. Dodatkowo według projektu UOKiK można by przekazywać tylko dane o długach wyższych niż 200 zł. Takich ograniczeń nie ma w przypadku BIK* – zauważa Andrzej Kulik, dyrektor Departamentu Analiz Rynkowych i Komunikacji w Krajowym Rejestrze Długów Biuro Informacji Gospodarczej.

Trudno przecenić znaczenie nowej ustawy – dotknie zdecydowaną większość społeczeństwa, bo przecież nawet zwykły zakup na raty oznacza w praktyce zaciągnięcie kredytu. Tym ważniejsze jest, żeby prace toczyły się w sposób przejrzysty, a wypracowane rozwiązania były sprawiedliwe i jasne dla wszystkich: konsumentów, przedsiębiorców i banków. Z jednej strony konsumenci muszą być chronieni, dobrze poinformowani i przygotowani do podejmowania odpowiedzialnych decyzji finansowych. Jednak równocześnie trzeba przekazywać też inny komunikat: zobowiązania finansowe musimy regulować, a przed odpowiedzialnością za długi nie da się uciec.

PIOTR CYMERMAN

eprasa.pl 74925dea9a

Małe miejscowości, duże długi

O długach najczęściej mówi się językiem wielkich liczb i dużych miast. Tymczasem znaczna część finansowych problemów Polaków pojawia się z dala od metropolii: w miasteczkach, na wsiach, w lokalnych sklepach, warsztatach, firmach transportowych i domowych budżetach. Dane Krajowego Rejestru Długów pokazują, że w miejscowościach do 20 tys. mieszkańców kumuluje się 11,8 mld zł zaległości konsumenckich i 2,53 mld zł firm.

Mieszkańcy małych miast i wsi odpowiadają za niemal 30 proc. długów wszystkich konsumentów wpisanych do KRD. Łącznie niespłacone zobowiązania ma 541,8 tys. osób, a przeciętna zaległość wynosi 21,8 tys. zł. Największa część problemu koncentruje się w miejscowościach od 5 do 10 tys. mieszkańców, gdzie mieszkańcy mają do oddania 4,93 mld zł.



Napięty budżet, niższe zarobki i aspiracje

Ta kwota nie zawsze świadczy o lekkomyślności. Częściej o napiętym budżecie, wąskim rynku pracy i kosztach, których nie widać z perspektywy dużego miasta. W mniejszych ośrodkach łatwiej o sytuację, w której jedna utracona pensja, choroba, naprawa auta albo opóźnienie wypłaty burzy cały plan wydatków. Do tego dochodzą aspiracje podobne jak w metropoliach: lepszy samochód, sprzęt do domu z wysokiej półki, zajęcia dla dzieci, egzotyczne wakacje. Gdy dochody są niższe i mniej stabilne, zakupy ratalne czy kredyt gotówkowy szybciej stają się ciężarem.

Najbardziej zadłużoną grupą są konsumenci w wieku 46–55 lat. Mają do oddania 3,8 mld zł, czyli jedną trzecią wszystkich zaległości mieszkańców małych miejscowości. W tym gronie na osobę przypada średnio nieco ponad 30 tys. zł długu.

– *W małych miejscowościach często jedna osoba zaciąga kredyt, pożyczkę czy kupuje sprzęt na raty na potrzeby całej rodziny. Gdy domowy budżet się załamuje, to ona ponosi formalne konsekwencje długu* – wyjaśnia Jakub Kostecki, wiceprezes firmy windykacyjnej Kaczmarski Inkasso.

Jest też dobra wiadomość. W ciągu roku zaległości konsumentów z małych miejscowości spadły o 814,3 mln zł, a liczba dłużników zmniejszyła się o 36,7 tys. Pomogły: niższa inflacja i rosnące wynagrodzenia.

Lokalne firmy zalegają ze spłatą

Długi mają też lokalne firmy. Przedsiębiorstwa z miejscowości do 20 tys. mieszkańców zalegają z płatnościami na 2,53 mld zł. To ponad jedna piąta całego firmowego długu widocznego w KRD. Problem dotyczy blisko 60 tys. podmiotów, które mają łącznie 328,8 tys. niespłaconych zobowiązań.

Najwięcej zaległości przypada na handel, transport, budownictwo i przetwórstwo przemysłowe. Sam handel ma 547,4 mln zł długu, transport 455,1 mln zł, budownictwo 413,8 mln zł, a przemysł 375,5 mln zł. Razem te cztery branże odpowiadają za 71 proc. zadłużenia firm z małych miast i wsi.

Siedmiu na dziesięciu dłużników to jednoosobowe działalności gospodarcze. Ich łączne zaległości wynoszą 1,61 mld zł.

– *W takim biznesie opóźniona płatność nie jest pozycją w tabeli, tylko pytaniem, czy wystarczy na ZUS, paliwo, materiał albo wypłatę dla podwykonawcy. Jedno większe opóźnienie może być trudniejsze do udźwignięcia niż w większej firmie z dużego miasta* – podkreśla Emanuel Nowak, ekspert firmy faktoringowej NFG.

Lokalne firmy mają też mniej miejsca na błąd. Mały sklep konkuruje z dyskontem, przewoźnik z rosnącymi kosztami paliwa i napraw, budowlaniec z sezonowością zleceń, a producent z drogą energią i ostrożniejszymi klientami. Do tego dochodzi ograniczony rynek pracowników, słabszy popyt i większa zależność od kilku kontrahentów.

– *Małym sklepom trudno konkurować cenowo z dużymi sieciami. Nie mają takiej siły przetargowej wobec dostawców, a rozproszone dostawy do wsi i miasteczek podnoszą koszty* – mówi Sandra Czerwińska, ekspertka Rzetelnej Firmy.

Materiał przygotowany przez Krajowy Rejestr Długów

eprasa.pl 74925dea9a



Żarłoczne cyberszafy

ADAM GRZESZAK

Sztuczna inteligencja gotowa jest wyręczać nas w pracy i zabawiać, ma tylko jeden warunek: musi być nieustannie karmiona i pojona, bo apetyt ma przeogromny. Centra danych AI pochłaniają coraz więcej prądu i wody. Czy jesteśmy na to gotowi?

Generatywnej sztucznej inteligencji używa już regularnie w pracy ponad 46 proc. polskich pracowników umysłowych. W życiu prywatnym kontakt z nią miało 85 proc. Polaków. Najczęściej służy pomocą przy wyszukiwaniu informacji w internecie i ich streszczaniu, w nauce oraz gdy pojawiają się problemy techniczne w obsłudze sprzętu. Ale aż 16 proc. użytkowników szuka u AI wsparcia emocjonalnego, traktując ją jako substytut terapeuty, a ponad 8 proc. buduje z nią relację na wzór przyjaźni lub romansu. W ciągu ostatniego roku regularne wykorzystanie AI do celów prywatnych urosło z 23 do 40 proc. – takie wnioski płyną z najnowszego raportu firmy doradztwa cyfrowego Future Mind „Jak AI zmienia pracę i codzienność Polaków?”.



eprasa.pl 74925dea9a

Wizualizacja krakowskiego kompleksu Gaia AI Factory

Poniżej: **poznańska PIAST-AI Factory**

Coraz więcej polskich firm angażuje do pracy agentów i asystentów cyfrowych AI. Asystent cyfrowy AI to aplikacja wykonująca polecenia człowieka (opracowuje teksty, pisze maile, streszcza dokumenty, odpowiada na pytania itd.). Agent AI to cyfrowy pracownik o większej samodzielności – korzystając ze sztucznej inteligencji, podejmuje decyzje i wykonuje zadania przy minimalnym nadzorze ze strony człowieka. Firma doradcza KPMG, która prowadzi coroczne badanie poziomu gotowości do wdrażania AI w polskich firmach i przepytuje kadrę zarządzającą, ustaliła, że choć 74 proc. organizacji wskazuje, iż AI przynosi jej wartość biznesową, to na razie tylko 24 proc. osiąga dodatni zwrot z inwestycji.

Ponad połowa kadry kierowniczej przyznaje, że ma trudności z wykazaniem wartości AI zarówno przed współpracownikami, jak i akcjonariuszami. Badanie Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości i Uniwersytetu Jagiellońskiego wskazuje, że AI wdrażają głównie większe organizacje z branż o wysokim potencjale wykorzystania danych i technologii cyfrowych, w których występuje silna presja na innowacje oraz wysoka konkurencja. Dominuje sektor TMT (technologia, media, telekomunikacja). Branża finansowa jest ostrożna ze względu na rygorystyczne regulacje.

Jeść i pić

Wątpliwości co do AI nie mają za to politycy, dla których jest ona symbolem cywilizacyjnego i technologicznego skoku. Dlatego padają nieustanne zapewnienia, że Polska musi być suwerenna cyfrowo i stanie się europejskim liderem AI. Temu ma służyć rządowy program Polityki Rozwoju Sztucznej Inteligencji, a także inwestycje w fabryki AI, takie jak otwarta niedawno w Krakowie Gaia AI Factory czy poznańska PIAST-AI Factory.

AI coraz powszechniej wykorzystywana jest w administracji państwowej i usługach publicznych. Platformy cyfrowe, takie jak choćby ePUAP czy mObywatel, są tego przykładem. Według raportu Capgemini Research Institute organizacje publiczne przeznaczają obecnie 30 proc. budżetów technologicznych na usługi centrów danych (usługi chmurowe i AI), a w 2026 r. udział ten wzrośnie do 44 proc.

Trwają prace nad zaangażowaniem cyfrowego asystenta w ramach Internetowego Konta Pacjenta (IKP). Jako pierwszy skonsultuje objawy, oceni wyniki badań i ustali, czy pacjent powinien jechać na ostry dyżur, czy też wystarczy teleporada u lekarza pierwszego kontaktu. Wdrożenie zaplanowano na 2027 r. Nie wiadomo jednak, czy na taką ejajową nowość gotowi są pacjenci, dla których dziś lekarzem pierwszego kontaktu najczęściej są doktor Google i ChatGPT. Eksperci zwracają uwagę, że dla sektora ochrony zdrowia kluczowe są zaufanie, odpowiedzialność i ryzyko kliniczne, więc też z AI nie można pójść za daleko.

Technologia sztucznej inteligencji oferuje niebywałe możliwości, jednak nie biorą się one z powietrza, ale rodzą w centrach danych. To wielkie obiekty często lokowane w halach przemysłowych, wypełnione po brzegi specjalistycznymi urządzeniami: akceleratorami AI (z procesorami GPU lub TPU), zaawansowanymi serwerami AI, wielopoziomowymi pamięciami masowymi, infrastrukturą sieciową oraz systemami zasilania i chłodzeniem, w tym także rezerwowymi generatorami prądu na wypadek awarii.

Centra danych nie są nowym wynalazkiem, powstawały długo przed narodzinami AI. Przełomowa była końcówka lat 90. ubiegłego wieku, gdy rosła bańka internetowa i pojawili się hiperskalerzy, czyli globalni gracze cyfrowi tworzący centra danych obsługujące rodzące się masowo biznesy internetowe. Uwalniali je od konieczności inwestowania we własne serwery, oferując chmury obliczeniowe, dyski sieciowe pozwalające na bezpieczne magazynowanie petabajtów danych. „Centra danych zapewniają infrastrukturę fizyczną dla technologii, od której jesteśmy zależni w pracy i życiu prywatnym. Za każdym razem, gdy otwierasz aplikację na telefonie, dołączasz do wirtualnego spotkania, uczestniczysz w wirtualnej klasie, zapisujesz zdjęcia w chmurze lub grasz online ze znajomymi, korzystasz z centrum danych" – tłumaczy Microsoft Polska.

Microsoft ma dziś na świecie 300 centrów danych platformy chmurowej Azure, w tym jedno w Polsce, Google ma 130 na świecie, z czego również jedno u nas, Amazon globalnie 900, jest także i u nas. W Polsce działa już ponad 100 centrów danych, poza big techami operatorami są firmy europejskie, np. Data4, Equinix oraz firmy krajowe, jak Atman czy Beyond.pl. Wszystkie krajowe centra danych potrzebują dziś do pracy 213 MW energii elektrycznej (moc obliczeniową definiuje zapotrzebowanie na energię). To mniej więcej tyle, ile wymaga ArcelorMittal Poland w Dąbrowie Górniczej, czyli dawna Huta Katowice.

Pojawienie się sztucznej inteligencji postawiło jednak przed centrami danych zupełnie nowe wyzwania. Zapotrzebowanie na moc wzrasta wykładniczo, bo procesory GPU/TPU mają dużo większą gęstość mocy dochodzącą nawet do 140 kW/rack (kilowatów na jedną szafę serwerową), podczas gdy w tradycyjnych centrach danych na szafę wypadało 20 kW. Takich szaf w centrum danych może być nawet kilka tysięcy. To sprawia, że zapotrzebowanie na moc liczy się w megawatach, czasem i gigawatach, a ponieważ procesory AI bardziej się też w czasie pracy nagrzewają, potrzebne są hektolitry wody do ich chłodzenia. Jedna krótka konwersacja użytkownika z modelem językowym AI pochłania 0,5 litra wody, a proste zapytanie tekstowe to nawet 0,4 Wh energii.

Zanim jednak model sztucznej inteligencji stanie się gotowy do udzielania odpowiedzi, musi przejść trening, nawet wielotygodniowy, który pochłania jeszcze większe zasoby. Szacuje się, że wyszkolenie GPT-4 firmy OpenAI pochłonęło ponad 100 mln dol. i 50 gigawatogodzin (GWh) energii, co wystarczyłoby na trzy dni zasilania San Francisco. Ślad węglowy wyniósł ok. 25 tys. ton CO_2. Natomiast ślad wodny szkolenia GPT-5 eksperci ONZ szacują na 1 mld litrów, co wystarczyłoby na pokrycie rocznego zapotrzebowania na wodę dla ponad 135 tys. mieszkańców Afryki Subsaharyjskiej.

Przemysł AI

Nic więc dziwnego, że dziś mówimy o przemyśle AI. – *AI nie działa w niewidzialnej chmurze, ale fizycznie: zużywa energię, wodę, przestrzeń, surowce i infrastrukturę, które są naszymi wspólnymi zasobami. Za tą pozornie niematerialną rewolucją stoi bardzo materialna infrastruktura: hale pełne serwerów, systemy chłodzenia, sieci energetyczne, zużycie wody, produkcja chipów* ▶

© GAIA AI FACTORY, PIAST AI FACTORY

eprasa.pl 74925dea9a

▶ *i ogromne ilości energii elektrycznej* – przekonuje Anna Meres z Greenpeace Polska. Działacze ekologiczni na całym świecie z obawami śledzą wyścig hiperskalerów, czyli gigantów cyfrowych budujących centra danych AI o rosnącej skali, które pochłaniają coraz więcej energii, wody i gruntu, a na dodatek są dość hałaśliwe.

Obawy nie kryją także lokalne społeczności, którym za płotem wyrastają nowe fabryki AI. Dziś w Polsce takie konflikty toczą się w trzech miejscach: w Kajetanach oraz Regułach pod Warszawą, gdzie Microsoft zamierza stworzyć centra, powiększając polski region chmurowy. Konflikt w Regułach opisywaliśmy niedawno (POLITYKA 13). Konflikt pojawił się też w Bielsku-Białej, gdzie na terenie dawnej fabryki Fiata spółka DL Invest Group i Boosteroid zamierza stworzyć centrum o mocy 50 MW.

Zapowiadane są kolejne, coraz większe projekty. Niektóre, jak inwestycje Microsoftu w Polsce o wartości 2,8 mld dol. ogłaszał premier Donald Tusk, uznając je za sukces swego rządu. Budowa centrów danych konieczna jest nie tylko ze względu na rozwój gospodarki cyfrowej, ale też cyberbezpieczeństwa, by dane wrażliwe były przechowywane na terytorium Polski. Dotyczy to głównie wojska, służb państwowych, lecz także sektora finansowego.

Centra jak ciepłownie

„Centra danych już dziś odgrywają kluczową rolę dla światowych gospodarek, a to dopiero początek. Rewolucja technologiczna, u której progu się znajdujemy, zmieni życie każdego z nas. Ci, którzy w to nie wierzyli, chyba już dostatecznie się o tym przekonali, poznając jeszcze raczkujące technologie AI" – twierdzi Krystian Pypłacz, dyrektor operacyjny Data4 w Polsce.

Zużycie energii przez polskie centra danych na razie nie jest wysokie, bo wynosi 1,7–1,8 TWh rocznie, czyli ok. 1 proc. konsumpcji energii w naszym kraju. Daleko nam do Irlandii, gdzie centra danych pochłaniają już ponad 20 proc. energii, a konsumpcja w ciągu ostatniej dekady wzrosła o 400 proc. – *Rośnie liczba wniosków o przyłączenie do sieci centrów danych, w których zgłaszający deklarują duże, a czasem bardzo duże zapotrzebowanie na moc – od kilkuset megawatów do nawet gigawata* – tłumaczy ekspert Polskich Sieci Elektroenergetycznych. Jeden gigawat to odpowiednik zapotrzebowania 400 tys. gospodarstw. – *Mamy świadomość, że nie wszystkie inwestycje powstaną, jednak centra danych stają się coraz większym konsumentem energii elektrycznej. W planach rozwoju sieci PSE zakładamy, że w 2040 r. centra danych będą zużywały 29 TWh energii elektrycznej rocznie, podczas gdy cały przemysł będzie wtedy potrzebował 39 TWh.*

A ile będzie potrzeba wody do chłodzenia rodzących się centrów AI? Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie tego nie wie. – *Nie prowadzimy rejestrów, które pozwalałyby na wskazanie, w ilu i w jakich postępowaniach centra danych występują jako podmiot zainteresowany korzystaniem z wód. Dlatego też nie jest możliwe udzielenie odpowiedzi, czy centra danych stanowią istotną kategorię użytkowników wód* – wyjaśnia Filip Szatanik, rzecznik PGW Wody Polskie.

Projektanci centrów danych zapewniają, że pracują nad ograniczeniem prądożerności AI. Bo dziś centra danych na całym świecie zużywają rocznie 448 TWh energii elektrycznej, powodując emisję 189 mln t CO_2. Gdyby były krajem, zajmowałyby 11. miejsce na świecie pod względem zużycia energii elektrycznej. Ślad wodny w 2025 r. wyniósł 4,5 bln litrów. Dlatego konstruktorzy zapowiadają odejście od obecnego wodnego systemu chłodzenia wyparnego, obiecując zastąpić je chłodzeniem powietrznym lub chłodzeniem cieczą w układzie zamkniętym.

Ciepło staje się towarem dodatkowym produkowanym przez procesory AI. W efekcie centra danych zamieniają się po trosze w ciepłownie. – *Jedno z ważniejszych wyzwań sektora centrów danych stanowi przejście z energii pozyskiwanej z paliw kopalnych na tę ze źródeł odnawialnych oraz ponowne wykorzystanie ciepła odpadowego, które może służyć np. do ogrzania najbliższych osiedli mieszkalnych lub budynków użyteczności publicznej* – wyjaśnia dr inż. Adam Mroziński z Politechniki Bydgoskiej. Już dziś spora część Helsinek ogrzewana jest ciepłem z centrum danych Microsoftu, a inne fińskie miasto Hamnia niemal w całości ogrzewane jest przez procesory z centrum Google.

Dane z kosmosu

Centra danych powstają blisko wielkich aglomeracji, głównie Warszawy, bo tam są klienci, a także niezbędna infrastruktura telekomunikacyjna, czyli sieć światłowodowa i linie energetyczne o dużej mocy. Inwestorzy muszą też myśleć o wymogach dyrektywy zrównoważonego rozwoju, więc energia powinna być w miarę możliwości zielona. – *Trzeba lokalizować centra danych tam, gdzie są przyłącza i źródła OZE. To rodzi konieczność budowy wielkoskalowych farm wiatrowych i fotowoltaicznych, magazynów energii oraz modernizacji sieci przesyłowych* – wyjaśnia dr inż. Adam Mroziński. Najwięksi operatorzy centrów danych (np. Beyond.pl, Atman) korzystają wyłącznie z energii odnawialnej, kupując ją z gwarancją pochodzenia lub zawierając bezpośrednie umowy zakupu z fizyczną dostawą.

Niektórzy decydują się na własne instalacje OZE. – *Obserwujemy rosnące zainteresowanie operatorów centrów danych inwestycjami w energetykę odnawialną, w farmy wiatrowe i słoneczne* – wyjaśnia Paweł Przybylski, prezes ONDE, spółki z Grupy ERBUD specjalizującej się w wielkoskalowych projektach OZE. – *Własna energia odnawialna chroni przed ryzykiem wzrostu kosztów. A ponieważ cyfrowy świat wymaga nieprzerwanego zasilania, koniecznym elementem stają się magazyny energii. Stabilizują system i zabezpieczają operacje w momentach, gdy nie wieje wiatr i nie świeci słońce.*

Także big techy chcą mieć własne źródła energii. Z myślą o centrach danych Meta i Microsoft planują w USA uruchomienie nowych elektrowni jądrowych. Prezydent Donald Trump wspólnie z OpenAI ogłosili projekt Stargate, budowy wielkich 10 centrów danych (5 GW każdy). Google oraz SpaceX pracują nad koncepcją lokowania centrów danych AI na orbicie, zasilanych energią słoneczną, którym kosmos zapewni naturalne chłodzenie.

W Polsce branża centrów danych w kosmos na razie się nie wybiera, ale myśli o atomie. W tym celu nawiązała współpracę ze spółką ORLEN Synthos Green Energy (OSGE) zapowiadającą budowę małych modularnych reaktorów jądrowych SMR. Według raportu PMR Market Experts by Hume's w fazie przygotowania jest obecnie w Polsce ponad 20 inwestycji w centra danych; budowa nowych i rozbudowa istniejących. Za pięć lat łączna moc centrów danych osiągnie 500 MW. Oby tylko prądu i wody nie zabrakło. Może sztuczna inteligencja jakoś temu zaradzi?

ADAM GRZESZAK

eprasa.pl 74925dea9a

Największy krajowy przewoźnik towarów na torach, w Unii Europejskiej ustępujący tylko Deutsche Bahn Cargo, jest w fatalnej sytuacji. Przez osiem lat rządów PiS kolejową spółką rządziło pięciu prezesów, a zadłużenie sięgnęło kilku miliardów złotych. Teraz stare afery rodzą nowe.



Lokomotywownia PKP Cargo w Jaworznie Szczakowej

Ślepy tor

MARCIN PIĄTEK

Ostatni prezes z poprzedniego nadania Dariusz Seliga nie miał doświadczenia ani kompetencji do kierowania podmiotem tej skali. Kojarzono go gdzieniegdzie jako szeregowego członka PiS, zresztą swego czasu zawieszonego, gdyż nielegalnie zdobył pozwolenie na broń.

Nominaci PiS kierowali PKP Cargo tak sprawnie, że udział spółki w rynku w ciągu kilku lat spadł z 48 do 31 proc., a cena akcji z 65 zł w okolice 15. Firma nie była w stanie regulować zobowiązań, które urosły do gigantycznej kwoty 3 mld zł, co nie przeszkadzało prezesowi Selidze podpisać umowy sponsorskie z Polskim Komitetem Olimpijskim (na polecenie ówczesnego szefa MAP Jacka Sasina), jak również z bliską prezesowskiemu sercu Unią Skierniewice, klubem z czwartej klasy futbolowych rozgrywek.

Wizja bez wizji

Po równi pochyłej PKP Cargo stoczyło się wskutek irracjonalnych decyzji oraz wykonywania rozkazów politycznych. – *Miliard złotych wydano na remont taboru, który z racji dużego spadku zamówień był niewykorzystany. A spadek zamówień i udziału w rynku to pokłosie decyzji węglowej z połowy 2022 r.* – mówi Michał Łotoszyński, członek obecnego zarządu PKP Cargo ds. finansowych.

Na polecenie ówczesnego premiera Mateusza Morawieckiego spółka miała rozwieźć w głąb kraju znajdujący się w portach węgiel, gdy po napaści na Ukrainę trzeba było poszukać innych dostawców niż z rynku rosyjskiego. Ówczesny zarząd PKP Cargo zaprzestał realizacji podpisanych umów i skierował tabor do wykonania decyzji węglowej. Zostawieni w polu kontrahenci musieli w pośpiechu organizować transport zastępczy, co oznaczało dodatkowe wydatki. Zrażeni, uznali, że od PKP Cargo trzeba się trzymać z daleka. – *Szacujemy, że niezrealizowane i zerwane kontrakty oraz utrata klientów* ▶

© LUMFOTO/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 74925dea9a

▶ *kosztowały spółkę ok. 1,6 mld zł* – dodaje prezes Łotoszyński.

W 2024 r. wszczęto postępowanie sanacyjne i oddano spółkę pod kuratelę sędziego komisarza. Pozwoliło to zamrozić spłatę zadłużenia, rozpocząć negocjacje z wierzycielami (największymi są państwowe banki) oraz przystąpić do opracowania planu układowego. Jednocześnie cięto koszty i szukano pieniędzy, gdzie się da. Wskutek zwolnień grupowych i dobrowolnych odejść załoga uszczupliła się o 6,3 tys. osób (z nieco ponad 14 tys.). Daje to ponad 30 mln zł miesięcznych oszczędności. Sprzedaż na złom wagonów przyniosła 172 mln, lokomotywy sprzedano jak na razie za 33 mln. Konieczność poprawy płynności i uregulowania zobowiązań wobec pracowników (70 mln zł) wymusiła również pozbycie się połowy udziałów w terminalu przeładunkowym na przejściu granicznym w Medyce oraz spółki Cargotor. W planie jest sprzedaż nieruchomości.

Zmniejszenie zatrudnienia i stanu posiadania miało być sygnałem, że firma przykrawa siły i środki do prognozowanej skali działalności. Ale wciąż nie było jasne, skąd wziąć 3 mld na spłatę zadłużenia. Wierzyciele się niecierpliwili, a sędzia komisarz wyznaczył termin przedstawienia ostatecznych propozycji układowych na koniec maja. Powracało pytanie, czy dojdzie do emisji dodatkowych akcji, co dla drobnych akcjonariuszy oznaczało rozwodnienie kapitału. W takich sytuacjach kurs niemal zawsze leci na łeb, na szyję.

Na początku grudnia akcjonariusze mogli się poczuć uspokojeni. Prezes Wasilewska-Semail zdementowała doniesienia, że spółka planuje emisję akcji po 1 zł, a jeżeli nowe akcje zostaną wyemitowane, cena będzie wynosiła „kilkanaście złotych". – *Plan zakładał spłatę wierzytelności przez 10 lat, w ratach, po tym jak spółka zostanie odchudzona, pozyska nowe kontrakty, odbuduje udział w rynku i zacznie wreszcie zarabiać* – mówi dziś prezes Wasilewska-Semail. Ale Rada Wierzycieli nie uwierzyła w tę wizję, a większościowy udziałowiec, PKP SA, nie chciał poratować Cargo pożyczką 500 mln zł. Raporty finansowe potwierdziły sceptycyzm wierzycieli: w 2024 r. przychody wynosiły niemal 4,5 mld, w 2025 r. spadły do prawie 3,8 mld. W pierwszym kwartale tego roku strata wynosi 45 mln zł.

Prezes Wasilewska-Semail publikacji tych raportów nie doczekała. Została odwołana przed świętami Bożego Narodzenia. – *Przyczyn nie podano i na tym poprzestańmy* – kończy temat.

Kierujący spółką mieli wówczas fatalny wizerunek. A to za sprawą Marcina Wojewódki, który przez ponad półtora roku obecności w PKP Cargo na kierowniczych stanowiskach – z pełnomocnika prezesa (po zmianie władzy w Polsce) przeskoczył na wiceprzewodniczącego rady nadzorczej – regularnie kupował akcje firmy, co odbierano jako sygnał przyszłych wzrostów. 10 grudnia Wojewódka sprzedał jednak wszystkie akcje (ponad 90 tys.), a rynek uznał, że w spółce coś się wali.

Faktycznie kurs spadał chwilami o niemal 20 proc. Ale pod koniec sesji pojawił się nowy komunikat: Wojewódka odkupił cały pakiet. Do południa sprzedał taniej, niż kupował przez półtora roku, więc z jednej strony stracił (szacowano, że ok. 300 tys. zł), lecz z drugiej zyskał dzięki optymalizacji (strata na tych akcjach zniwelowała roczne zyski z innych, więc uciął należność z podatku Belki), a pakiet odkupiony pod koniec notowań miał potencjał wzrostu, korzystając z efektu naturalnego odbicia po panice. – *Gdyby oba komunikaty, o sprzedaży i zakupie przez Marcina Wojewódkę, ukazały się po zamknięciu sesji, do paniki by nie doszło. Można było odnieść wrażenie, że ten pierwszy został opublikowany celowo, żeby wywołać wyprzedaż, na czym pan Wojewódka skorzystał, odkupując dużo taniej* – uważa Michał Żuławiński ze Stowarzyszenia Inwestorów Indywidualnych.

Spłynęli wodospadem

Tego dnia obroty były kilkanaście razy wyższe niż w poprzednich sesjach i wielu drobnych inwestorów popłynęło na tym, jak to się mawia w giełdowym żargonie, wodospadzie, uruchomionym przez działania wiceprezesa rady nadzorczej. Wojewódka został odwołany ze stanowiska, a ze swoich działań tłumaczył się arogancko: znam przepisy, nie mam nic do dodania poza komentarzami giełdowymi. Komisja Nadzoru Finansowego nie dopatrzyła się żadnych nieprawidłowości: przyczynienie się przez *insajdera* spółki, i to kontrolowanej przez Skarb Państwa, do strat poniesionych przez tysiące drobnych akcjonariuszy nie jest wystarczającym pretekstem do wymierzenia kary.



Spekuluje się, że zagrywka Wojewódki mogła się przyczynić do zdymisjonowania prezes Wasilewskiej-Semail. Ale jeszcze ważniejszą przyczyną odwołania mogła być niechęć do spłaty długów poprzez emisję, zwłaszcza po rażąco niskiej cenie. Pod koniec maja PKP Cargo opublikowała w końcu propozycje układowe dla wierzycieli. Sprowadzają się one do gigantycznej emisji akcji, która ma pozwolić na pozyskanie kapitału do uregulowania wierzytelności, zresztą zredukowanych o 50 proc. – *Najbardziej uderzająca jest asymetria, jeśli chodzi o potraktowanie akcjonariuszy. Część wierzytelności ma ulec konwersji na akcje wyemitowane po 12 zł. W tej samej cenie mają być one zaproponowane obecnym akcjonariuszom. Tymczasem PKP SA ma objąć akcje po 1 zł. Co więcej, dla pracowników i zarządu przewidziano 12 mln akcji do zakupu po 1 zł* – mówi Michał Żuławiński.

Od ogłoszenia planu kurs akcji PKP Cargo z 15,50 zł w ciągu dwóch tygodni osunął się w okolice 11,50. Przez giełdowe fora internetowe poświęcone PKP Cargo przetacza się burza. Wściekli (i stratni) akcjonariusze piszą, że na rynek może trafić ponad 145 mln akcji (dziś jest ich niespełna 45 mln), co oznacza dramatyczne rozwodnienie kapitału i wartości papierów. I że skoro celem emisji jest pozyskanie środków na spłatę długów, dlaczego PKP SA, największy akcjonariusz, przedstawiciel państwa, które rękoma nieudolnych zarządzających doprowadziło spółkę na skraj

eprasa.pl 74925dea9a



Ekspert: u nas państwo nie może dogadać się z państwem. Orlen wciąż wozi swoimi wagonami, KGHM – swoimi. Pytam: po jaką cholerę? Nie można współpracować z PKP Cargo?

przepaści, nie poczuwa się do posprzątania bałaganu i nie obejmie proponowanego pakietu 70 mln nowych akcji po 12 zł, jak inni?

No i dlaczego obecny zarząd, który przecież nie ma się czym pochwalić, jeśli chodzi o przychody z działalności, otrzyma w nagrodę akcje po cenie kilkunastokrotnie niższej niż obecny kurs? Nawet jeśli kurs spadłby do 2 zł, członkowie zarządu i pracownicy po zakończeniu tak zwanego lock upu, blokady sprzedaży przez dwa lata, zarobią 100 proc. A drobni inwestorzy w ciągu ostatnich pięciu lat kupowali akcje Cargo średnio po 16,50 zł.

Uchwały w sprawie emisji mają być zatwierdzone pod koniec czerwca na walnym zgromadzeniu. Michał Łotoszyński nie chce podać liczby akcji, która ma przypaść zarządowi, ale jednocześnie deklaruje: – *To przede wszystkim program pracowniczy, ma zrekompensować brak podwyżek, nie było ich w firmie od kilku lat, a średnia płaca w PKP Cargo to ok. 8 tys. zł brutto* – dodaje.

Jego zdaniem perspektywa zakończenia sanacji i oddłużenia sprawi, że wartość spółki pójdzie w górę.

PKP Cargo od kilkunastu miesięcy walczy o 1,6 mld odszkodowania od państwa za wykonanie decyzji węglowej. Mówi się jednak, że w kolejowo-politycznych gabinetach powstał następujący pomysł: najpierw oddłużenie, kosztem drobnych akcjonariuszy, a następnie decyzja o wypłacie odszkodowania. Może nie 1,6 mld, ale chociaż połowa. To i tak więcej niż obecna kapitalizacja spółki, która zresztą leci w dół. Poza tym wierzyciele, mając już zatwierdzony układ, nie skonfiskują odszkodowania. Menedżer K., od lat działający w dużym biznesie, podsuwa następujący alternatywny scenariusz: – *Najpierw niech państwo da PKP Cargo zarobić dzięki kontraktom. Polskie Linie Kolejowe realizują inwestycje ze środków unijnych za grube miliardy złotych. Kruszywa wożone są tam ciężarówkami prywatnych firm. Dlaczego nie taborem PKP Cargo? Przecież to absurd! PKP Cargo ma również potencjał, by obsłużyć, jeśli chodzi o transport kruszyw, narodowe inwestycje: Port Polska i elektrownię atomową. To będą olbrzymie zlecenia, dziesiątki milionów ton. Nie czarujmy się: warunki przetargów można sformułować tak, żeby preferować państwową spółkę. Niemcy, Austriacy albo Francuzi jakoś potrafią, Komisja Europejska nie interweniuje. Parę komunikatów o umowach albo o listach intencyjnych wywindowałoby kurs akcji. I dopiero wtedy można by, ewentualnie, pomyśleć o emisji, ale w dużo mniejszym zakresie i po godziwej cenie, np. 30 zł, a nie 1 zł. A może wcale nie byłaby potrzebna, bo wierzyciele uznaliby, że Cargo ma przed sobą dobre perspektywy i spłaci długi?*

Przyszłość w szklanej kuli

PKP Cargo, jeśli chodzi o profil działalności, musi przestawić się na nowe tory. Obecnie udział węgla w masie towarowej to 32 proc. – *W perspektywie kilkunastu lat spadnie poniżej dziesięciu* – uważa prezes Łotoszyński. Lukę trzeba wypełnić tzw. intermodalem (transportem w kontenerach, wędrujących np. ze statku na platformy kolejowe albo ciągniki siodłowe, bez konieczności przeładunku). Tak wozi się dziś – głównie z portów w głąb kraju – np. kruszywa, nawozy, inne materiały sypkie. Tymczasem zdaniem menedżera M. zarządzanie przez polityków rynkiem kolejowych przewozów towarowych woła o pomstę do nieba.

– *PKP Cargo musi zmagać się z prywatną konkurencją, która często jest szybsza, bardziej elastyczna, ma nowszy tabor i lepsze ceny, bo nie trzyma maszynistów na etatach, tylko zatrudnia ich w zależności od zleceń. Ale Cargo walczy z innymi państwowymi firmami! Orlen wozi paliwa we własnym zakresie, bo stworzył spółkę córkę Orlen Kolej. KGHM to samo, ma Pol-Miedź Trans. Pytam: po jaką cholerę? Dlaczego nie stworzyć wspólnego taboru? Byłoby na pewno taniej. Problem w tym, że państwo nie może dogadać się z państwem. Większość spółek Skarbu Państwa podlega MAP. Ale spółki kolejowe Ministerstwu Infrastruktury.*

Niedawno ów resort podjął działania, aby wpisać PKP Cargo na listę przedsiębiorstw strategicznych. W końcu ma również wozić sprzęt dla wojska, a na zleceniach dla armii można zarobić. Potencjał jest też w otwarciu korytarzy międzynarodowych na wschodzie, gdzie obecnie z powodu wojny w Ukrainie ruch jest śladowy.

Taka jest pieśń przyszłości. Rzeczywistość to superemisja, która dołuje kurs akcji. Ale na tej panice też można zarobić. Zwłaszcza jeśli ma się szklane kule, w których widać, czy uchwały o emisji przejdą na walnym zgromadzeniu.

MARCIN PIĄTEK

© CAMERACRAFT/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 74925dea9a

Czarny deszcz

Wojna powoli dociera do Rosjan. Właśnie zapłonęła wielka rafineria pod Moskwą. Ludziom coraz częściej brakuje benzyny, nie mogą pojechać na wakacje, szwankuje internet. Ale wciąż wierzą, że to przeminie, i robią to, co do nich należy.

PAWEŁ RESZKA, TIMUR OLEVSKY



W Rosji w piątym roku wojny żyje się coraz trudniej. Wzrosły ceny, brakuje benzyny, w miastach alarmy przeciwlotnicze są codziennością. Entuzjazm minął, ale ludzie ciągle się cieszą, że „Ukraińcy dostają łupnia". Za to przedstawiciele elity w nieoficjalnych rozmowach przyznają, że przestają rozumieć, o co chodzi Władimirowi Putinowi.

Tatiana Iwanowna: – *Myślałam, że ma się na burzę. Niebo ciemne, jakby zasnute chmurami. Potem poczułam dziwny zapach. Zaczęłam się nawet trochę dusić.* To, co 79-letnia emerytka, mieszkanka Permu, wzięła za letnią burzę, było skutkiem ataku ukraińskich dronów na pobliską rafinerię. – *Poszłam do sklepu* – opowiada Tatiana. – *Towar drogi. Z emerytury mogę sobie pozwolić na coraz mniej. Mówię do sąsiada: „W mieście pożar, w portfelu pustki. Może czas kończyć tę wojnę?". Sąsiad odpowiedział, że przecież Rosja wygrywa na wszystkich frontach: „Zwyciężymy Ukrainę i wszystko to będzie nasze". – Nasze?* – zdziwiła się Tatiana. – *Myślisz, że będą nam za darmo rozdawali działki pod Kijowem?*

Wątpliwości Tatiany są raczej odosobnione. Większość mieszkańców jej osiedla jest za wojną. W zeszłym roku ktoś doniósł na milicję, że emerytka zajmuje niezbyt patriotyczne pozycje. Przeprowadzono z nią rozmowę, innych konsekwencji nie było.

Pożar

Z Ukrainy do leżącego na Uralu Permu jest ponad 1,5 tys. km. Mimo tej odległości miasto przestało być bezpieczne. Nie ono jedno. W ciągu ostatnich tygodni ataki dronów dalekiego zasięgu odnotowano w rafinerii w Riazaniu, Niżnym Nowgorodzie, obwodzie samarskim. Ucierpiała także Kapotnia, jedna z najbardziej nowoczesnych rafinerii w Rosji, która znajduje się w granicach Moskwy. Produkcja, która pokrywała 40 proc. potrzeb stołecznego regionu, stanęła. Gigantyczny pożar widać było w centrum stolicy nawet z okien Kremla.

W obwodzie jarosławskim po ataku dronów na magazyn paliw mieszkańcy mówili o naftowym deszczu. Czarny, lepki osad pokrył domy, budynki gospodarcze i ogródki, a tłusta warstwa ropy rozlała się po rzece Wołogotni. Ludzie obawiali się, że produkty ropopochodne zatrują ziemię i zniszczą plony. Podobne naftowe deszcze wystąpiły w Tuapse, Permie i Riazaniu. Płonęły morskie terminale paliwowe w Kraju Krasnodarskim nad Morzem Czarnym, a nawet w Petersburgu.

To ostatnie wydarzenie było szczególnie przykre dla Putina. Jego rodzinny Petersburg został zaatakowany dwa razy w ciągu tygodnia. I to w czasie, kiedy trwało tam Międzynarodowe Forum Ekonomiczne. Forum miało być pokazem siły rosyjskiej gospodarki, a tymczasem zaproszeni goście zobaczyli, że Rosja nie jest w stanie obronić jednego z najważniejszych miast.

Festiwal

Niedługo po forum w Petersburgu odbył się znany festiwal muzyczny Stereoleto. Ilia, anglista, bywa na nim regularnie: – *Wybrałem się i w tym roku. Ludzi mniej niż zwykle. Stoisk z gadżetami, płytami, jedzeniem też. Za to ceny przytłaczały. Za podkoszulek: 3,5 tys. rubli (180 zł). Za butelkę zwykłego piwa: 500 rubli (25 zł).*

Do tego tuż przed festiwalem doszło do zmiany jednego z głównych wykonawców. Raper Loqiemean, który nie popiera agresji na Ukrainę, został zastąpiony przez rapera Husky – barda inwazji. Husky organizuje zbiórki na rosyjską armię, jeździ na front, jest uwielbiany przez społeczność Z-patriotów, czyli popleczników wojny.

– *Tak więc ludzie kupili bilety na liberalnego artystę, a dostali zamiast niego nacjonalistę-patriotę* – opowiada Iwan. – *Ale najdziwniejsze, że publiczność doskonale się bawiła. Śpiewali razem z nim o wojnie, śmierci, chaosie. Koncert był sukcesem. Ludzie wychodzili i można było usłyszeć, że „w tekstach Huskiego jest dużo prawdy o dzisiejszych czasach".*

© X.COM/GENERALSTAFFUA (2)

eprasa.pl 74925dea9a



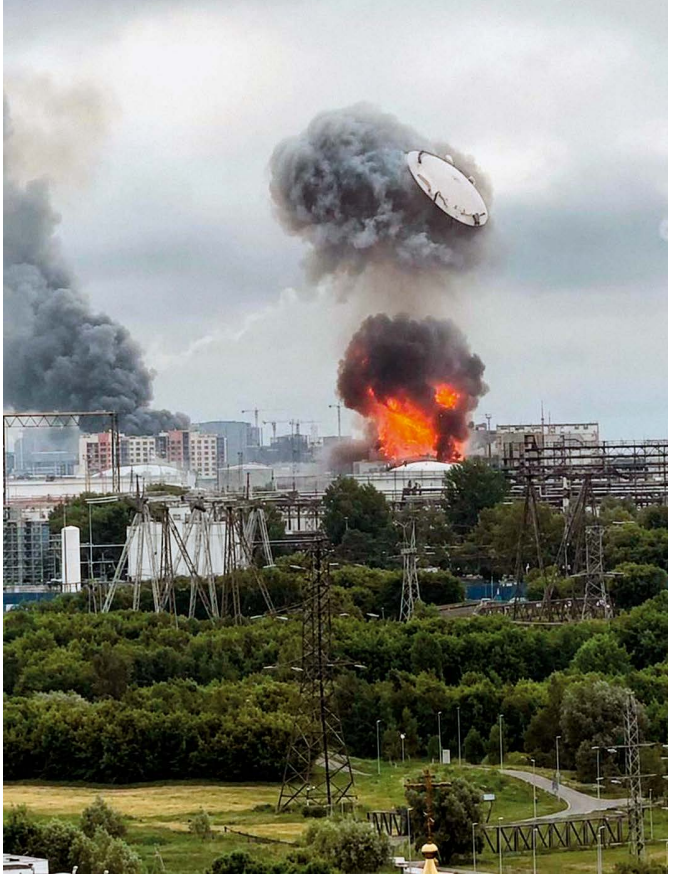

Prawda o „dzisiejszych czasach" do Rosjan dociera powoli. W Moskwie, Petersburgu, Nowosybirsku na dachach można zobaczyć broń przeciwlotniczą. – *Nawet w Pskowie pojawiły się dziwne urządzenia. Z tego, co się orientuję, to elementy systemu walki radioelektronicznej. Mają zakłócać systemy nawigacyjne ukraińskich dronów* – mówi Maksym, właściciel sklepu z elektroniką, rodowity Pskowianin. – *Zawsze narzekaliśmy, że Psków jest trochę z boku. Nie ma szczególnych obiektów przemysłowych. Teraz to jest błogosławieństwem.* W Pskowie jest jednostka sił powietrznodesantowych, ale walczy na froncie. Pułk lotniczy też się przeniósł. – *Drony więc przeważnie przelatują nam nad głowami, lecąc w stronę Petersburga i obwodu leningradzkiego. Jeśli coś spada, to przeważnie zabłąkany bezpilotowiec albo szczątki maszyny, która została zestrzelona.*

Jednak nawet samo to, że Psków znajduje się na trasie przelotu bezpilotowców, mocno komplikuje życie. Alerty o groźbie nalotu przychodzą esemesem na telefon Maksyma regularnie. – *Od poniedziałku do piątku było sześć alarmów* – mówi, sprawdzając telefon. – *A każdy alarm oznacza poważne zakłócenia w działaniu mobilnego internetu. Przestaje działać nawigacja, nie da się zapłacić za zakupy za pomocą telefonu. Zamykane jest też lotnisko.*

Maks wylicza inne problemy: – *Wyższe ceny. Zbrojeniówka rozlicza się regularnie, ale pensje są niższe niż dwa lata temu. W innych zakładach zdarzają się opóźnienia z wypłatami. Czasem zwolnienia, przymusowe dni wolne. Widać, że z gospodarką jest coś nie tak.* – A sama wojna? To, że już piąty rok Rosja bombarduje ukraińskie miasta? – pytamy. – *To szokuje niewielką, nastawioną antywojennie część społeczeństwa. Moja żona patrzy na płonące zabytki w Kijowie i płacze: „Boże, co za piekło!". A sąsiedzi mówią: „Cóż, oni bombardują nas, a my bombardujemy ich. Trzeba jakoś Ukrainę powstrzymać".* Według Maksa poruszenie wzbudzają informacje, że kraje bałtyckie rzekomo pozwalają, by ukraińskie drony lecące na Petersburg przelatywały nad ich terytorium. – *Mówi się, że „warto się tym zająć", trzeba „wyznaczyć jakieś czerwone linie".*

Z powodu ataków infrastruktura paliwowa jest poważnie zniszczona. Ukraiński Sztab Generalny twierdzi, że możliwości przetwórcze rosyjskich rafinerii spadły o 30 proc. Podróżowanie po Rosji staje się wyzwaniem, bo na stacjach benzynowych brakuje paliwa. Wprowadzane są limity, gdzieniegdzie obowiązują talony, a przed stacjami ustawiają się kolejki, wprowadzane są zakazy tankowania do kanistrów. – *U nas w mieście można jednorazowo zatankować 20 litrów* – opowiada Wadim z obwodu pskowskiego.

Wakacje w mazucie

To tym większe wyzwanie, że Rosja szykuje się do wakacyjnych wyjazdów. Lena, mieszkanka Kostromy: – *U nas początek lata jest deszczowy i chłodny. Ludzie chcą ciepła, wakacji i wyjazdów. Jezioro, szaszłyki, ognisko. Jedźmy wreszcie nad morze, na południe!* Problem w tym, że na południu nad morzem trudno będzie o normalny wypoczynek. Już dziś wiadomo, że na okupowanym przez Rosję Krymie wakacje raczej nie będą udane. Wszystkie drogi łączące półwysep z Rosją są w zasięgu ukraińskich dronów. 19-kilometrowy most łączący Krym z Krajem Krasnodarskim także jest regularnie zamykany w obawie przed nalotami. Ukraińcy już wielokrotnie uszkadzali tę przeprawę.

Półwysep został więc niemal odcięty od zaopatrzenia. Paliwa nie ma nawet na kartki, w sklepach zaczyna brakować produktów spożywczych. Ataki są powszechne, ucierpiał w nich m.in. symboliczny dla Rosjan obraz-panorama „Obrona Sewastopola 1854–1855". Płótno było pochodzącą z lat 50. XX w. kopią dzieła Franza Roubauda, upamiętniającego obronę miasta przed siłami koalicji brytyjsko-francusko-tureckiej.

Inne nadmorskie kurorty także znalazły się w strefie zagrożenia. – *W sumie nie wiadomo, dokąd jechać* – rozważa Lena. – *W Soczi zamykają lotnisko. W Taupse nie ma benzyny. W Anapie plaże są zanieczyszczone.* W internecie karierę robi film pokazujący, jak mama turystka ściera ręcznikiem mazut z nogi wychodzącego ▶

eprasa.pl 74925dea9a

▶ z morza dziecka. Towarzyszy mu ironiczny komentarz: „Już wiadomo, skąd się wzięła nazwa Morze Czarne". A także wypowiedź gubernatora Kraju Krasnodarskiego Wieniamina Kondratjewa, który przekonywał w telewizji, że wszystko jest w porządku: „Mazut w Morzu Czarnym był zawsze, pamiętam to ze swojego dzieciństwa".

Propaganda usiłuje tłumaczyć, że jeśli są jakieś trudności, to tylko chwilowe i niezwiązane z wojną. A więc paliwa brakuje nie dlatego, że Ukraina niszczy rafinerie, ale z powodu, że ludzie panikują i kupują benzynę na zapas. Szuka się też tematów zastępczych, które mogą odciągnąć uwagę obywateli. Karierę robi dyskusja na temat pomysłu moskiewskiego projektanta, który wymyślił robota mającego zbierać puch z topoli – tak, aby nie spadał na ulice. Puchoodkurzacz istnieje wyłącznie wirtualnie, ale do projektanta zgłaszają się dziennikarze, by robić reportaże, i władze innych miast, które chcą mieć „to cudo" u siebie.

W kurortach może nie będzie wakacji, ale sytuacja na okupowanych terytoriach, w pobliżu frontu, jest dramatyczna. Udało nam się nawiązać kontakt z jednym z mieszkańców miejscowości w obwodzie chersońskim: „Sytuacja w mieście jest katastrofalna. Całkowita blokada, bez dostaw jedzenia, leków, benzyny. Nie dociera nic" – pisze. Nasz rozmówca jakoś sobie radzi: „Kiedy jeszcze pół roku temu dowożono żywność, kupowałem podstawowe rzeczy: kaszę, mąkę, mięso, nasiona warzyw do sadzenia. Zawekowałem mięso, mam warzywa w ogrodzie, kury w kurniku. Dzięki temu nie głoduję i mam rzeczy na wymianę z sąsiadami. Najgorzej mają starsi ludzie, bardzo cierpią. Wiele osób nie przeżyło srogiej zimy – po prostu zamarzły w swoich domach. Ukraińska armia robi jednak postępy, to daje nadzieję na wyzwolenie".

Front

Na froncie nie ma przełomu, ale Rosjanie z uporem atakują. Intensywne walki trwają na północ od Charkowa, w rejonie Kupiańska, Łymanu, na północ od Słowiańska. Najtrudniejsza sytuacja jest w Konstantyniwce. To część aglomeracji, na której opiera się ukraińska obrona obwodu donieckiego. Rosjanie przeniknęli już do centrum Konstantyniwki, trwają tam ciężkie walki uliczne. Miasto jest zrujnowane i jego upadek wydaje się kwestią tygodni.

Atakujący ponoszą jednak gigantyczne straty. Ukraina zautomatyzowała wojnę – coraz większe znaczenie mają drony latające i naziemne. Maszyny średniego zasięgu regularnie atakują zaplecze frontu. – *Przeciwnik ma potężne kłopoty z logistyką. Rosjanie walczą niemal odcięci od zaopatrzenia. Niezależnie od tego, że zapewne stracimy Konstantyniwkę, pierwszy raz od dawna sytuacja zmienia się na naszą korzyść* – mówi oficer ukraińskiej armii walczący w obwodzie donieckim.

W puszce

Lwia większość Rosjan, bo aż 74 proc., ciągle jednak popiera działania swojej armii. W ostatnich miesiącach o 6 pkt proc. – do 30 proc. – wzrósł też odsetek zwolenników kontynuowania wojny. Spada natomiast liczba tych, którzy opowiadają się za rozmowami pokojowymi: o 7 pkt proc. – do 60 proc. Putina dobrze ocenia 79 proc. pytanych, źle – 15 proc. To wyniki badań niezależnego od Kremla Centrum im. Lewady.

Wszystkie te liczby mogą być jednak rozdęte strachem przed udzielaniem prawdziwej odpowiedzi. – *Oczywiście jest twarde jądro „patriotów", którzy chcą iść aż do Lwowa. Ale w moim otoczeniu widać zmęczenie, spadek entuzjazmu. Jeśli ludzie mogliby zdecydować „wojna albo jej zamrożenie", naturalnie wybraliby to drugie* – mówi Maks z Pskowa. Dodaje jednak: – *Moi znajomi nie zaczęli nagle uważać tej wojny za niesprawiedliwą. Sądzą, że ona jest gdzieś daleko i nie jest ich sprawą. Irytuje ich tylko to, że nagle zaczęła wchodzić z buciorami do ich życia.* – A jeśliby nie wchodziła? – *Oddajcie internet, obniżcie ceny, niech będzie benzyna na stacjach i normalny wypoczynek nad morzem. I wojujcie sobie, ile chcecie. Nie nasza sprawa. Problem w tym, że wojny jest coraz więcej i chyba tak zostanie. Ludzie boją się, że będzie mobilizacja. Znów myślą o wyjeździe. Moim zdaniem na jesieni nastroje poważnie siądą.*

Demokrata

Aleksander Juriejwicz to człowiek sukcesu. Jest moskiewskim adwokatem, żyje w domu na przedmieściach stolicy. Pytamy go: – Czy można wybrać się np. z przedmieść do centrum bez ryzyka, że utkniesz, bo nie będzie gdzie zatankować? – *Mogę jechać, dokąd chcę. Mam niemieckiego diesla, a na stacjach nie ma tylko benzyny.* – Czyli nawet w samej Moskwie brakuje paliwa? – *Czasem brakuje, ale za to dziś płonął klasztor w centrum Kijowa. W Moskwie zapanował radosny nastrój.*

Rozmawiamy w dniu, gdy rosyjskie rakiety uszkodziły Sobór Zaśnięcia Matki Bożej w Ławrze Peczerskiej. – A jeśli Ukraińcy zaatakują w odwecie Galerię Tretiakowską? – *Do nich podobne. Od dawna działają jak terroryści.* Juriejwicz nie chce się rozwodzić nad przebiegiem Specjalnej Operacji Wojskowej (tak oficjalnie nazywa się wojna prowadzona przez Rosję w Ukrainie). Bardziej zajmuje go cicha „reforma sądownictwa", która odbiera sędziom resztki autonomii. Jeszcze w ub.r. na czele Sądu Najwyższego stanął były prokurator generalny. Przez kraj przetoczyła się fala rezygnacji sędziów, wielu pozbawiono immunitetu. W Rosji panoszy się Federalna Służba Bezpieczeństwa (FSB) i odbiera ludziom biznesy. Juriejwicza to przejmuje, bo uważa się za demokratę. Wojna zaś – jak mówi – to nie jego sprawa, bo i tak nie ma na nią wpływu.

Elita

Liczba znacjonalizowanych przedsiębiorstw w ciągu ostatniego roku przekroczyła 800, a ich sumaryczna wartość to już ponad 11 mld dol. – *To jakby taki ostatni skok na kasę* – mówi były deputowany Dumy Państwowej. – *FSB potrafi przejąć firmę uważaną dotychczas za nietykalną. Przestaję rozumieć, co się dzieje. Prezydent jest coraz bardziej wyizolowany. Zastanawiam się, czy jest o wszystkim informowany.*

Magomed jest urzędnikiem w administracji Republiki Dagestanu – to jeden z najbiedniejszych regionów Rosji, który jednocześnie posyła na front dużą liczbę żołnierzy kontraktowych: – *Weterani drugiej wojny światowej podobno pytali: „Skoro wygraliśmy, to dlaczego Niemcy żyją lepiej od nas?". Weterani, którzy wracają z Ukrainy, pytają podobnie: „Skoro wygrywamy, to dlaczego jest tak źle?". W Dagestanie zawsze były dwa problemy: fatalny stan dróg i kiepska sieć energetyczna. Remonty dróg szły kiepsko, a prąd wyłączaliśmy często. W piątym roku wojny zmieniło się to, że remonty idą jeszcze gorzej, a prąd wyłączamy częściej.*

Władysław, moskiewski urzędnik federalny wyższego szczebla: – *Co myślimy o wojnie tu, w urzędzie centralnym? Staramy się nie myśleć. Nie zadawać pytań, jak to wszystko się skończy. Nie roztrząsać, po co się to robi. Ja np. inwestuję w edukację dzieci, wysłałem je do szkoły językowej i nie zajmuję się niczym poza własnymi obowiązkami.*

PAWEŁ RESZKA, TIMUR OLEVSKY

eprasa.pl 74925dea9a

Transfer zagraniczny

Co czwarty piłkarz obecny na mistrzostwach świata nie urodził się w kraju, który reprezentuje. Mundial to opowieść o lepszej stronie globalizacji.

MARCIN PIĄTEK



Dziś na północnoamerykańskim mundialu barwy Kataru reprezentują piłkarze 11 nacji

© JARED C. TILTON – FIFA/FIFA/GETTY IMAGES

Curaçao oraz Wyspy Zielonego Przylądka mają dzięki mundialowi swoje pięć minut. Jedni odkrywają istnienie tych wysp. Inni dziwią się, że powstały tam kultury futbolowe wystarczające do awansu na mistrzostwa świata. I choć są to kultury o różnym poziomie – Niemcy rozbili Curaçao 7:1, ale już reprezentacja Wysp Zielonego Przylądka urwała punkt Hiszpanii – udział tych reprezentacji w turnieju może dziwić. A nawet uwiera, zwłaszcza patrząc z perspektywy polskiej nieobecności.

Nie można jednak stawiać znaku równości między wysiłkiem tych debiutantów w drodze na mundial – strefa afrykańska, gdzie Wyspy Zielonego Przylądka wygrały jedną z grup, jest o wiele silniejsza niż strefa karaibska, gdzie najlepsze okazało się Curaçao. Tak jak nie można mówić, że na owych wyspach narodziły się systemy szkolenia bijące na głowę choćby polski, o włoskim nie wspominając (Italii również nie ma na mundialu).

Curaçao jest krajem autonomicznym Holandii. I to z holenderskiej szkoły futbolowej czerpie reprezentacja wyspy. Gra w niej wielu piłkarzy, którzy mają za sobą występy w holenderskich młodzieżówkach, zresztą mieszkają w Niderlandach. Nie mieliby szans przebić się do reprezentacji Pomarańczowych, więc postanowili wesprzeć drużynę narodową wyspy, z której pochodzą ich przodkowie.

Z kolei Wyspy Zielonego Przylądka to niepodległy kraj (archipelag był zamorską prowincją Portugalii do 1975 r.), a futbolowa siła jego reprezentacji opiera się głównie na szkoleniu portugalskim z pewną domieszką wpływów innych krajów, gdzie wychowywali się i grają obecni reprezentanci kraju.

Curaçao jest na mundialu dzięki liberalnej polityce FIFA. Zrzesza ona federacje krajów, które nie są niepodległymi państwami; członków FIFA jest więcej (211) niż członków ONZ (193). W eliminacjach wielkich turniejów grają też choćby Portoryko, Gibraltar czy Wyspy Owcze. Ale za tą logiką czasami trudno nadążyć. Gibraltar jest terytorium zamorskim Wielkiej Brytanii i należy do FIFA, ▶

eprasa.pl 74925dea9a

▶ natomiast Gwadelupa albo Martynika, terytoria zamorskie Francji, nie otrzymały takiego przywileju.

Przy okazji kolejnych mundialów można się dokształcić, choćby z socjologii albo stosunków międzynarodowych. Gdy w 1998 r. pierwszy tytuł, do tego na własnej ziemi, zdobyła Francja, wskrzeszono baśń o sile republikańskich wartości: równości i braterstwa. Imigranci zarobkowi, którzy wybrali Francję na swoją przybraną ojczyznę, przez lata byli tam traktowani jak obywatele drugiej kategorii i nie mieli poczucia, że żyją w kraju tych szczytnych idei.

Ale sukces na boisku był żywym dowodem na to, że Francja może być silna swoją różnorodnością. Tytułu nie byłoby bez potomków emigrantów z francuskich terytoriów zamorskich oraz byłych kolonii. Zinédine Zidane, Lilian Thuram, Patrick Vieira, Marcel Desailly i Thierry Henry wiedli prym w jedenastce mistrzów świata, dwa lata później zdobyli mistrzostwo Europy, a przez wiele sezonów mieli niepodważalną pozycję w najlepszych europejskich klubach.

Futbolowa historia każdego z nich to osobna opowieść o powodach gry dla Trójkolorowych. Thuram (urodzony na Gwadelupie) i Henry (ojciec pochodził z Gwadelupy, matka z Martyniki) nie mieli wyboru, gdyż te terytoria zamorskie Francji nie są członkami FIFA. Vieira urodził się w Senegalu, trafił do Francji w wieku ośmiu lat (francuskie obywatelstwo otrzymał w dniu urodzenia, gdyż jego dziadek służył we francuskiej armii). Ale gry dla Senegalu nie rozważał, głównie dlatego, że tamtejsi działacze futbolowi nigdy nie złożyli mu takiej propozycji. A nawet gdyby do tego doszło, Vieira by odmówił, gdyż uważał się za dziecko francuskiego systemu szkolenia, dzięki któremu rozkwitł.

Za Zidane'em, jednym z najlepszych środkowych pomocników w historii futbolu, ciągnie się anegdota, że algierscy trenerzy nie chcieli go do swojej reprezentacji, bo uważali, że porusza się po boisku zbyt ospale. Ale już syn słynnego Zizou, Luca, wybrał reprezentowanie Algierii – jest bramkarzem, gra na mundialu. Albo inny przykład: Jérôme Boateng grał dla Niemiec, a jego brat Kevin dla Ghany (wystąpili nawet przeciw sobie na jednym z poprzednich mundiali). Sami Khedira reprezentował Niemcy, a jego młodszy brat Rani uznał, że bardziej mu do twarzy w tunezyjskiej koszulce.

Swój wkład do historii o pożytkach z multi-kulti mają też Niemcy. Legendarny piłkarz i trener Franz Beckenbauer wyniośle prorokował, że reprezentacja zjednoczonych Niemiec będzie niepokonana przez lata. Ale trzeba było dopiero zastrzyku potomków gastarbeiterów z Polski, Ghany, Turcji i Tunezji, by Niemcy znów dowiedli swej wyższości w nowożytnym futbolu, gdy w 2014 r. zostali mistrzami świata.

Euforia nad Renem była zrozumiała, lecz tamtejsi badacze społeczni nie spieszyli się z lansowaniem narracji, że to efekt gładkiej integracji w gościnnych niemieckich progach. Ówczesna kanclerz Angela Merkel już cztery lata wcześniej przyznała, że w Niemczech nie udało się stworzyć społeczeństwa wielokulturowego. Wręcz przeciwnie: integracja jest pozorna, a państwo zawiodło, nie stawiając przed przyjezdnymi odpowiednich wymagań, jeśli chodzi o naukę języka, zdobywanie kwalifikacji zawodowych i włączanie się w życie społeczne.

Diagnoza była bezceremonialna, ale prawdziwa. A sukcesy na boisku – podobnie zresztą jak w przypadku Francji – nie unieważniły problemów imigranckich przedmieść i gett. Futbolowy mikrokosmos okazał się bowiem zbyt mały i specyficzny, by uznać go za fragment większej całości.

Konkluzja jest brutalna: jeśli masz smykałkę do piłki, nie boisz się pracy i trafisz na mądrych ludzi, dostaniesz szansę, a twoi rodzice będą w tym czasie dalej skazani na prace trzeciej kategorii i dalej będą skarżyć się na swój imigrancki los. Jeśli się przebijesz do zawodowej elity, zostaniesz milionerem i zapewnisz rodzinie spokojną, dostatnią przyszłość.

Takich historii – z nędzy do pieniędzy – w futbolu nie brakuje, ale jednostkowe *success story* przesłaniają los tysięcy nastolatków, którym się nie powiodło i musieli wrócić do rodziny mieszkającej w socjalnych dwóch pokojach z kuchnią.

Dla potomków imigrantów, dorastających w kraju będącym futbolowym mocarstwem, wybór, dla jakiej reprezentacji grać, jest często oczywisty. Wystarczy posłuchać Lukasa Podolskiego, który przyznaje, że jeśli chodzi o futbol, Niemcy dały mu wszystko: więzi z boiska, świetne warunki treningowe, możliwości rozwoju, perspektywę gry dla jednej z najlepszych reprezentacji świata.

Dlaczego Podolski miałby grać dla Polski, która u progu jego kariery tkwiła w światowej trzeciej lidze, bez większych szans na sukcesy? Bo kocha babcię Zosię, mieszkającą wówczas w Gliwicach? Albo dlatego, że ma słabość do bigosu i pierogów? Gra dla Niemiec była wyrazem życiowego pragmatyzmu oraz lojalności wobec ludzi, którzy zapewnili Poldiemu futbolowy rozwój. Ale z pełną identyfikacją miał problem: przed pierwszym gwizdkiem nie śpiewał hymnu, co w Polsce z satysfakcją odnotowywano.

Dziś takich Podolskich ma wiele reprezentacji z Europy, Kanady i Stanów Zjednoczonych, co jest do bólu logiczne: taki jest kierunek migracji zarobkowej. Ta mieszanka genów, kultur, ras i motywacji świetnie sprawdza się na boisku: Belgię wyniosła niedawno do pozycji światowego potentata, tchnęła też nowe życie w reprezentację Szwecji (Yasin Ayari, Tunezyjczyk z pochodzenia, strzelił na mundialu rodakom dwa gole).

W obu tych przypadkach dylemat, „przed kim otwierać drzwi reprezentacji", znikł w obliczu narodowego sukcesu. We Włoszech jeden z wątków dyskusji o kolejnej już nieobecności na mundialu – co w kraju trzykrotnych mistrzów świata jest plamą na honorze – to, czy tamtejszy futbol nie jest zbyt hermetyczny i homogeniczny.

Z wysokiej kultury futbolowego Zachodu czerpią również reprezentacje uważane do tej pory za ubogich krewnych światowej piłki. Trwa ruch w drugą stronę: napędzany sentymentem i poszukiwaniem własnej tożsamości narodowej zwrot ku krajom pochodzenia rodziców.

W 26-osobowej reprezentacji Bośni i Hercegowiny, która w europejskich barażach wyeliminowała Włochów i dziś gra na mundialu, tylko dziewięciu piłkarzy urodziło się w kraju. Rodzice tych z „zagranicznego" zaciągu uciekali przed wojną i czystkami etnicznymi organizowanymi przez Serbów, synowie mogli wybrać przebijanie się do drużyny Stanów Zjednoczonych, Słowenii, Austrii albo Niemiec (co biorąc pod uwagę ich obecną futbolową jakość, byłoby całkiem prawdopodobne), postanowili jednak dołożyć się do odbudowy wartości bośniackiej reprezentacji.

Dzięki francuskiemu systemowi szkolenia rosną reprezentacje krajów z północy Afryki: Algieria, Tunezja oraz

eprasa.pl 74925dea9a

Maroko, czwarta drużyna poprzedniego mundialu, która na obecnym już napędziła stracha Brazylii. W podstawowej jedenastce na ten mecz nie było żadnego Marokańczyka urodzonego w ojczyźnie. Jedni mówią, że piłkarze o marokańskich korzeniach i tak mieliby trudność, żeby załapać się do reprezentacji Trójkolorowych. Inni, że stosunkowo mała obecność przedstawicieli diaspory wspomnianych krajów we francuskiej drużynie narodowej to przejaw systemowego rasizmu.

Ale jest i druga strona medalu – urodzeni i wychowani we Francji obecni reprezentanci Algierii, Maroka czy Tunezji wybrali grę dla tych drużyn z odruchu serca, a dodatkowym bodźcem były

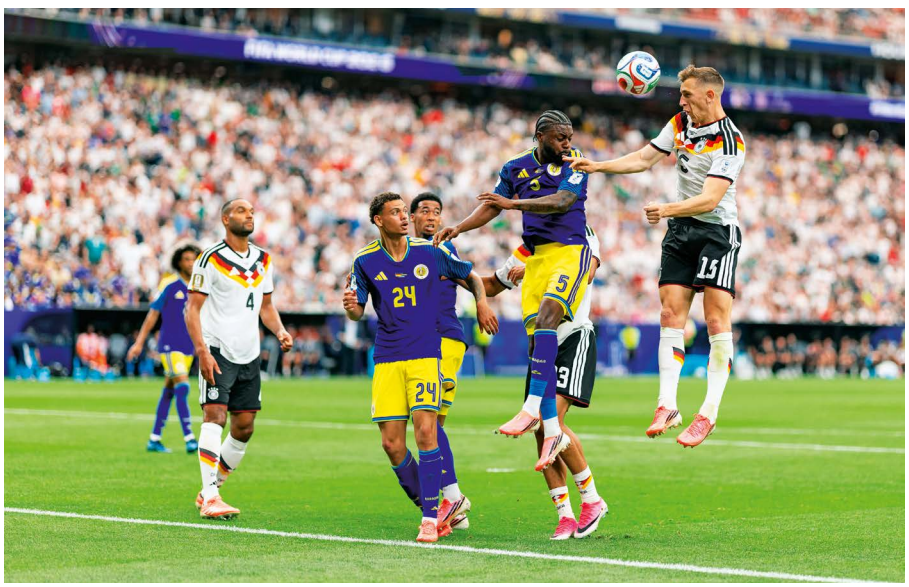

Mecz Niemcy – Curaçao. W Curaçao gra wielu piłkarzy wywodzących się z holenderskich młodzieżówek.

demokratyczne przemiany w tych krajach na fali arabskiej wiosny. W tle pobrzmiewały głosy: Francuzi przez lata nas uciskali, niech odpłacą chociaż, szkoląc nam reprezentantów kraju. A szkolą świetnie: aż 98 piłkarzy obecnych na mundialu urodziło się we Francji.

Przedstawiciele diaspory dominują również w reprezentacji Kosowa, obecnego w strukturach FIFA od 2016 r. Działacze piłkarscy otworzyli wówczas swoiste okienko migracyjne, deklarując, że piłkarze kosowskiego pochodzenia, którzy zdążyli już się zadomowić w reprezentacjach innych krajów, mogą zmienić swą futbolową ojczyznę i zasilić drużynę narodową młodego państwa. Przed tym dylematem stanęło m.in. trzech gwiazdorów reprezentacji Szwajcarii – Valon Behrami, Xerdan Shaqiri oraz Granit Xhaka – ale się wykręcili.

Przypadek Kosowa był wyjątkiem od reguły, jaką FIFA stosowała, jeśli chodzi o wybór reprezentacyjnych barw. Generalna zasada była taka: gra dla reprezentacji młodzieżowych jednego kraju nie wyklucza zmiany barw narodowych w dorosłym futbolu, pod warunkiem że stanie się to przed ukończeniem 21. roku życia. A udział w meczu o punkty w jednych barwach narodowych zamyka opcję gry dla innej reprezentacji.

Najsłynniejszy przypadek z ostatnich lat dotyczy pomocnika Declana Rice'a. Urodził się w Londynie, ale jego ojciec jest Irlandczykiem i Rice grał w młodzieżowych reprezentacjach Irlandii, robił furorę w Premier League i selekcjonerzy reprezentacji z Zielonej Wyspy nie ukrywali, że Declan jest przyszłością, chcą wokół niego budować drużynę narodową. Zadebiutował w niej w meczach towarzyskich, ale w tym czasie podchody pod Rice'a rozpoczęli Anglicy. Okazali się bardziej przekonujący. Siedem lat temu pomocnik zmienił futbolową ojczyznę, co Irlandia, mająca jeszcze w pamięci zdjęcie Rice'a całującego narodowe godło na koszulce, uznała za policzek i okrzyknęła go zdrajcą.

Niedawno przepisy dotyczące zmiany narodowości zostały nieco poluzowane. Można to zrobić tylko raz podczas kariery, pod warunkiem że zawodnik przed ukończeniem 21. roku życia wystąpił w seniorskiej reprezentacji niewięcej niż trzy razy i nie było to podczas mistrzowskiego turnieju (wcześniej udział w eliminacjach przekreślał woltę). Między występami dla starej i nowej ojczyzny muszą też upłynąć co najmniej trzy lata.

Jeśli chodzi o naturalizację piłkarzy niemających żadnych więzi krwi, trzeba udokumentować pięcioletnią rezydenturę, liczoną od 23. roku życia. Przez lata specjalizował się w tym Katar, mówiło się, że za sam wniosek o katarski paszport na futbolowe potrzeby inkasuje się milion dolarów. Dziś na północnoamerykańskim mundialu barwy Kataru reprezentują piłkarze 11 nacji.

Na przepisach dotyczących naturalizacji ćwierć wieku temu skorzystała też Polska. Cały kraj żył przyspieszonym trybem przyznania obywatelstwa nigeryjskiemu napastnikowi z Polonii Warszawa Emmanuelowi Olisadebe. Przymknięto oko na to, że nie znał polskiego i mieszkał u nas krócej niż wymagane pięć lat; potrzeby reprezentacji w kwestii skutecznego strzelca miały priorytet.

Ruch okazał się trafiony – Oli zdobył w eliminacjach do mundialu 2002 r. osiem goli, a Polska awansowała na turniej po 16-letniej przerwie. Ale już na turnieju tak różowo nie było (brak awansu z grupy). Gdy selekcjonerem przestał być wielki orędownik naturalizacji Olisadebe Jerzy Engel, jego następcy napastnika skreślili. A on wrócił do Nigerii.

Potem podobną ścieżkę przeszedł Brazylijczyk Roger Guerreiro, ale przemknął przez reprezentację Polski jeszcze szybciej. Od kilkunastu lat, jeśli chodzi o przeczesywanie zasobów ludzkich na potrzeby naszej drużyny narodowej, obowiązuje trend globalny: szukanie piłkarzy z polskimi korzeniami i namawianie ich do gry w biało-czerwonych barwach.

Jeszcze niedawno na takich zawodników mawiało się farbowane lisy, głównie z powodu wrażenia, że jest to odruch rozpaczy i przyznanie się do klęski rodzimego szkolenia. Ale i piłkarze nie pomagali, bo mówili po polsku słabo albo w ogóle i mieli problemy identyfikacyjne. Proces trwa, jakość piłkarzy pozyskanych dla Polski jest coraz lepsza (Matty Cash i Nicola Zalewski), ale przełomu, jeśli chodzi o grę reprezentacji, wciąż nie widać.

MARCIN PIĄTEK

© SIMON M BRUTY/GETTY IMAGES

eprasa.pl 74925dea9a



Możliwość wyspy

Dziesięć lat po referendum brexitowym większość Brytyjczyków chciałaby wrócić do Unii Europejskiej. Najlepiej do takiej wymarzonej – której nie ma.

ADAM DĄBROWSKI Z MAKERFIELD

David przekrzykuje roboty drogowe: – *Wracać do Unii? Niby dlaczego?* Siedzimy na ławce w Makerfield, nieopodal Manchesteru. Naprzeciwko jest sklep charytatywny, nieopodal apteka, sklepy z tanią żywnością i AGD oraz piekarnia z wystrojem, który nie zmienił się od wczesnych lat 90.

À propos zmian. Pomiędzy kęsami *sausage roll* (bułki z parówką) emeryt tłumaczy, że z jego perspektywy w ciągu dekady od referendum brexitowego wszystko zostało po staremu. Dla miasteczka (mnóstwo zamkniętych sklepów, zabity deskami pub King's Arms, ulice wiecznie rozkopane) i dla niego. Ale ostatnią rzeczą, która mogłaby pomóc, jest odwrócenie brexitu: –*Potrzeba nam zmian, jakichś nowych polityków, ale brytyjskich. Do Europy mogę wrócić, jeśli zmienią prawo imigracyjne.*

Robotnicze Makerfield nie tak dawno było twierdzą lewicy. David też kiedyś głosował na Partię Pracy. Teraz popiera Nigela Farage'a, jednego z architektów brexitu.

Obcy język

Poreferendalny poranek 24 czerwca 2016 r. spędziłem w londyńskim Shoreditch: kosmopolitycznym, przyzwyczajonym do migracji, artystycznym, prounijnym. Próbowałem rozmawiać, ale większość pytanych nie potrafiła z siebie wykrztusić dwóch składnych zdań. – *Londyn okazał się wyspą!* – stwierdziła jedna z moich rozmówczyń. Wszędzie oczy szeroko otwarte ze zdumienia. Z perspektywy tego globalnego państwa-miasta brexit zawsze był czymś niezrozumiałym. Zwolennicy brexitu, tacy jak emeryt David z Makerfield, mówili dla nich obcym językiem.

Gdy wracałem z Shoreditch, premier David Cameron właśnie podawał się do dymisji. –*Następne lata oznaczały potężne walki polityczne wewnątrz kraju, nie istniał właściwie inny temat. Przede wszystkim jednak oznaczały destrukcję Partii Konserwatywnej. Podczas kampanii referendalnej była ona na pierwszej linii, a potem rozszarpała samą siebie, próbując brexit zrealizować* – mówi Peter Foster z „Financial Timesa".

W czasie kampanii referendalnej Foster pracował jako europejski korespondent „Daily Telegraph", dziennika konserwatywnego i zaciekle probrexitowego. Na łamach tej gazety rysował się wówczas fascynujący kontrast. W dziale opinii – niemal codziennie eurosceptyczna furia i huraoptymizm autorów apelujących: „Wyjdźmy jak najszybciej". A na stronach informacyjnych – niepokój i ostrzeżenia korespondenta. Ale niewielu chciało go słuchać.

Po odejściu Camerona Partia Konserwatywna, wbrew swej nazwie, zabrała się do planowania największej rewolucji gospodarczo-politycznej w powojennej historii Królestwa. – *Doprowadziła do czegoś, co nazywam „odwrotną umową handlową"*

© RADOSŁAW NAWROCKI/FORUM

eprasa.pl 74925dea9a

z największym rynkiem zbytu dla Wielkiej Brytanii – mówi Foster. – *Większość umów usuwa bariery w handlu. A porozumienie brexitowe zamontowało je na powrót.*

Gospodarcze skutki brexitu wcale nie były takie, jakie zapowiadali niektórzy jego przeciwnicy. Nie było apokalipsy, wbrew alarmistycznym artykułom w kontynentalnych mediach. Tyle że Brytyjczykom obiecywano przecież coś przeciwnego – boom gospodarczy. „W wyniku brexitu brytyjska gospodarka jest mniejsza w porównaniu z tym, jak wyglądałaby, gdyby do niego nie doszło. Nie było nagłego załamania, lecz stopniowe i narastające osłabienie" – to cytat z raportu think tanku UK in a Changing Europe, wydanego właśnie z okazji dziesiątej rocznicy brexitu.

Wśród ekonomistów to najczęściej spotykana analiza. PKB? Jest niższy o ok. 5 proc. od prognozowanego w sytuacji braku brexitu. W podobnym porównaniu eksport jest mniejszy o 10–15 proc. Import – podobnie lub nieco gorzej. Inwestycje? Mniej o 12 proc. Takie szacunki wyłaniają się ze wspomnianego raportu. Ale słychać też inne głosy. „W dalszej perspektywie Wielka Brytania powinna odnieść znaczące korzyści z wolnego handlu, zmian w regulacjach i bardziej liberalnej polityki imigracyjnej" – piszą inni eksperci w wydanej na rocznicę książce „Brexit Effect" pod redakcją sir Anthony'ego Seldona.

Na początku 2021 r. brexit stał się rzeczywistością. A Simon Spurrel, założyciel firmy Cheshire Cheese Company, miał wtedy sery do sprzedania. – *6 stycznia wysłaliśmy w różne miejsca Europy 75 paczek. Wszystkie wróciły, a różne państwa podały odmienne powody* – opowiada. Spróbował ponownie, uzupełniając nową, pobrexitową dokumentację. Bezskutecznie. 75 paczek znów odbiło się od nieistniejącej jeszcze tydzień wcześniej granicy. – *Oczywiście za zwroty musieliśmy zapłacić, a klientom oddać pieniądze. W ciągu doby straciłem ze ćwierć miliona funtów* – wspomina.

Z początkiem 2021 r. Spurrel uświadomił sobie, że teraz każda wysyłka wymagać będzie m.in. drogiego certyfikatu od weterynarza. Koszt wysłania na kontynent palety przed brexitem? 300 funtów. Po brexicie? 1200. Sprzedał więc firmę większemu właścicielowi, który był w stanie ponieść wyższe koszty wysyłki i uporać się z biurokracją. Dziś mówi, że od tamtej pory dla małych i średnich firm niewiele się zmieniło. Trzyma kciuki za rząd, który próbuje „zmiękczyć" brexit. Premierowi Keirowi Starmerowi powiedziałby, że trzeba wrócić do Wspólnego Rynku, a najlepiej do Unii.

Krótki miodowy miesiąc

„Europo, nadchodzimy!" – cieszył się prawicowy „Daily Mail". Był rok 1975. W pierwszym referendum w sprawie Wspólnoty „yes" powiedziało 67 proc. głosujących Brytyjczyków. Królestwo weszło do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej dwa lata wcześniej. Ale dobijało się do niej długo, latami upokarzane przez Paryż. W końcu laburzystowski rząd Harolda Wilsona rozpisał referendum, pytając obywateli, czy chcą pozostać we Wspólnocie Europejskiej na nowych warunkach, które wynegocjował. Zgodzili się z entuzjazmem.

Miesiąc miodowy nie trwał długo. Historyk Dominic Sandbrook w swej historii Brytanii lat 1979–82 pisze: „To prawda, że Brytyjczycy zagłosowali zdecydowanie za pozostaniem we Wspólnocie. Tyle że to referendum było prawdopodobnie anomalią. Doszło do niego w absolutnym dołku narodowego samopoczucia. Przy szalejącej inflacji oraz nagłówkach pełnych katastroficznych wizji. Trudno się dziwić, że większość ludzi wolała zostać na europejskiej szalupie. Opinia publiczna szybko wróciła jednak do swej naturalnej, eurosceptycznej postawy".

Już sondaż z marca 1980 r. przynosi druzgocące wyniki dla euroentuzjastów – za Wspólnotą jest wówczas 26 proc. pytanych. Poparcie dla wyjścia, którego wtedy jeszcze brexitem nie nazywano, wynosi 65 proc. Druga połowa lat 80. to jednak okres fascynacji Brytyjczyków wszystkim, co kontynentalne. Powszechną potrawą na Wyspach staje się egzotyczne dotąd spaghetti. Jednak już w latach 90. eurosceptycy przegrupowują siły, tworzą think tanki. Gdy w 1997 r. do władzy dochodzi prawdopodobnie najbardziej prounijny premier, Tony Blair, siły się wyrównują, a w kolejnych latach eurosceptycyzm znów staje się „ustawieniem domyślnym" na Wyspach.

A dziś? 56 proc. za powrotem do Unii, 35 proc. przeciw. To wyniki sondażu pracowni YouGov z końca maja. „Czy słusznie nasz kraj opuścił Unię?" – w ciągu ostatniej dekady YouGov zadała to pytanie 275 razy i według tego badania ostatnim razem radość z brexitu górowała nad zawodem w czerwcu 2021 r., gdy Boris Johnson wyprowadzał kraj z UE. Potem przewaga zawiedzionych brexitem już tylko rosła. Większość ekspertów jest jednak ostrożnych w ocenie, jak te wyniki przełożyłyby się na realne głosowanie. Keiran Pedley z Ipsos: – *Kolejne referendum mogłoby się potoczyć zupełnie inaczej. Zasadniczą kwestią dla opinii publicznej pozostaje imigracja. Gdy ludziom przedstawia się kompromisy i koszty* (związane z powrotem – przyp. red.), *obraz się komplikuje.*

Powrót do Unii – ale na jakich warunkach? To kluczowe pytanie. Jak odpowiedzą w sondażach Brytyjczycy, gdy przypomni się im, że powracający Londyn zapewne nie będzie mógł już liczyć na rabat składkowy wywalczony przez Margaret Thatcher? A imigracja? Część pytanych deklaruje, że chciałaby powrotu do Unii, ale już niekoniecznie powrotu otwartych granic i wolnego przepływu pracowników. Bruksela cały czas powtarza, że tego nie da się pogodzić. W innym badaniu YouGov spytał Brytyjczyków o scenariusz, w którym powrót do Unii oznaczałby przyjęcie euro i wejście do strefy Schengen. Wyniki? 35 proc. za powrotem, 43 proc. przeciw.

– *Ludzie chcą, żeby sytuacja się poprawiła. Oczekują bliższych relacji z Unią. Ale jednocześnie są przeciwko wolnemu przepływowi pracowników, wpłacaniu pieniędzy do budżetu UE i przestrzeganiu wszystkich unijnych zasad* – mówi Peter Foster. – *Dziesięć lat po referendum wiele kwestii, które napędzały brexit, w tym strach przed Brukselą czy utratą suwerenności, wciąż jest aktualnych.*

Czerwone linie

Wie o tym rządząca lewica i dlatego mówi o zbliżeniu do UE, ale utrzymuje czerwone linie: „nie" dla wspólnego rynku, „nie" dla unii celnej – czyli dwóch podstaw Wspólnoty. Starmer zdaje sobie sprawę, że spora część klasy robotniczej z północy Anglii głosowała za brexitem w dużej mierze ze względu na imigrację unijną, w tym z Polski. I ci wyborcy nie palą się do powrotu.

W Makerfield żegnam się z Davidem. Wokół trwa kampania przed wyborami uzupełniającymi do Izby Gmin. Co krok transparenty. Obok czerwieni Partii Pracy i błękitu Reform UK Farage'a widać symbole Restore Britain, nowej, rosnącej w sondażach partii – antyimigracyjnej i antyeuropejskiej. Jej lider powtarza, że Farage jest zbyt umiarkowany – tak jak jego brexit. ■

eprasa.pl 74925dea9a

Co tego owada nie zabije, to go wzmocni? Jest lżejszy od pestki winogrona, a końca walki człowieka z nim nie widać.

Lata z kom

ROBERT JURSZO

Niedawno polskie media obiegła informacja, że Google zamierza wypuścić w Stanach Zjednoczonych dziesiątki milionów wyhodowanych laboratoryjnie komarów. Do środowiska mają trafić tylko samce zarażone naturalnie infekującą bezkręgowce bakterią Wolbachia. Owady będą szukały samic i z nimi kopulowały, ale bakteria sprawi, że nie dojdzie do zapłodnienia. Komarzyce złożą jaja, z których nic się nie wykluje. W ten sposób liczba komarów będzie się powoli zmniejszać. A właśnie to jest celem projektu „Debug", ponieważ te owady przenoszą śmiertelnie groźne dla ludzi choroby.

Pomysł Google jest kolejnym odcinkiem opowieści o wojnie, jaką ludzkość toczy z komarami od dawien dawna.

Podejrzana złośliwość wampira

Polski wydawca książki historyka Timothy'ego C. Winegarda „Komar" nadał jej podtytuł „Najokrutniejszy zabójca świata". Trudno się z tym zgodzić, ponieważ komarzyce nie ssą naszej krwi, żeby nas udręczyć. Wpijają się w nas, ponieważ są biologicznymi „wampirami" – do życia i złożenia jaj potrzebują krwi. Ewolucyjny pech chciał, że przy okazji mogą zarazić nas m.in. malarią, dengą, żółtą febrą, gorączką Zachodniego Nilu i filariozą.

Komary z rodzajów *Aedes*, *Anopheles* i *Culex* są przypuszczalnie odpowiedzialne za więcej ludzkich zgonów niż cokolwiek innego w historii *Homo sapiens*. Winegard przytacza oparte na modelowaniu matematycznym szacunki, zgodnie z którymi choroby przenoszone przez komary w ciągu całej historii naszego gatunku uśmierciły plus minus 52 mld ludzi z ok. 108 mld dotąd żyjących. A dziś – według danych Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) – tylko na malarię rocznie umiera ok. 600 tys. ludzi. Przerażająco imponujący wynik jak na stworzenie, które waży mniej niż pestka winogrona.

Jak na ironię, co do tego, że to właśnie komary odpowiadają za tyle chorób, ludzkość upewniła się całkiem niedawno. Jeśli chodzi o medycynę zachodnią, to przez 2 tys. lat dominowała w niej teoria miazmatów, zgodnie z którą malarię czy żółtą febrę wywołuje wdychanie bagiennego powietrza. Już w starożytności pojawiały się jednak przypuszczenia, że mogłyby za nie odpowiadać niewielkie organizmy związane z podmokłymi obszarami.

Takim tropem szedł rzymski uczony Marek Warron, który w I w. n.e. pisał, że „w pobliżu mokradeł trzeba przedsięwziąć środki ostrożności, ponieważ mnożą się małe stworzenia, które są niewidoczne dla oczu, ale unoszą się w powietrzu i wnikają w ciało przez usta lub nos, po czym wywołują poważne choroby". Bogatym zalecał, by budowali swoje domy na wzniesieniach, gdzie bagienne powietrze nie dociera, i ten zwyczaj



© SILVIA MAQQ/SHUTTERSTOCK, WELLER/ANZENBERGER/FORUM

eprasa.pl 74925dea9a

arami



Walka z wirusem zika roznoszonym przez komary: rozpylanie insektycydów w Hawanie, 2017 r.



upowszechnił się w Rzymie. Tak samo robili egipscy możni – biedocie zostawało kulenie się pod prowizorycznymi moskitierami z rybackich sieci. Dziś jedną z najpowszechniejszych metod zwalczania komarów w miastach są opryski. Ciekawostką jest, że pierwszy środek tego rodzaju stosowano w Chinach już ok. 1 tys. lat p.n.e. Insektycyd wyrabiano z ususzonych i sproszkowanych kwiatów złocienia, czyli chryzantemy. Po zmieszaniu z wodą można było opryskać nim pole, a zawarta w płynie pyretryna atakowała układ nerwowy bezkręgowców. Pyretryna jest stosowana również we współczesnych środkach owadobójczych.

Faszystowska bitwa bagien

Na przełomie XIX i XX w., kiedy człowiek w końcu odkrył, że za malarię, żółtą febrę i kilka innych plag ludzkości odpowiedzialne są komary, a konkretnie – przenoszone przez nie mikroby, owadom wytoczono bezwzględną wojnę.

Jednym z pierwszych przykładów szeroko zakrojonej akcji są działania dr. Williama Gorgasa, wojskowego oficera sanitarnego w Hawanie, który za swoją misję obrał oczyszczenie miasta i Kuby z żółtej febry. Do roboty zabrał się metodycznie i planowo. Sporządził precyzyjną mapę miasta i okolic, po czym w teren wysłał 300 podkomendnych. Ich zadaniem było osuszanie mokradeł, zakrywane beczek z wodą (by komarzyce nie mogły złożyć w nich jaj), wieszanie moskitier oraz wycinanie roślinności, która mogła stanowić schronienie dla komarów. Rozsypywano też siarkę i preparat owadobójczy z chryzantem. I udało się – w 1902 r. żółta febra zniknęła z Hawany (choć malaria i denga nękały mieszkańców dalej).

Najbardziej ambitny plan walki z komarami przed drugą wojną światową wdrożył włoski dyktator Benito Mussolini, osuszając Pola Pontyjskie. Ten bagienny obszar już od starożytności pomagał mieszkańcom Rzymu chronić się przed najeźdźcami, ale jednocześnie stanowił czarną malaryczną dziurę, która bezlitośnie zasysała życie lokalsów. Dość powiedzieć, że średnia długość życia rolników na włoskich terenach malarycznych wynosiła 22,5 roku.

„Bitwa bagien" – tak faszystowska propaganda określała akcję osuszania – zaczęła się w 1929 r. Podobne działania przedsięwzięto również w innych częściach Włoch. I nie bez sukcesu, bo – jak podaje Winegard – liczba zachorowań na malarię spadła w kraju w latach 1932–39 prawie o 100 proc.

Opóźniona kariera DDT

Podczas drugiej wojny światowej malaria i inne przenoszone przez komary choroby siały spustoszenie wśród żołnierzy, szczególnie podczas działań na tropikalnych wyspach ▶

eprasa.pl 74925dea9a

▶ Pacyfiku. Departament Wojny USA w 1942 r. utworzył Wojskową Szkołę Malariologii i rozpoczął program szkolenia Malaria Survey Units, zwanych „komarowymi brygadami" albo „komarzymi żołnierzami". Od 1943 r. wojacy z tych jednostek zaczęli się pojawiać na terenach zajętych przez amerykańską armię, gdzie rozpylali dichlorodifenylotrichloroetan (DDT.) Tę substancję po raz pierwszy zsyntetyzowali w 1874 r. niemieccy i austriaccy chemicy, ale sławę pogromcy owadów zyskała dopiero w 1939 r. dzięki Szwajcarowi Paulowi Hermannowi Müllerowi. To on odkrył właściwości owadobójcze tego środka i dostał za to w 1948 r. Nagrodę Nobla.

W 1945 r. DDT był już w powszechnym użyciu w zasadzie na całym świecie. Insektycydu używali amerykańscy rolnicy, zaczęły się nim interesować organizacje pomocowe. W 1955 r. WHO uruchomiła ogólnoświatowy program walki z malarią (GMP), w którego realizacji również posługiwano się DDT. Do 1970 r. liczba zachorowań na zimnicę w wielu państwach Azji i Ameryki Łacińskiej spadła o 90 proc.

Jednocześnie zaczęły się pojawiać niepokojące informacje o fatalnym wpływie DDT na środowisko przyrodnicze. Na przełomie lat 60. i 70. świat zaczął powoli wycofywać się z jego stosowania. Także dlatego, że tam, gdzie intensywnie truto komary, uodporniły się one na toksynę.

Wypuszczarka od wyszukiwarki

Wróćmy do współczesności. Informację o projekcie „Debug" serwowano w nieco sensacyjnym tonie. Jedno z mediów publicznych nazwało nawet planowane działanie „kontrowersyjnym eksperymentem".

Zacznijmy od tego, że podobna metoda jest już praktykowana od lat 50. XX w. Chodzi o *sterile insect technique* (SIT), czyli technikę sterylnego owada, która polega na zmniejszaniu liczebności danego gatunku za pośrednictwem osobników niezdolnych do reprodukcji. Z sukcesem była ona stosowana m.in. w przypadku muchy śrubowej, której larwy rozwijają się w tkankach innych zwierząt (i ludzi), co może prowadzić do poważnych zakażeń.

Jak dokładnie działa SIT? W specjalnych laboratoriach hoduje się miliony owadów, następnie oddziela samice od samców. Te ostatnie zostają poddane działaniu promieniowania (rentgenowskiego lub gamma), które czyni je bezpłodnymi, ale nie wygasza popędu płciowego. Potomstwa nie ma, więc populacja zaczyna się kurczyć.

Projekt Google działa na zbliżonej zasadzie, ale nie kwalifikuje się jako SIT, ponieważ nie doprowadza się tu do bezpłodności samców. Wytwarzają one zdrowe plemniki, tyle że białka Wolbachii po kopulacji z samicą blokują zapłodnienie. Stąd nazwa *incompatible insect technique* (IIT), czyli technika owadów niezgodnych. Pierwsze testy terenowe przeprowadzono w 2017 r. w Australii i USA, a ich wyniki uznano za więcej niż zadowalające. Teraz Google stara się o zgodę amerykańskiej Agencji Ochrony Środowiska na uwolnienie do środowiska 32 mln komarów na Florydzie i w Kalifornii.

Przeciwkomarza Gwiazda Śmierci

Ostatnie lata przyniosły również inne pomysły na walkę z komarami. Pojawiła się perspektywa, jaką daje CRISPR, czyli technologia edycji genów. Ciekawy projekt realizował dr Anthony A. James z University of California. W 2015 r. razem ze swoim zespołem wyhodował samce *Anopheles stephensi*, którym wprowadzono geny kodujące przeciwciała blokujące rozwój zarodźca malarii do stadium zakaźnego wewnątrz organizmu owada. Wykorzystanie tej technologii sprawiło też, że te geny dziedziczyło również niemal 100 proc. potomstwa. Zmiana szybko rozprzestrzeniła się w laboratoryjnej populacji. Komarów jednak nie wypuszczono na wolność – badacze zaznaczyli, że ich pomysł wymaga jeszcze wielu testów, m.in. dotyczących trwałości zmiany genetycznej. Ponadto nie pozwalają na to obowiązujące ograniczenia prawne.

Dr James podkreślił, że w przypadku komarów z rodzaju *Aedes* byłoby już trudniej wprowadzić taką zmianę, ponieważ przenoszą wiele chorób, w tym żółtą febrę, zikę, dengę i różne gorączki krwotoczne. „Nie ma sensu tworzyć komarów odpornych na wirusa zika, jeśli wciąż będą przenosić dengę i inne choroby" – stwierdził.

Pewne nadzieje budzą testowane obecnie metody z wykorzystaniem kwasu rybonukleinowego. Chodzi o dwuniciowe RNA zdolne blokować określone geny, by osiągnąć konkretny efekt. Może to być właśnie bezpłodność, ale też np. osłabienie układu odpornościowego, co czyni komara podatnym na infekcje i naraża go na śmierć. Zaletą tego rozwiązania jest selektywność. O ile tradycyjne opryski z wykorzystaniem pyretryny zabijają wszystkie owady, o tyle ta metoda celuje w konkretny gatunek czy rodzaj.

Walka z małymi krwiopijcami (a w zasadzie to krwiopijczyniami) ma nie tylko wielkoskalowe oblicze. Dziś technologia działa również na rzecz rozwiązań możliwych do zastosowania w domowym zaciszu. W 2025 r. chiński start-up z Changzhou zaprezentował Photon Matrix – laserowy system, który zabija komary w trzy milisekundy, działający trochę jak słynna Gwiazda Śmierci z „Gwiezdnych wojen".

To mała czarna skrzyneczka na podstawce, która dysponuje laserowym skanerem LiDAR wykrywającym komara. Po namierzeniu zestrzeliwuje go silniejszą wiązką laserową. Skaner ma zasięg trzech lub sześciu metrów, producenci się chwalą, że w ciągu sekundy może zabić nawet 30 komarów. Odróżnia je od innych owadów lub większych obiektów, jak ludzie czy zwierzęta domowe, więc – jak przekonują projektanci – nie ma ryzyka, że mieszkańcy domu dostaną się pod *friendly fire*. Urządzenie działa też w całkowitej ciemności. Na razie można je zamówić jedynie w przedsprzedaży, która finansuje prace projektowe.

Na wyróżniający się pomysł wpadli badacze z Harvard University i opublikowali go rok temu na łamach „Nature". Uznali, że zamiast zabijać komary – co, jak już wiemy, nie jest takie łatwe na dużą skalę – można podawać im leki przeciwmalaryczne. Wykazali przy tym, że da się to zrobić przez odnóża. Wystarczy np. nasączyć moskitierę substancją leczniczą, która wniknie w ich ciała i zniszczy pierwotniaki *Plasmodium*. Testy wyszły pomyślnie, kolejna ich faza ma być realizowana w Etiopii.

Wspomniany projekt Google z pewnością nie jest ostatnim pomysłem na to, jak poradzić sobie z komarami i przenoszonymi przez nie mikrobami, które wciąż stanowią dla ludzi śmiertelne zagrożenie. Pewni możemy być chyba tylko tego, że na każdą naszą ofensywę natura odpowie godnym kontratakiem. Być może ta wojna jest wieczna.

ROBERT JURSZO

eprasa.pl 74925dea9a



Ciemna strona Ziemi

Wojny, urbanizacja, kryzysy energetyczne i gospodarcze zostawiają ślad widoczny nocą z wysokości kilkuset kilometrów. A co widać, gdy przestrzenie – jak w Ukrainie czy Strefie Gazy – zaczynają gasnąć?

ANDRZEJ HOŁDYS

Najpierw znikają pojedyncze światła. Później ciemnieją kwartały ulic, osiedla i dzielnice. W końcu nocna mapa miasta zaczyna przypominać archipelag na morzu ciemności. Tak wyglądała Strefa Gazy obserwowana przez satelity w kolejnych miesiącach wojny rozpoczętej jesienią 2023 r. Jeszcze przed konfliktem był to jeden z najgęściej zaludnionych fragmentów Bliskiego Wschodu – jasna plama rozciągnięta między Morzem Śródziemnym a pustynnym południem Izraela. Dwa lata później nocą przypominał miejsce stopniowo wyłączane z życia.

Zespół Daniele Rinaldo z University of Exeter i Jamona Van Den Hoeka z Oregon State University postanowił sprawdzić, czy z orbitalnych obserwacji można wydobyć coś więcej niż tylko obraz ruin. Interesowała ich skala gospodarczej destrukcji. Nie mieli dostępu do wiarygodnych statystyk ekonomicznych, danych bankowych ani tych pochodzących z badań terenowych. W warunkach wojny one przestają istnieć albo stają się elementem propagandy. Punktem wyjścia były więc dane radarowe z europejskich satelitów Sentinel-1.

Nie wykonują one zwykłych zdjęć – wysyłają impulsy radarowe i analizują sposób, w jaki odbijają się od powierzchni Ziemi. Dzięki temu „widzą" teren nocą, przez chmury, dym i pył unoszące się nad bombardowanymi miastami. Badacze porównywali kolejne radarowe opisy całych dzielnic (metoda nosi angielską nazwę *coherent change detection*), zbierane przez rok od października 2023 r. Zwarta zabudowa odbija fale w uporządkowany sposób. Po bombardowaniach ten porządek znika – gruzowiska, wypalone konstrukcje i zawalone ściany tworzą zupełnie inny wzór odbić.

Po analizie 62 serii danych radarowych Strefę Gazy podzielono na siatkę składającą się z setek komórek o powierzchni ▶

© NASA

eprasa.pl 74925dea9a

▶ jednego kilometra kwadratowego. Dla każdej badacze obliczyli skalę zniszczeń. Po roku wojny ślady uszkodzeń wykryto w 82 proc. komórek, a zniszczeniu uległo niemal 68 proc. zabudowanej powierzchni. W niektórych częściach Strefy Gazy uszkodzona została praktycznie cała infrastruktura miejska. To, co wcześniej było gęstą tkanką miejską, zaczynało wyglądać jak teren po trzęsieniu ziemi.

Podwójna Strefa Gazy

Sama mapa ruin niewiele jednak mówi o gospodarce. Dlatego autorzy pracy połączyli dane radarowe z nocnymi zdjęciami wykonywanymi przez satelity pracujące w projekcie Black Marble. Oświetlenie miast jest w tym kontekście znakomitym wskaźnikiem: światła oznaczają działające elektrownie, handel, transport i produkcję przemysłową; gdy gasną, zwykle oznacza to kryzys. Dla każdego kilometrowego fragmentu badacze Gazy dysponowali już dwiema informacjami – skalą dewastacji przestrzeni oraz zmianą jej nocnej jasności.

Wówczas porównywali zmiany nocnej jasności w miejscach zdegradowanych i formalnie niezniszczonych. Dzięki temu mogli odfiltrować ogólny wpływ wojny i oszacować dodatkowy efekt wynikający bezpośrednio z bombardowań. W praktyce wyglądało to tak, jakby satelity obserwowały dwie równoległe Gazy. Wyniki były jednoznaczne. Średnia nocna jasność spadła o 68,5 proc., a w najbardziej zniszczonych rejonach – nawet o ponad 80 proc. Krótkie zawieszenie broni z listopada 2023 r. pozostawiło natychmiastowy ślad w danych satelitarnych. Jasność wzrosła wówczas o niemal dziewięć punktów procentowych.

Dopiero teraz można było przystąpić do szacowania strat ekonomicznych. Badacze wykorzystali wcześniejsze dane dotyczące relacji między poziomem nocnego oświetlenia a PKB i wydatkami gospodarstw domowych. Jeśli określony spadek nocnej radiancji odpowiadał wcześniej określonemu spadkowi produkcji lub konsumpcji, można było oszacować gospodarcze skutki wojny nawet bez dostępu do oficjalnych statystyk. Okazało się, że konflikt zniszczył ponad trzy czwarte gospodarki Strefy Gazy, a straty gospodarstw domowych przekroczyły 2,6 mld dol.

Podobne analizy zaczęto prowadzić również dla Ukrainy. Po rosyjskiej

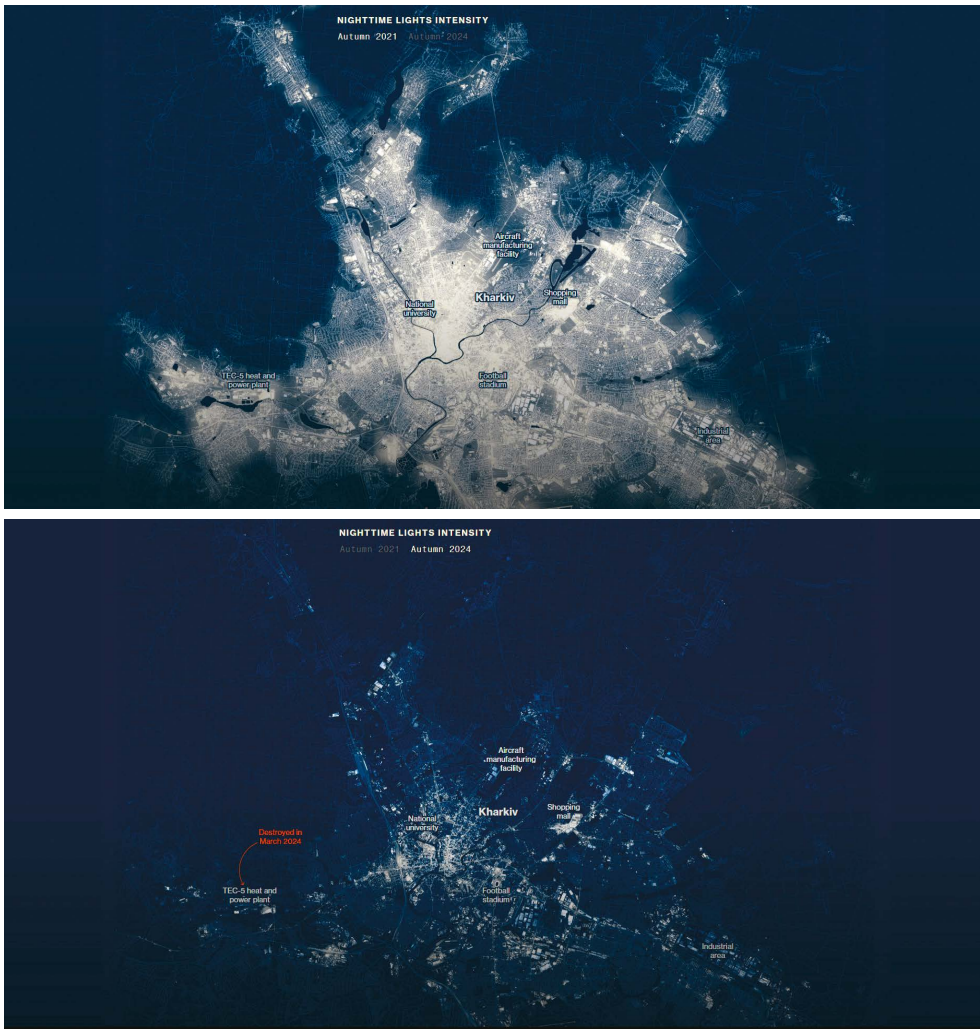

© NASA

Nocne zdjęcia Charkowa w 2021 r. (na górze) **i w 2024 r.**

inwazji nocne zdjęcia satelitarne bardzo szybko ujawniły skalę uderzeń w infrastrukturę energetyczną. Szczególnie wyraźnie było to widać zimą 2022 i 2023 r., kiedy rosyjskie ataki rakietowe zaczęły niszczyć elektrownie i stacje przesyłowe. I miasta, które wcześniej świeciły jednolitym blaskiem, zaczęły fragmentami ciemnieć.

Charków stał się jednym z najbardziej sugestywnych przykładów. Jeszcze przed wojną był jasną plamą rozciągniętą przy granicy z Rosją. Po kolejnych atakach nocna jasność miasta gwałtownie spadła. Podobnie wyglądały nocne obrazy Kijowa, Odessy czy Dniepru. W Ukrainie nocne zdjęcia zaczęły pełnić funkcję niezależnego wskaźnika stanu państwa. Pokazywały nie tylko zasięg zniszczeń, lecz również skuteczność odbudowy sieci energetycznej. Gdy ekipy naprawcze przywracały zasilanie po rosyjskich atakach, światła wracały. Czasem po kilku dniach. Czasem po kilku tygodniach. Czasem jednak nie wróciły wcale.

Migająca Europa

To jednak tylko fragment znacznie szerszej historii. W kwietniu Tian Li i Zhe Zhu z University of Connecticut, Karen Sato z Yale University i współpracownicy opublikowali w „Nature" pierwszą globalną analizę codziennych zmian nocnego oświetlenia Ziemi obejmującą lata 2014–22. Przeanalizowali ponad milion obrazów satelitarnych zebranych w ramach programu Black Marble. Wyniki okazały się zaskakujące. Dotychczas dominowało przekonanie, że planeta stopniowo – wraz z rozwojem urbanizacji i elektryfikacji – staje się coraz jaśniejsza. Tymczasem okazało się,

eprasa.pl 74925dea9a

że zaczęła zachowywać się znacznie bardziej nerwowo. Jedne regiony jaśniały, inne ciemniały, a oba procesy coraz częściej zachodziły równocześnie.

„Nocą, czasami lepiej niż w dzień, widać na zdjęciach satelitarnych, jak duże są różnice w rozwoju poszczególnych rejonów i regionów świata. Można powiedzieć, że niektóre zjawiska cywilizacyjne i ekonomiczne ujawniają się dopiero w ciemnościach: rozmaite trendy długookresowe, ale też nagłe dołki i górki, kryzysy, kataklizmy, wojny i rozejmy" – mówi Sato. W badanym okresie intensywność sztucznego światła docierającego nocą z Ziemi do satelitów wzrosła o 16 proc. Ten uśredniony wynik mówi jednak niewiele o rzeczywistych zmianach. Z jednej strony są bowiem obszary coraz jaśniejsze, lecz z drugiej i takie, które wyraźnie w ostatniej dekadzie pociemniały.

Szybka urbanizacja i elektryfikacja przyczyniły się do gwałtownego rozjaśnienia wschodniej części Chin oraz północnych Indii, a także niektórych kawałków Afryki Subsaharyjskiej, gdzie nowe skupiska światła pojawiały się wokół głównych miast i dróg. Z kosmosu wyglądało to tak, jakby ciemny kontynent stopniowo pokrywał się siecią drobnych, rozproszonych iskier. Zarazem gwałtownie pociemniały Ukraina, Strefa Gazy, a także Wenezuela, która stopniowo gasła, pogrążając się w kryzysie gospodarczym i energetycznym. Ciekawie zrobiło się w Europie. Znaczna jej część również zaczęła stopniowo ciemnieć, lecz nie dlatego, że przeżywała gospodarczy regres, ale ponieważ przechodziła na energooszczędne oświetlenie LED i ograniczała zanieczyszczenie światłem. Francja zmniejszyła nocną radiancję aż o jedną trzecią.

Satelity dostrzegały też nagłe i głębsze, ale krótkotrwałe zjazdy, np. znaczne zmniejszenie jasności świateł w Europie pod koniec 2022 r., spowodowane ograniczeniami zużycia energii po rosyjskiej agresji na Ukrainę. Wyłączano wówczas część oświetlenia ulicznego i ograniczano wyświetlanie reklam. Wcześniej podobny efekt, szczególnie w Azji Wschodniej, spowodowała pandemia Covid-19. Na początku 2020 r. w wielu miejscach kuli ziemskiej noc po raz pierwszy od dekad zaczęła odzyskiwać część przestrzeni utraconej wcześniej na rzecz światła. „Nocne światła Ziemi na bieżąco wskazywały, co robili ludzie i jakim wstrząsom ulegały społeczeństwa, a było tych wstrząsów niemało w ostatniej dekadzie" – zauważa Sato.

Rozjaśniony kosmos

Program, bez którego cała ta rewolucja obserwacyjna nie byłaby możliwa, od kilkunastu lat rozwija NASA (nazwa nawiązuje do słynnego zdjęcia oświetlonej Ziemi zatytułowanego „Blue Marble", wykonanego w 1972 r. z pokładu Apollo 17). Dawniej mapy nocnej Ziemi tworzono zazwyczaj na podstawie danych rocznych lub miesięcznych. Dobrze pokazywały długoterminowe trendy, ale umykały im krótkotrwałe zjawiska. Black Marble korzysta z codziennych obserwacji wykonywanych przez radiometry VIIRS umieszczone na trzech satelitach, wystrzelonych po kolei w 2011, 2017 i 2022 r. Instrumenty te rejestrują bardzo słabe źródła światła widzialnego i bliskiej podczerwieni. Algorytmy usuwają wpływ chmur, śniegu, światła Księżyca i innych zakłóceń. Dopiero po takich korektach powstaje niezwykle dokładny obraz nocnej aktywności ludzi.

Kiedy Słońce skryje się za horyzontem i nastają ciemności, my wcześniej czy później kładziemy się do swoich łóżek i pogrążamy we śnie. Ale nie satelity. One nigdy nie zasypiają. Obserwują nielegalne połowy ryb na oceanach, spalanie gazu na polach naftowych, awarie sieci energetycznych, skutki trzęsień ziemi i huraganów, tempo urbanizacji czy odbudowę miast po wojnach. Każda nowa droga, port, kopalnia albo osiedle zostawiają ślad widoczny z orbity. Tak samo jak każda wojna. I każda wielka inwestycja.

Historia naszej cywilizacji jest w dużej mierze historią stopniowego wypierania ciemności. Pokochaliśmy światło – dało nam poczucie komfortu i bezpieczeństwa. Najpierw był ogień, potem lampki oliwne, świece, gazowe latarnie i w końcu elektryczność. W XX w. wielkie miasta zaczęły świecić tak intensywnie, że ich łuny stały się widoczne z kosmosu. Inna sprawa, że z tego samego powodu kosmos stał się mniej widoczny dla nas.

ANDRZEJ HOŁDYS

REKLAMA

pulsar
POPULARYZATOR NAUKI
2024 i 2025

CODZIENNIE
Newsy, artykuły, wywiady (także w wersji audio).

RAZ W TYGODNIU
Wideokasty i podkasty z polskimi naukowcami.

RAZ W MIESIĄCU
Nowe numery czasopism „Wiedza i Życie" i „Scientific American" (Świat Nauki).

STALE W PORTALU
Archiwum ok. 11 tys. materiałów popularnonaukowych.

SUBSKRYBUJ: PROJEKTPULSAR.PL/SUBSKRYPCJA

eprasa.pl 74925dea9a



Astronauta misji Apollo 17 salutuje fladze USA na Księżycu, 13 grudnia 1972 r.

© BE&W

Amerykańskie stulecie

Obchodzące wkrótce 250-lecie Stany Zjednoczone wciąż jeszcze są najpotężniejszym supermocarstwem. Ale osiągniętą w XX w. dominację nad światem tracą na naszych oczach.

TOMASZ ZALEWSKI

Termin „amerykańskie stulecie” wprowadził do obiegu wydawca tygodnika „Time” Henry Luce w zamieszczonym na jego łamach w 1941 r. eseju pod tym tytułem. Ubolewał w nim, że Ameryka, od wielu dekad mająca największą na świecie gospodarkę, a zatem i największy potencjał militarny, wzbrania się przed wykorzystaniem wszystkich swych możliwości i wzywał ją do odgrywania roli globalnego przywódcy. Kilka miesięcy później, po japońskim ataku na Pearl Harbor, USA przystąpiły do drugiej wojny światowej, a po jej zakończeniu odpowiedziały na apel Luce’a.

Stąd też za początek amerykańskiej hegemonii uważa się niekiedy rok 1945, jednak próby syntetycznego porządkowania historii w epoki czy stulecia to umowne interpretacje. Za „prawdziwy” wiek XX uznaje się czasem okres 1914–89, bo to epoka dramatycznej konfrontacji dwóch totalitarnych ideologii i dwóch światowych wojen. A za inaugurację amerykańskiego stulecia uznać też można rok 1917 – przystąpienia USA do Wielkiej Wojny.

Już pod koniec XIX w. gospodarka USA produkowała najwięcej dóbr, a w 1903 r. USA wyprzedziły Wielką Brytanię pod względem zamożności. Posiadanie niezmierzonych połaci wolnej ziemi, ogrom bogactw naturalnych, miliony imigrantów i ład społeczny do maksimum wyzwalający ich energię umożliwiły realizację potencjału Nowego Świata. Na początku XX stulecia Ameryka z wahaniem wkraczała na globalną arenę. Zgodnie z doktryną Monroego ograniczała się najpierw do półkuli

eprasa.pl 74925dea9a

zachodniej, wasalizując Kubę, ale podporządkowując sobie także Filipiny, Hawaje i inne wyspy na Pacyfiku. Potwierdzeniem globalnych aspiracji była udana mediacja Theodore'a Roosevelta w wojnie rosyjsko-japońskiej, za którą prezydent otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla.

Wysłanie w 1917 r. przez prezydenta Woodrowa Wilsona wojsk na pomoc krajom Ententy było pierwszym przypadkiem pełnoskalowej militarnej interwencji USA w Europie. A jego 21-punktowy plan powojennego ładu na Starym Kontynencie i pomysł utworzenia Ligi Narodów – pierwszą próbą zastąpienia „koncertu mocarstw" (1815 r.) systemem zbiorowego bezpieczeństwa opartego na wielostronnych, wspólnie uzgodnionych porozumieniach i poszanowaniu praw wszystkich narodów, także mniejszych. Wilson był wizjonerem, któremu zawdzięczamy odzyskanie niepodległości, ale nienajlepszym politykiem, który wskutek swej dogmatycznej bezkompromisowości nie zdołał przekonać Kongresu do ratyfikacji traktatu wersalskiego, a więc i wejścia USA do Ligi Narodów, co miało fatalne konsekwencje dla świata.

Po Wielkiej Wojnie potęga ekonomiczna USA nie miała sobie równych, zwycięskie mocarstwa europejskie były osłabione i zadłużone u swego zamorskiego sojusznika. Zmuszone do spłaty długów ukarały astronomicznymi reparacjami Niemcy, co zrodziło nazizm i 20 lat później doprowadziło do kolejnego wojennego kataklizmu. Liga Narodów bez USA i bolszewickiej Rosji była ciałem bez znaczenia, bezsilnym wobec wzbierającej burzy. Międzywojenna Ameryka wróciła do swej izolacjonistycznej skorupy. Zagraniczne interwencje ograniczyła do pomocy krajom Ententy w wojnie z bolszewikami i do zachodniej półkuli (Haiti, Dominikana, Kuba). Triumfowały tradycyjna wola trzymania się z daleka od europejskich swarów, zamknięcie granic przed imigrantami i nadmiarem towarów z zagranicy w imię ochrony białej i protestanckiej tożsamości oraz amerykańskiego przemysłu i rolnictwa.

Po niemieckiej inwazji na Polskę, a potem Europę Zachodnią popierany przez zdecydowaną większość populacji ruch America First przez 27 miesięcy nie dopuszczał do przystąpienia USA do konfliktu. Nie wiadomo, jak potoczyłaby się historia, gdyby nie Pearl Harbor i wypowiedzenie przez Hitlera wojny Ameryce. Udział amerykańskiego giganta od grudnia 1941 r. przeważył szalę na korzyść aliantów. Na europejskim i pacyficznym froncie służyło 16,4 mln Amerykanów, ponad 405 tys. zginęło. Ogrom ofiary i piekło wojny totalnej zdecydowały, że USA pod kierownictwem prezydenta Franklina D. Roosevelta, we współpracy z Wielką Brytanią, postanowiły ustanowić globalny ład trwale zapewniający światu ekonomiczną stabilizację i pokój. Osiągnięcie pierwszego z tych celów gwarantować miały powstałe w 1944 r. w Bretton Woods Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy; cel drugi – utworzona w następnym roku w San Francisco Organizacja Narodów Zjednoczonych.

Koncepcja ONZ, zrodzona jeszcze za życia Roosevelta, wynikała z jego nadziei na to, że światowego ładu po wojnie pilnować będą wojenni alianci, a ściślej „czterech policjantów": USA, Wielka Brytania, Chiny i ZSRR. Była niejako praktyczną realizacją idealistycznej wizji Wilsona globalnego systemu bezpieczeństwa międzynarodowego opartego na wspólnie uzgodnionych regułach. Ale ONZ i Bretton Woods były także wyrazem politycznego realizmu, bo cały ten system, stojąc na straży pokoju i stabilizacji, doskonale służył zarazem USA, a dokładniej amerykańskiemu biznesowi ekspandującemu na cały świat.

Po 1945 r. militarna i ekonomiczna przewaga USA nad resztą świata, w tym nad zniszczoną i wycieńczoną Europą, osiągnęła poziom nieznany przedtem ani potem. Amerykańska gospodarka wytwarzała około połowy światowej produkcji, a pozycja dolara jako głównej – w praktyce jedynej – rezerwowej globalnej waluty zapewniała USA kontrolę nad światowym handlem. Wyzwaniem stał się tylko potężny totalitarny Związek Sowiecki, popularny z początku na Zachodzie dzięki swej roli w pokonaniu Trzeciej Rzeszy i też dążący do globalnej dominacji. Spełniło się proroctwo Alexisa de Tocqueville'a, że w XX w. świat podzielą między siebie Ameryka i Rosja.

Po opadnięciu w Europie żelaznej kurtyny Ameryka stanęła na wysokości zadania. Powstały w 1949 r. Pakt Północnoatlantycki postawił zaporę europejskiej ekspansji ZSRR. Plan Marshalla pomógł w odbudowie i wzmocnieniu sojuszników USA na europejskim kontynencie. Ameryka straciła maoistowskie Chiny, ale skonstruowała sieć sojuszy w rejonie zachodniego Pacyfiku, blokując – choć tylko na pewien czas – dalszą ekspansję sowieckiego bloku w Azji.

Deklarowane przez Sowietów ambicje prześcignięcia Ameryki wydały się możliwe do spełnienia, kiedy stopniowo nadrabiali dystans w zbrojeniach atomowych, w 1958 r. wysłali w kosmos Sputnik, a trzy lata później pierwszego kosmonautę na orbitę okołoziemską. Odpowiedź USA była dobitna – osiem lat po locie Gagarina Amerykanie wylądowali na Księżycu. Zniknęły wątpliwości, czyje rakiety są skuteczniejsze. Moskwa spuściła z tonu i zaczęła pertraktować w sprawie redukcji arsenałów. Mimo krytykowania przez prawicę rozmów z komunistami dialog zaowocował uznaniem praw człowieka za warunek kontynuacji odprężenia, co wzmocniło opozycję w zniewolonych krajach Europy Środkowo-Wschodniej i przyspieszyło erozję komunizmu. „Wojny gwiezdne" i Pershingi Ronalda Reagana, zmuszające ZSRR do niemożliwego do wygrania wyścigu zbrojeń, zadały mu ostateczny cios, doprowadzając do bankructwa i rozpadu imperium.

Wygrana USA w zimnej wojnie była nie tylko zwycięstwem siły, amerykańskiej *hard power*, potęgi militarnej i ekonomicznej. Niemniejszą rolę odegrała *soft power* – atrakcyjność Ameryki dla potencjalnych partnerów na świecie, siła jej popkultury i liberalnych wartości, zwłaszcza na tle szarzyzny i opresji systemów totalitarnych. Miliony wolały emigrować do USA niż do ZSRR, oglądać filmy z Hollywoodu zamiast z Mosfilmu, słuchać jazzu i tańczyć rock and rolla, a nie trepaka. Młodzi nie chcieli studiować na Uniwersytecie Łomonosowa, tylko na amerykańskich uczelniach Ivy League, które po zasileniu kadr wybitnymi naukowcami, uchodźcami z Trzeciej Rzeszy, nie miały sobie równych.

Europejscy intelektualiści lubili gardzić prostactwem amerykańskiej popkultury, a lewicowe elity wytykać Ameryce hipokryzję za kreowanie się na krzyżowca walczącego z imperiami i osiami zła, choć jej działania często zaprzeczały głoszonym wartościom. Udział CIA w obaleniu rządu Mosaddegha w Iranie (1953 r.) czy Allende w Chile (1973 r.) jest faktem, Wuj Sam działał w interesie amerykańskich i międzynarodowych korporacji. Jego polityka mieściła się jednak w logice zimnej wojny nakazującej powstrzymywanie ekspansji sowieckiej strefy wpływów. Per saldo historia nie oceni źle tego, jak USA spisywały się w roli globalnego szeryfa, a ich model ustrojowy dla wielu państw mógł być inspiracją. Liberalna demokracja ▶

eprasa.pl 74925dea9a

▶ w amerykańskiej wersji okazała się zdolna do ewolucji i naprawy własnych braków, jak uratowanie kapitalizmu „przed nim samym" przez New Deal F.D. Roosevelta, przyznanie pełni praw Afroamerykanom za L.B. Johnsona czy reformy układu między prezydentem a Kongresem po aferze Watergate.

XX-wieczna hegemonia Ameryki nie opierała się na podboju i przejmowaniu w posiadanie obcych terytoriów – ten etap przeszła na własnym kontynencie w poprzednim stuleciu. Nad zamorskimi krajami dominowała subtelniej niż imperia kolonialne. Bananowe republiki na zachodniej półkuli oplatała siecią zależności ekonomicznych i używając tej dźwigni nacisku, wspierała sprzyjające jej interesom nurty polityczne. Europejskie mocarstwa musiały polegać na amerykańskim parasolu atomowym. Wszędzie poza Ameryką Łacińską wejście w orbitę Pax Americana było przyjęciem zaproszenia do wspólnego stołu, wspólnoty gospodarki rynkowej i demokracji. Wyborem dobrowolnym, co Amerykanom pozwalało trwać w przekonaniu, że ich imperium – inaczej niż brytyjskie i inne w przeszłości zniewalające narody – jest imperium pod każdym względem dobroczynnym dla pozostających w jego kręgu narodów. Przekonanie to umacniały częściowo fakty – postęp ku nowoczesności w prozachodnich krajach biednego Południa – ale głównie tradycyjna wiara Amerykanów w wyjątkowość ich kraju, poczucie jego globalnej misji jako świetlistego „miasta na wzgórzu". Nowy Świat miał zbawić grzeszny Stary Świat.

Rozpad sowieckiego imperium zapoczątkował okres bezdyskusyjnej globalnej dominacji USA. Świat stał się jednobiegunowy. Uwolnione kraje Europy Środkowowschodniej weszły do zachodniej wspólnoty; NATO, mimo protestów Rosji, zaczęło się rozszerzać na wschód. Zwycięstwo Ameryki nad ZSRR i komunizmem było tak zdecydowane, że Francis Fukuyama widział w nim „koniec historii" – od tej pory cały świat miał podążać ku kapitalizmowi i liberalnej demokracji. Ostatnia dekada XX w. zdawała się przyznawać mu rację – w Trzecim Świecie rosła liczba krajów demokratycznych z rynkową gospodarką. W Waszyngtonie panowało przekonanie, że liberalizacja ekonomiczna w krajach totalitarnych, takich jak Chiny, doprowadzi do liberalizacji politycznej i ich wejścia w orbitę Zachodu.

Było to złudzeniem, a przyczyniło się do niego upojenie hegemonią Ameryki w środowisku polityków i ekspertów politycznych znanych jako neokonserwatyści (neokoni). Utworzony przez nich think tank New American Century głosił, że USA powinny pójść za ciosem, zwiększać swą militarną przewagę nad resztą świata i wspierać wszędzie siły demokratyczne, usuwając, jeśli to konieczne, tłumiące je dyktatorskie reżimy. George W. Bush, w którego administracji neokoni obsadzili wiele wpływowych stanowisk, wzbraniał się przed taką interwencjonistyczną polityką, ale zamach z 11 września 2001 r. radykalnie zmienił sytuację. Szok po ataku na amerykańską twierdzę przekonał prezydenta, że trzeba rozprawić się z osią zła, zaczynając od Saddama Husajna gromadzącego jakoby broń masowego rażenia i sprzymierzonego z Al-Kaidą. Przekonał tym łatwiej, że inwazję na Irak popierała przeważająca większość Amerykanów.

Wywołana pod fałszywymi pretekstami wojna, kosztująca życie ponad 4 tys. Amerykanów, okazała się fatalnym błędem. Na Bliskim Wschodzie wzrosły wpływy Iranu i w świecie arabskim nieufność do Stanów postrzeganych jako drapieżca dążący do zagarnięcia ropy naftowej. Iracką kampanię uzasadniano jako akcję w celu „wstrząśnięcia" bliskowschodnimi autokracjami, by zaczęły się demokratyzować. W regionie wybuchły rewolucje i powstania arabskiej wiosny, ale ich efektem były wojny domowe albo despotyczne rządy muzułmańskich fundamentalistów, obalane, jak w Egipcie, przez nowych autokratów. Zemściła się ignorancja ekipy Busha i brak kolonialnego doświadczenia waszyngtońskich elit politycznych, którym zdawało się, że do krajów islamu można będzie po prostu przenieść sprawdzone w powojennych Niemczech i Japonii modele liberalnej demokracji.

W XXI w. nasilają się głosy, że jesteśmy świadkami zmierzchu Ameryki. Czołowy komentator telewizji CNN Fareed Zakaria już w 2008 r. napisał, że żyjemy w „świecie postamerykańskim". Mimo ówczesnych prognoz, że wkrótce Chiny zostaną supermocarstwem numer jeden, amerykańska gospodarka jest dzisiaj wciąż największa – stanowi ok. 26 proc. globalnej. Z budżetem Pentagonu większym niż suma analogicznych budżetów kilku następnych w kolejności państw, z Rosją i Chinami włącznie, potęga militarna Ameryki nadal nie ma sobie równych. Jednak w porównaniu z okresem bezpośrednio po drugiej wojnie światowej i w „jednobiegunowej" dekadzie lat 90. jej hegemonia jest znacznie mniej wyraźna. Zmniejsza się dystans w wyścigu ekonomicznym, bo nadgoniły nowe mocarstwa: Indie i Brazylia, a tempo zbrojeń Chin wskazuje na to, że ich potencjał militarny niedługo może się zrównać z arsenałem USA i Rosji.

Świat staje się coraz bardziej wielobiegunowy nie tylko dlatego, że Ameryce rosną konkurenci. Słabnięcie kolosa wynika ze spiętrzenia się wewnętrznych problemów, które utrudniają jego działania na globalnej arenie. Ich lista jest długa – to niedostatki edukacji, zwłaszcza historycznej i geograficznej, rosnąca polaryzacja ideologiczno-kulturowa, a przede wszystkim mankamenty systemu politycznego, który wobec zaostrzającego się podziału kraju i klinczu w Kongresie coraz bardziej blokuje potrzebne reformy. System okazał się bezsilny wobec przejęcia i utrwalania władzy przez prezydenta, jakiego nie było w historii USA. Donald Trump próbuje rozmontować liberalną demokrację, a na scenie międzynarodowej pozbawić Amerykę wszystkich – poza nagą siłą – instrumentów i atutów, dzięki którym przez ponad sto lat była hegemonem.

TOMASZ ZALEWSKI



KUP TERAZ

Cały XX w. to amerykanizacja świata z odwołaniem się do legendy kraju wolności, demokracji i wolnego rynku. I nawet jeśli Ameryka w czasach Trumpa abdykowała niejako ze swej wzorcotwórczej roli, to nadal pozostaje potęgą.

Z tym wydaniem Pomocnika Historycznego zapraszamy do wędrówki po historii najnowszej USA.

Kupując je **w druku na stronie sklep.polityka.pl** lub **w ramach subskrypcji cyfrowej polityka.pl**, wspierają Państwo dziennikarstwo POLITYKI.

eprasa.pl 74925dea9a



Mojżesz zamiast króla

O tym, jak Judejczycy stworzyli religię bez króla, dlaczego Jahwe nie był jedynym Bogiem i kto naprawdę napisał Torę, opowiada prof. Łukasz Niesiołowski-Spanò.



© OBRAZY SZTUKI PIĘKNEJ/OBRAZY DZIEDZICTWA/GETTY IMAGES

Ofiarowanie Izaaka, obraz Andrei del Sarto, XVI w. U góry: **srebrna moneta wybita w prowincji Jehud w epoce perskiej (IV w. p.n.e.), przedstawiająca Boga JHWH stylizowanego na greckiego Zeusa.**

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA: **– Badacze genezy judaizmu długo byli przekonani, że Stary Testament jest wiarygodnym źródłem historycznym, więc archeolodzy kopali z Biblią w ręku, a bibliści tłumaczyli wszelkie nieścisłości jako alegorie.**

PROF. ŁUKASZ NIESIOŁOWSKI-SPANÒ: – Niektórzy nadal tak robią, tylko że wiele z ich ustaleń rozpadło się w proch. Wywodzący się z różnych szkół teologicznych bibliści widzieli w Biblii pismo natchnione przez Boga, który przecież nie kłamie, jednak nawet oni zaczęli od lat 70. XX w. zmieniać zdanie co do jej wartości jako tekstu historycznego. Zaczęło się od ustaleń Johna Van Setersa i Thomasa Thompsona, którzy niezależnie od siebie dowiedli, że opowieści o patriarchach z Księgi Rodzaju nie odpowiadają żadnym realiom historycznym. To był szok i wiele osób latami nie przyjmowało do wiadomości, że w Pięcioksięgu są spisane legendy, a patriarchowie to nie autentyczne postaci, lecz mityczni bohaterowie. Teraz już niemal wszyscy patrzą na Torę jak na tekst literacki.

Jeśli odrzuci się Biblię, to jakie zostaną źródła na temat początków judaizmu?

Dla mnie, jako historyka, teksty są bazą rekonstrukcji przeszłości, ponieważ jednak dla wydarzeń w I tys. p.n.e. na terenach Kanaanu jest ich bardzo mało, korzystamy z archeologii, która dostarcza nam nowych danych i pozwala inaczej spojrzeć na tekst biblijny. Ten zresztą też może być źródłem historycznym, ale zawsze czytanym bardzo krytycznie. W książce, która ukaże się latem nakładem PIW, staram się badać, w jakiego Boga wierzyli wówczas Izraelici i Judejczycy. Nie jest to łatwe. Zacznijmy od tego, że nadal nie znamy etymologii imienia JHW/JHWH, a to niezbędne, by zrozumieć zakorzenienie bóstwa w kulturze. Choć w Księdze Wyjścia pojawia się określenie „Jestem, który jestem", co tak naprawdę powinno się tłumaczyć raczej jako „Stwarzam to, co stwarzam", wśród językoznawców nie ma zgody co do etymologii tego imienia. Według najnowszej ▶

eprasa.pl 74925dea9a

▶ hipotezy wzięło się od rdzenia znaczącego „niszczyć”, a Bóg „niszczyciel” odbiega od wizji patriarchalnego ojca.

Kiedy pojawiają się pierwsze zapisy tego imienia?

Zaskakująco późno. Wiemy na pewno, że Jaho, bo tak zapewne brzmiała jego pierwotna forma, czczony był w stołecznej Samarii i w Edomie, a najstarsze inskrypcje na naczyniach z Pustyni Negew pochodzą z końca IX lub początku VIII w. p.n.e., czyli ok. 100 lat po powstaniu Królestwa Izraela. Skoro miał to być już wówczas ważny Bóg, to wzmianki o nim powinny być starsze, tak samo jak powinny pojawiać się jahwistyczne imiona własne. Pierwsi królowie o takich imionach, czyli Achazjasz (Achaz-Jah) i Joram (Jehoram) żyli dopiero w drugiej połowie IX w. p.n.e. Twórcą jahwizmu jako religii państwowej był zapewne król Achab. W Biblii ukazany jest jako przeciwnik kultu Jaho, ale to on uczynił go opiekunem królestwa i dynastii, dzięki czemu przynoszenie mu ofiar jednocześnie stanowiło znak lojalności wobec królów. W ten sposób Jaho stał się Bogiem Izraela.

Jedynym?

Niejedynym, lecz na pewno głównym. Religia Izraela, a potem Judy do czasów tzw. niewoli babilońskiej miała cechy politeistyczne. Biblia obsesyjnie powtarza, że nie należy czcić obcych bogów, czyli był problem. W znanych nam archeologicznych pozostałościach świątyń nie ma żadnych dowodów, że składano w nich ofiary tylko dla Jaho.

Bogowie lubili krwawe ofiary, w tym z dzieci, co stanowiło akt największego poświęcenia. Z tekstów greckich i rzymskich wiemy, że te tzw. ofiary *molk* praktykowali Fenicjanie, a potem Kartagińczycy. Czy znali je wyznawcy Jahwe?

Tak. Śladami po nich są znajdowane na zachodzie *tofety*, czyli cmentarzyska z urnami, w których są wymieszane prochy spalonych dzieci oraz jagniąt i koźląt, co wskazuje, że nie była to zwykła kremacja. Z Bliskiego Wschodu pochodzą jedynie sporadyczne i do tego bardzo wątpliwe znaleziska. Zgadzam się jednak z Otto Eissfeldtem, który już w latach 40. XX w. twierdził, że biblijne zakazy składania ofiar dla Molocha, czyli ofiary typu *molk* wskazują, że jahwiści je praktykowali – choćby władca Judy Manasses, który swego syna „przeprowadził przez ogień” (2 Krl 21,6). Poza tym Abraham też miał przecież złożyć w ofierze Izaaka





Średniowieczne wyobrażenia saduceusza (u dołu) **i faryzeusza, ilustracje z Kroniki norymberskiej, 1493 r.**

na polecenie Boga. Dla autorów tych wątków biblijnych ofiara z dzieci, nawet jeśli nieakceptowana, była do pomyślenia.

Trudno sobie wyobrazić, że król zabijał następcę tronu, bo jest to sprzeczne z potrzebą ciągłości dynastycznej, więc pewnie podstawiano jakieś inne dziecko?

Biblia zna pojęcie ofiary zastępczej, jak w opowieści o ofierze Izaaka. Jest tam zresztą cały taryfikator, np. że zamiast pierworodnego syna można dać jagnię albo inne zwierzę uważane za czyste. Możliwe, że ofiarę *molk* zastąpiono składaną na wiosnę ofiarą Paschy, która miała chronić całą wspólnotę. Pobyt w tzw. niewoli babilońskiej wymusił zmianę rytuałów kultowych. Deportowani Judejczycy tworzyli rozproszone wspólnoty i nie ma żadnych źródeł tekstowych czy archeologicznych świadczących o tym, że budowali na wygnaniu jakieś świątynie czy choćby ołtarze. Pozbawieni tych instytucji musieli sobie radzić sami, więc ojciec, głowa rodziny, zabijał jagnię na święto Paschy, przypadające na 14 Nissan. Doszło do bezprecedensowego zjawiska – zwykli ludzie, bez pośrednictwa kapłanów i bez świątyń – mogli komunikować się z Bogiem poprzez ofiarę z baranka i modlitwę.

Czyli to na wygnaniu jahwizm zaczął się zmieniać?

Powiedziałbym wręcz, że stworzył się na nowo, co brało się stąd, że Judejczycy chcieli za wszelką cenę zachować własną tożsamość i wiara w ich Boga miała w tym pomóc. Centralną postacią był tu zapewne prorok Ezechiel. Z punktu widzenia deportowanych Judejczyków ich bóg przegrał z Mardukiem, w końcu Babilończycy zniszczyli świątynię w Jerozolimie, a Juda poniosła klęskę, jednak Ezechiel wpadł na pomysł, jak to wytłumaczyć – stwierdził, że JHWH jest transcendentny i nie potrzebuje świątyń, poza tym to on skierował Marduka przeciwko swoim wyznawcom, bo grzeszyli. Drugą bardzo ważną zmianą było nadanie w tym czasie rytualnych cech prozaicznej czynności, jaką było obrzezanie. Stosowali je nie tylko Judejczycy, ale też Fenicjanie, Arabowie czy Egipcjanie, ale nie Babilończycy, a ponieważ wyznawcy Jaho trafili między nich, uznali tę dotychczas banalną czynność higieniczną za znak przymierza z Bogiem. Wpleciono to w opowieść o mitycznym bohaterze – Abrahamie. Okazało się to skutecznym elementem spajającym wspólnotę. To samo dotyczyło Exodusu. Według niektórych jest on echem wydarzeń historycznych z epoki brązu, ale moim zdaniem Judejczycy po powrocie z Babilonii stworzyli mityczny model do naśladowania, czyli opowieść o Mojżeszu, który tak jak oni wychodził z niewoli do Ziemi Obiecanej.

Gdy repatrianci wrócili z niewoli z nowym pomysłem, spotykali w Judzie tych, którzy zostali i uprawiali stare kulty. Jak to się stało, że wszyscy zostali monoteistami?

Z powodu konfliktu między przybyszami a „ludem ziemi”, czyli ludnością lokalną, na pewno trochę to trwało. Według mnie większość osób, które przybyły do Palestyny między 539 a 520 r. p.n.e., to nie byli uwolnieni jakimś dekretem Judejczycy, tylko żydowscy żołnierze wcieleni do armii perskiej. A to oznacza, że zarówno oni, jak i ich nowa religia mieli poparcie w perskiej administracji, więc

eprasa.pl 74925dea9a

stare kulty nie miały z nią szans. Do stworzenia nowej wspólnoty doszło na zasadzie mniej lub bardziej wymuszonego konsensusu. Sposobem na to było spisanie przepisów prawnych regulujących życie codzienne i kult, czyli Pięcioksięgu. Niestety, aż do połowy II w. p.n.e. nie ma archeologicznych dowodów na jego stosowanie, więc część badaczy uważa, że długo nie wprowadzano ich w życie. Według mnie część z przepisów mogło być praktykowanych już w IV w. p.n.e., lecz z racji małej liczby ludności – w prowincji ze stolicą w Jerozolimie mogło mieszkać w końcu epoki perskiej ok. 20–30 tys. ludzi – nie zachowały się żadne ślady materialne.

A czy wzmocnieniem przekazu nie było uznanie Tory za natchnioną przez Boga?

Łączenie pewnych tekstów z wolą Boga sięga tradycji prorockiej, opartej na przekonaniu, że to, co mówi prorok, to słowa samego Boga. Ale powstanie Tory to nowa jakość. Dotąd prawa nadawał ludziom król, a tu pojawił się pomysł, by je stworzyć z pominięciem monarchy – pochodziły one od Boga, a ich przekazicielem miał być Mojżesz. Według mnie proces powstawania Pięcioksięgu zaczął się w epoce perskiej pod koniec VI w. p.n.e.

Wielu się z tym pewnie nie zgodzi.

Wokół pytania o to, kiedy powstała Biblia, trwa nieustająca dyskusja. Od końca XIX w. sądzono, że Pięcioksiąg składa się z tekstów pochodzących od czterech redakcji, które bibliści arbitralnie przypisywali do kolejnych epok – jahwistyczną do czasów Salomona (X w. p.n.e.), elohistyczną do czasów podzielonej monarchii (IX–VIII w. p.n.e.), deuteronomistyczną, która miała powstać za panowania króla Jozjasza (ok. 622 r. p.n.e.), oraz najmłodszą, czyli tzw. kapłańską, powstałą w trakcie niewoli. Ten paradygmat legł w gruzach, gdy w latach 80. i 90. uznano, że między dwiema pierwszymi warstwami redakcyjnymi nie ma wyraźnych różnic. Potem, że powstanie Deuteronomium (Księgi Powtórzonego Prawa), czyli osobnej kodyfikacji przepisów prawnych, nie miałoby sensu w czasach monarchii. Przecież żaden władca nie zgodziłby się na zapis (Pwt 17,16–17), że król nie może sprowadzać koni z Egiptu, gromadzić złota i srebra oraz posiadać wielu żon. Księga ta powstała dla wspólnoty, która po powrocie z niewoli tworzyła dla siebie nowe prawa, bez odnoszenia się do króla. Centralną rolę w miejsce króla zaczął odgrywać Mojżesz.

W epoce perskiej w Jerozolimie główną władzę sprawował namiestnik, ale kapłani w świątyni mieli za sobą natchnione przez Boga pisma, które dawały im też pewne prerogatywy. Jaki mieli oni stosunek do Żydów żyjących na obczyźnie?

Dzięki papirusom dokumentującym życie codzienne wspólnoty judejskiej na Elefantynie – wyspie na Nilu – mamy dużo informacji na ich temat. Gdy istniejąca tam w V w. p.n.e. świątynia Jaho została zniszczona przez Egipcjan, lokalni jahwiści pisali do różnych wpływowych osób, w tym do kapłanów w Jerozolimie, by ci wstawili się za nimi u władz. Choć w odbudowie im nie pomogli, to widać, że obie wspólnoty utrzymywały ze sobą kontakt. Kapłani z Jerozolimy przekazywali na Elefantynę np. instrukcję, jak należy świętować Paschę. Swoją drogą Egipt to fantastyczny rezerwuar informacji na temat życia wspólnoty żydowskiej w kolejnej epoce, bo za zgodą Ptolemeuszy spokojnie żyła ona nad Nilem i budowała „domy modlitwy", czyli *proseuchē*. Szkoda, że nie wiemy, co w nich robiono – nazwa sugeruje, że się modlono, ale może też składano jakieś ofiary lub czytano Torę.

Po grecku czy po hebrajsku?

W historii badań dominowało przez lata echo ksiąg Machabejskich budujących wyraźne napięcie między politeistyczną kulturą Greków a monoteistyczną tradycją Żydów. Ci ostatni mieli dbać o zachowanie odrębności, pielęgnując konserwatyzm, w tym niechęć do hellenizacji. Tymczasem Judejczycy, jak wszyscy inni mieszkańcy Wschodu, zostali zalani niezwykle atrakcyjną kulturą grecką, co skończyło się jej absorpcją. Księga Koheleta została napisana przez kogoś, kto dobrze znał filozofię grecką. Ale i w innych miejscach autorzy hebrajscy, piszący Biblię, potrafili wykorzystywać wątki zaczerpnięte z greckiej kultury. Egipska wspólnota żydowska z czasem przestała używać hebrajskiego, jednocześnie wiedziano, że jej tożsamość religijna zbudowana jest na tekście biblijnym. W związku z tym postanowiono przetłumaczyć święte teksty, by móc sprawować kult i czytać Słowo Boże.

Ponoć Ptolemeusz wysłał do arcykapłana prośbę o przekład Tory, a ten zlecił 70 mędrcom przetłumaczenie jej na grekę i gdy porównano przekłady, okazały się brzmieć tak samo, stąd nazwa greckiego tłumaczenia Pięcioksięgu – Septuaginta.

Ta legenda miała dowodzić, że greckojęzyczna wersja jest tak samo natchniona jak hebrajska. Dziś badacze Septuaginty twierdzą, że teksty różnych ksiąg były tłumaczone przez różne osoby w różnym czasie, tym bardziej że Żydzi dopisywali do niej teksty, które powstały później, jak choćby wspomniane Księgi Machabejskie czy Mądrość Syracha.

W tym czasie, gdy diaspora w Egipcie funkcjonowała w najlepsze, Jerozolima ostro walczyła, by stać się głównym centrum kultu jahwistycznego.

Jeszcze na początku III w. p.n.e. miejsca kultu JHWH działały w Edomie, Egipcie i w Samarii, której mieszkańcy czuli się wręcz kontynuatorami starych kultów. Stąd zresztą pobrzmiewający na stronicach Biblii mniej lub bardziej zawoalowany spór między jahwistami z Jerozolimy i Samarii. Moim zdaniem jedyne, co tłumaczy walkę o to, by Jerozolimę uczynić jedynym miejscem kultu JHWH, są pieniądze. Po prostu tamtejszym kapłanom zależało, by wszelkie ofiary i podatki trafiały do nich. Dopięli swego w końcu II w. p.n.e.

Czy w takim razie to kapłani ze świątyni w Jerozolimie mieli ostateczny wpływ na powstanie znanej do dziś formy Pięcioksięgu?

Od II w. p.n.e. istniały dwa stronnictwa religijne, które Józef Flawiusz nazywał szkołami filozoficznymi – saduceusze, czyli środowisko kapłanów skupionych wokół dynastii Hasmoneuszy, oraz faryzeusze, czyli uczeni w piśmie. Ale wszystko wskazuje na to, że Biblia, którą my dziś czytamy, przedstawia wizję tych drugich. Stało się tak zarówno z uwagi na popularność nauczenia faryzeuszy, jak i kryzys elit świątynnych po zburzeniu Świątyni Jerozolimskiej przez Rzymian w 70 r. Biblia hebrajska, jaką znamy, jest wynikiem redakcji i wyboru tekstów dokonanych przez rabinów, kontynuatorów nauczania faryzeuszy.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA KRZEMIŃSKA



Prof. Łukasz Niesiołowski-Spanò jest badaczem dziejów i religii starożytnej Palestyny, pracuje na Wydziale Historii Uniwersytetu Warszawskiego. W tym roku w serii ceramowskiej PIW pojawi się jego nowa książka „Bóg starożytnego Izraela".

© DP (2), LESZEK ZYCH

eprasa.pl 74925dea9a



scena

Przed i po lataniu 5/6

Erica Jong, **Strach przed lataniem**,
reż. Weronika Szczawińska, TR Warszawa

W „Strachu przed lataniem" Erica Jong odwraca schemat – w centrum stawia kobiecą bohaterkę, która rozpoczyna eksplorację swoich pragnień, a mężczyźni są tu obsadzeni w rolach pomocniczych: cierpliwego męża i szalonego, głupiutkiego kochanka. Powieść wyszła w 1973 r. i stała się jednym z kamieni milowych drugiej fali feminizmu, a jej echo słychać i dziś, choćby w świetnych serialach „Fleabag" i „Dziewczyny". Akcja zaczyna się w samolocie z Nowego Jorku do Wiednia, którym Isadora Wing, autorka poezji erotycznej i dziennikarka magazynu „Voyeur", podróżuje z drugim mężem Bennettem i ponad setką innych psychoanalityków na kongres psychoanalityczny. Na miejscu poznaje kolejnego, o znaczącym nazwisku Adrian Goodlove, i wdaje się z nim w romans. Trzonem książki jest permanentna autoanaliza Isadory, pełna autoironii i humoru, oraz jej fantazje erotyczne, nieskrępowane konwenansami, polityczną poprawnością, wyrzutami sumienia, a także dobrym gustem, rozumem czy szacunkiem (w tym do siebie). Twórcy spektaklu w TR Warszawa, Weronika Szczawińska i Piotr Wawer jr, podbijają komediową warstwę powieści, a grająca główną rolę charyzmatyczna **Marta Nieradkiewicz** brawurowo realizuje tę interpretację, godnie wspierana przez Rafała Maćkowiaka (Bennett) i **Filipa Zarębę** (Adrian, tutaj dużo młodszy niż w powieści), a także Beatę Bandurską w roli matki i Aleksandrę Matlingiewicz w rolach siostry i przyjaciółki Isadory. Dużo tu slapsticku, są „rozmowy" tyłków, choreografie zbudowane wokół ruchów frykcyjnych i jest porywająca scena seksu w formie tańca materaców, z oblewaniem się jogurtem na finał. Śmiech jest wyzwalający, ale też buduje pewien – bezpieczny? – dystans wobec działań bohaterki i pozwala na spokojnie zadać (sobie) pytanie o miejsce, w którym jesteśmy pół wieku po wydaniu „Strachu przed lataniem" i dwa lata po ukazaniu się nowego polskiego przekładu.

ANETA KYZIOŁ

scena

Miłość pod opresją 4/6

Charles Gounod, **Romeo i Julia**,
reż. Barbara Wysocka, kier. muz. Robert Houssard, Teatr Wielki-Opera Narodowa

To przeniesienie spektaklu, który miał premierę miesiąc temu w Semperoper w Dreźnie, zmodyfikowanego nieco ze względu na wielkość sceny. Reżyserka często pracuje w Niemczech, grywała tam jako aktorka i tworzyła spektakle teatralne i operowe w Monachium i Berlinie, nic więc dziwnego, że kolejna inscenizacja przeznaczona na niemiecką scenę jest trochę w tamtejszym



guście: ludzie we współczesnych, niespecjalnie gustownych strojach, dekoracje szare i surowe, ale przypominające architekturę raczej włoskiego faszyzmu niż nazizmu – w końcu rzecz dzieje się we Włoszech. Ten ponury, opresyjny nastrój

Ponury, opresyjny nastrój kontrastuje ze słodką muzyką i z porywami romantycznych uczuć

kontrastuje zarówno ze słodką muzyką Gounoda, jak i z porywami romantycznych uczuć. Kontrast ów ma pokazać, że na tego rodzaju uczucia nie ma miejsca, a jedyne, co ożywia wszystkich, to nienawiść – jak dziś hejt. Tyle że w związku z tym spektakl, początkowo grzęznący w monotonii wizualnej, nabiera emocji dopiero w momencie, gdy dwa zwaśnione rody ścierają się w bezsensownych pojedynkach, powodując równie bezsensowne ofiary. Jest za to naprawdę dobry muzycznie, zwłaszcza obsada wokalna. Tragicznych kochanków grają co prawda cudzoziemcy – Ormianka **Nina Minasyan** (Julia) i Uzbek **Bekhzod Davronov** (Romeo) – ale cała reszta to znakomici polscy śpiewacy, w tym prawdziwy gwiazdor Rafał Siwek w roli ojca Laurentego.

DOROTA SZWARCMAN

© ADRIAN LACH, KRZYSZTOF BIELIŃSKI, DISNEY, APPLE TV, CHRISTOPHER BURKE/THE EASTON FUNDATION/ZAIKS

eprasa.pl 74925dea9a

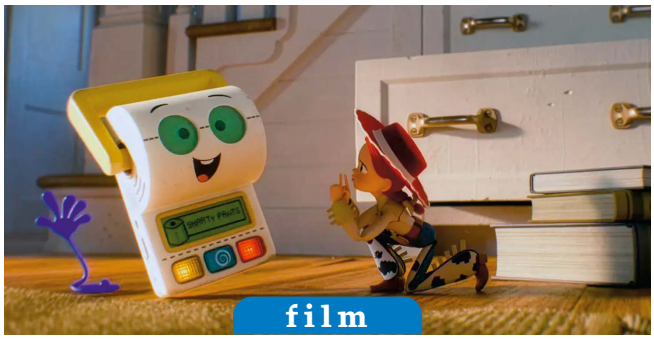

film

Ach, te relacje 4/6

Toy Story 5, reż. Andrew Stanton, McKenna Harris, prod. USA, Japonia, 102 min

Wprawdzie czwarta część przygód Chudego, Buzza Astrala i Jessie miała być ostatnia, dopóki jednak popularne serie generują zyski, to się ich nie kasuje. Kolejny odcinek perypetii sympatycznych zabawek tym razem został skonstruowany wokół dramatycznego pytania, czy rewolucja cyfrowa skazuje najmłodszych na samotność. Można to ująć nieco dosadniej: czy technologia pozbawia ich umiejętności nawiązywania więzi w realu? Oraz czy winna jest kryzysowi zabawy, chociaż nad tym akurat będą się raczej zastanawiali rodzice. Z „Toy Story" i całym dobrym kinem familijnym tak już jest – porusza i bawi nie tylko dzieci. „Piątka" szczęśliwie wyjątku nie stanowi. To miłe, choć nieco przydługie kino przygodowe o tym, jak stare zakurzone zabawki zamyka się w szafie, a ich miejsce zajmują bezduszne tablety zamieniające użytkowników w uzależnione od klikania, nieszczęśliwe istoty. Filmowi wyszło na dobre to, że pierwsze skrzypce gra w nim kowbojka Jessie, a Chudy i Buzz Astral zeszli na drugi plan. Bez nachalnej pedagogiki otrzymujemy lekcję, że czas szmacianych lalek się kończy, lecz potrzeba przyjaźni, żywego kontaktu z człowiekiem są bezcenne. Smutne jest tylko to, że o równie nostalgiczną i wzruszającą kontynuację w momencie przejmowania władzy przez AI łatwo nie będzie.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

serial

Zemsta skazańca 4/6

Przylądek strachu, twórca serialu: Nick Antosca, Apple TV, 10 odc.

Po co sięgać po raz kolejny po historię, która była już dwukrotnie (i to znakomicie) sfilmowana? Na dodatek rozciągając filmową fabułę do dziesięciu odcinków? Wątpliwości są uzasadnione, jednak serialowy „Przylądek strachu" – na ile można to ocenić po kilku dostępnych dotąd epizodach – nie jest wyłącznie kopiowaniem zgranego schematu. Max Cady (**Javier Bardem**) spędził 17 lat w więzieniu za brutalne zabójstwo ciężarnej żony. Jego była kochanka w samobójczym liście przyznała się do tej zbrodni. Cady wychodzi na wolność i postanawia się zemścić na rodzinie prokuratora Bowdena (Patrick Wilson), który doprowadził do jego skazania. No właśnie: ale czy naprawdę się mści, czy to tylko paranoja Anny (Amy Adams), żony Bowdena, która przed laty była obrończynią Cady'ego? Znajomość reguł gatunku sugeruje odpowiedź, lecz już pierwsze epizody przynoszą parę zaskoczeń. „Przylądek strachu" jest gęsty, duszny i makabryczny, a przecież dopiero na dobre się rozkręca. Przy okazji twórcy serialu składają hołd poprzednikom, wykorzystując m.in. oryginalną muzykę Bernarda Herrmanna czy zatrudniając do drugoplanowej roli jedną z aktorek z filmu Martina Scorsesego. I nawet jeśli dalsza część serialu nie będzie równie satysfakcjonująca, co zawiązanie akcji, to pozostaje wyśmienite aktorstwo trójki głównych bohaterów. Zwłaszcza Bardem może dopisać rolę Cady'ego do swoich najciekawszych filmowych osiągnięć.

JAKUB DEMIAŃCZUK





galeria

Coming out 5/6

Patrząc na świat od nowa. O poetykach widzenia w sztuce XX i XXI wieku, Folta Collection, Wrocław, do 30 listopada

Powoli i stopniowo wychodzą z cienia kolejne prywatne polskie kolekcje sztuki. Zazwyczaj ostrożnie, jakimiś czasowymi wystawami w samorządowych galeriach różnych miast. Czasami jednak z rozmachem, jak w przypadku kolekcji Ewy i Krzysztofa Foltów. Oto bowiem na potrzeby prezentowania zgromadzonych zbiorów powstała w centrum Wrocławia specjalna, stała i starannie przygotowana przestrzeń ekspozycyjna, coś pomiędzy niedużym muzeum a galerią. Ponieważ kolekcja liczy ok. 600 dzieł, przyjęto, że co pół roku rotacyjnie pokazywana będzie inna jej część. Pierwsza odsłona jest ciekawa i intrygująca. Kuratorka ekspozycji Małgorzata Ludwisiak nie uległa bowiem pokusie inauguracji pod hasłem „the best of…", dobierając prace pod kątem różnych artystycznych wrażliwości i poetyk w opisywaniu (a właściwie plastycznym utrwalaniu) świata. Nieprzeładowana (kolejny atut) wystawa prowadzi nas więc między artystami i pracami znanymi, ale też niemal zapomnianymi, między oczywistymi a zaskakującymi narracjami. Jest kilka „hitów" o międzynarodowej sile rażenia, np. dzieła takich niespotykanych w polskich zbiorach gwiazd jak Louise Bourgeois, Tracey Emin, Alex Katz czy Günther Uecker. No i jest ciekawość: cóż takiego w przyszłości zaproponuje Folta miłośnikom sztuki?

PIOTR SARZYŃSKI

Louise Bourgeois, „Echo VII", 2007 r.

eprasa.pl 74925dea9a

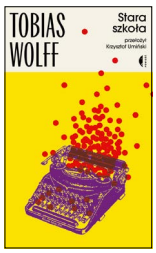

Jak być pisarzem 5/6

Tobias Wolff, **Stara szkoła**, przeł. Krzysztof Umiński, Czarne, Wołowiec 2026, s. 230

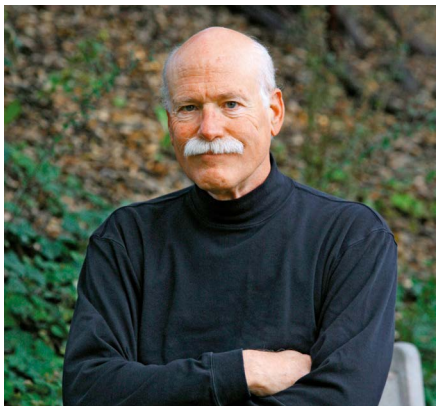

Wiele lat temu dostaliśmy jego opowiadania „Oto początek naszej historii" i „Chłopięce lata", ale Tobias Wolff wciąż nie jest u nas tak znany, jak na to zasługuje. „Stara szkoła" opowiada o pewnej amerykańskiej placówce oświatowej na początku lat. 60. XX w., w której uczy się nasz bohater. Chłopcy mają tu jedno marzenie – zostać pisarzami takimi jak Hemingway, który ma odwiedzić ich szkołę. Wcześniej goszczą poetę Roberta Frosta i pisarkę Ayn Rand. Marzą, żeby ich opowiadanie lub wiersz zostały wybrane przez znakomitego gościa. Jednak portrety tych pisarzy są dosyć ostre – ich profesja wiąże się z bufonadą, nieustannym podkreślaniem własnej wielkości kosztem innych. Czy na tym polega bycie pisarzem? – zastanawia się nasz bohater, który przepisuje opowiadania Hemingwaya, żeby poczuć jego styl. W jaki sposób, pisząc językami innych pisarzy, wyrazić to, co chce się powiedzieć? Jakie są granice pożyczania? A może tym właśnie jest literatura – rozmową i przechwytywaniem tekstów? Te wszystkie pytania zadajemy sobie razem z nim, czytając tę piękną opowieść o pułapkach literatury i nieprzylegającym do niej życiu. Bo „życia, które wytwarza literaturę, nie można opisać. Jest to życie bezwiedne, nieznane nawet piszącemu, toczące się pod rwetesem i zgiełkiem umysłu". Ta opowieść o pewnym fałszerstwie mówi o sile literatury i o tym momencie, kiedy czujemy, że ktoś opowiada naszą historię, choć jej nie napisaliśmy.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

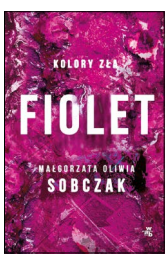

Zbrodnie w Sopocie 4/6

Małgorzata Oliwia Sobczak, **Kolory zła: Fiolet**, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2026, s. 512

Pisząc siedem lat temu „Czerwień", autorka nie spodziewała się, że na prośbę wydawcy będzie to zaczątek „kolorowej" serii, a dwie jej części zostaną zekranizowane (choć adaptacje odbiegają od pierwowzoru). Seria rozgrywająca się w Trójmieście ma już tyle tomów, ile tęcza barw: „Fiolet" jest siódmy i częściowo powtarza pomysły z poprzednich książek, z których większość opowiada o mordercach seryjnych lub o morderczej kooperacji ojciec–syn. Motywacje są różne: obsesja erotyczna, porachunki mafijne, ale też zemsta – i tak jest w tej części. Ofiarami są dawne pensjonariuszki fikcyjnego Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego w Sopocie, zupełnie nie w typie ofiar, odważne i nieustraszone, przed którymi drżał cały ośrodek. Dziś mają odpokutować za wyrządzoną wspólnie krzywdę. Podpisem mordercy są pozostawione przy ciałach kwiaty fioletowego hibiskusa, bo fiolet to kolor transformacji i śmierci. Powtarzają się rytuały z innych części: opisy sekcji zwłok, dialogi policjantów polegające głównie na kiepskich dowcipach czy ciągłe perypetie pary prokuratorów, Anny i Leopolda, wciąż schodzących się i rozchodzących (choć mają już dziecko), a jednocześnie prowadzących śledztwo w niestandardowy sposób. Ważną rolę pełni też palinolożka Janina, od paru tomów przeszczepiona do tej serii z zamkniętego już tryptyku „Granice ryzyka", badająca ślady środowiska, z którego przybył morderca. Takie zabiegi to celowe tworzenie świata, do którego czytelnicy będą chcieli wracać jak do dobrych znajomych.

DOROTA SZWARCMAN

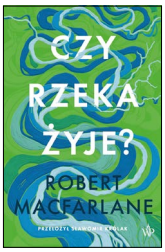

Nadzieja płynie z rzek 4/6

Robert Macfarlane, **Czy rzeka żyje?**, przeł. Sławomir Królak, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2026, s. 480

Po górach, podziemiach i bezdrożach, opisywanych w poprzednich książkach przez angielskiego klasyka literatury przyrodniczej Roberta Macfarlane'a, przyszedł wreszcie czas na rzeki. „Czy rzeka żyje?" jest najbardziej osobistą, najbardziej emocjonalną, a jednocześnie najbardziej alarmistyczną pozycją w dorobku tego autora. Macfarlane zaczął ją pisać niejako w odpowiedzi na pytanie, które zadał mu dziewięcioletni syn, kiedy poszli zobaczyć wyschnięte źródło niedaleko ich domu. Wbrew nadciągającym zewsząd przesłankom niechybnej ekologicznej katastrofy Macfarlane twierdzi, że rzeki mogą nas uratować, ponieważ ich rany goją się w zdumiewającym tempie. Abyśmy jednak mogli pielęgnować jakąkolwiek nadzieję na polepszenie naszej wspólnej egzystencji, musimy zobaczyć w rzekach istoty żywe. Z tą myślą Macfarlane rusza w podróż w różne zakątki świata, by na własnej skórze odczuć, w jakim stopniu pohańbiono rzeki, ale też by zrozumieć, że dzięki działaniom lokalnych społeczności i rdzennej ludności uznającej je za świętość ich los nie został jeszcze przesądzony. Najważniejsza jest zmiana myślenia pozwalająca zrozumieć, że rzeka odczuwa, że opowiada historie i że potrafi nas wiele nauczyć. Nie da się jednak poprawić dobrostanu rzek zza biurka, za pomocą ustaw i paragrafów (choć status prawny rzek jest sprawą niezwykle istotną) – najważniejsze jest działanie oddolne. Dlatego bohaterami tej książki, na równi z rzekami, są ich obrońcy i strażnicy. To dzięki ich uporowi ma szansę realizować się idea, która według Macfarlane'a zmieni świat: idea, że rzeka żyje.

MACIEJ ROBERT

© NORBERT VON DER GROEBEN/ZUMA PRESS/ALAMY/BE&W, T.KACZOR, MACIEJ LIPSKI/TEATR RAMPA W WARSZAWIE, MP (8)

eprasa.pl 74925dea9a

Siła kobiet

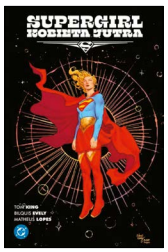

Trudno być kuzynką Supermana. Kara Zor-El, na Ziemi znana jako Supergirl, leci więc między planety w poszukiwaniu sensu istnienia. Jej los odmieni przypadkowo spotkana dziewczyna. W **„Supergirl: Kobiecie jutra” (przeł. Jacek Żuławnik, Story House Egmont, 5/6)** scenarzysta **Tom King** – jeden z najciekawszych twórców komiksu superbohaterskiego – po mistrzowsku korzysta z możliwości gatunku, by opowiadać o stracie, tęsknocie za innym życiem, odkupieniu win. Całość pięknie zilustrowała **Bilquis Evely**, która dynamicznie przeskakuje między konwencjami od fantasy do space opery. Ta kapitalna lektura była najważniejszą inspiracją filmu „Supergirl”, który właśnie wchodzi na ekrany polskich kin.

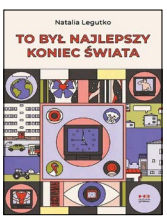

Album **Natalii Legutko „To był najlepszy koniec świata” (Kultura Gniewu, 5/6)** powstał w ramach pracy doktorskiej na krakowskiej ASP, a jego ówczesny tytuł – „Prywatna historia powszechna” – doskonale ilustruje koncepcję. Przez pryzmat doświadczeń rodzinnych autorka patrzy na burzliwą historię polskiej transformacji ustrojowej i jej wpływ na relacje społeczne. Przygląda się marzeniom, aspiracjom i porażkom, popkulturze zachłyśniętej Zachodem, radykalizacji nastrojów. Skupia się na późnych latach 90., czasie swojego dzieciństwa, lecz sięga i głębiej w przeszłość, by zrozumieć losy rodziny lub mechanizmy rządzące społecznym progresem. W minimalistycznych ilustracjach, przywodzących na myśl dzieła Nicka Drnaso, uchwyciła złożoną ikonografię przełomu wieków. A przede wszystkim dowiodła, że o niedalekiej przeszłości można także w komiksie mówić, unikając banałów i fałszywej nostalgii.



„Kocham Astrid Lindgren” Elin Lucassi (przeł. Katarzyna Syty, Los Kraba, 4/6) to natomiast historia kameralna, dramat bohaterki, której odebrano synka, co próbuje sobie zrekompensować, obsesyjnie odwiedzając zamienione w muzeum mieszkanie autorki „Dzieci z Bullerbyn”. Wierzy, że łączy ją z pisarką pokrewieństwo losów i stopniowo pogrąża się w rozpaczy. Komiks Lucassi ze względu na trudne emocje i surową oprawę graficzną nie jest łatwy w odbiorze, może też sprawiać wrażenie naskórkowego traktowania tematu depresji i wykluczenia. Jednak o traumatycznych doświadczeniach mówi z odwagą i brutalną szczerością.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Blask 5/6

Olivia Rodrigo, **You Seem Pretty Sad for a Girl So in Love**, Geffen



Przemysł rozrywkowy galopuje i stosownie do tego kariera Olivii Rodrigo wygląda jak losy Taylor Swift w przyspieszeniu. Pozostawiała trochę wątpliwości jako 18-latka na debiutanckim „Sour”, błysnęła dużym talentem i imponowała szerokością spojrzenia na płycie „Guts”, który opisywałem w POLITYCE jako powrót do rockowych lat 90. Dziś, w wieku 23 lat, wydaje się wokalistką w pełni możliwości – z pozycją gwiazdy stadionowej, pakietem hitów i spełnioną przepowiednią konkurowania ze wspomnianą Swift. Robi to z wrażliwością osoby bardzo młodej, ale piosenki konstruuje jako doświadczona songwriterka. Singlowe „The Cure” będzie jednym z przebojów roku, zespół z tytułu wydaje się wyznacznikiem gustu Rodrigo – Robert Smith pojawia się tu zresztą jako gość (w utworze „What’s Wrong with Me”), a niezbyt dalekie Smashing Pumpkins jest kolejnym punktem odniesienia dla stylu. Jedyne, co można wyrzucać młodej gwieździe, to lekka monotonia w drugiej części albumu, ale rozbudowane smyczkowe aranżacje Paula Cartwrighta stanowią cenną wartość dodaną. To już blask, a nie tylko błysk.

BARTEK CHACIŃSKI

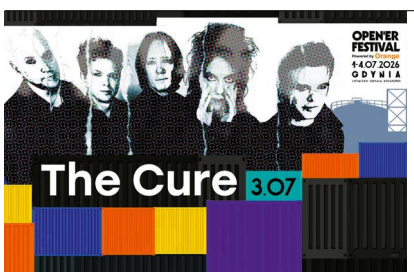

Open’er Festival, Lotnisko Gdynia –Kossakowo, 1–4 lipca

Gdyby nie dwuletnie pandemiczne zaburzenia, świętowalibyśmy 25. edycję największej biletowanej imprezy polskich wakacji. Jednak Open’er z tegorocznym programem wytrzymałby nawet ciężar jubileuszu: godzi starszą publiczność, która ma szanse obejrzeć Nicka Cave’a czy Davida Byrne’a, z tą dużo młodszą, która wybierze zapewne Jennie czy PinkPantheress. Jest szansa, że spotkają się – lub miną – na koncertach The Cure, Florence & The Machine czy Kneecap. BCH



Wielka gra. Opera Władysława IV, Zamek Królewski, Warszawa, do 19 lipca

Grupa florenckich artystów, próbując odtworzyć grecką tragedię, wynalazła nowy gatunek – operę. Już ćwierć wieku później Polska stała się pionierem w tej dziedzinie – na dworze warszawskim powstał pierwszy profesjonalny teatr operowy. A to dzięki entuzjazmowi króla Władysława IV, który zetknął się z operą, podróżując po Europie. Przypomina o tym pasjonująca wystawa, do której godny polecenia jest również katalog z tekstami specjalistów. DS



Lalka ’89. Kapitalistyczna komedia romantyczna, reż. Michał Walczak, Teatr Rampa w Warszawie

Twórcy Pożaru w burdelu, Michał Walczak i Max Łubieński, w swoim najlepszym, szalonym stylu śmieją się z dzisiejszej Polski. Wokulski zostaje wampirem Wocoolem i przeżywa zwrot ludowy, jak cała rodzima humanistyka, polują na niego polonistka z Targówka i Maria Janion, a akcja krąży między 1878, 1989 i 2026 rokiem. W tym ostatnim Grzegorz „Szczęść Boże, ratuj się kto może” Braun pragnie załapać się na falę „lalkomanii” i kręci własną wersję. AK

eprasa.pl 74925dea9a

KULTURA

Wybieramy 16 wyjątkowych książek, wśród których każdy znajdzie swoją lekturę na wakacje.

Lektury pod chmury

Wakacyjne lektury nie muszą być koniecznie lekkie, muszą być za to wyjątkowe. Jedni wolą grube, a inni cienkie książki na urlop – mamy coś dla jednych i drugich. Przede wszystkim jednak latem można nadrobić zaległości i poszukać nowości, dlatego właśnie proponujemy ten zestaw 16 książek: wciągających, poruszających i odkrywczych, a przede wszystkim starannie wybieranych przez ostatnie miesiące.



ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

eprasa.pl/74925d6a9a

WCIĄGAJĄCE: KRYMINAŁ, THRILLER, FANTASTYKA

• Maciej Siembieda, **Upiór**, Agora

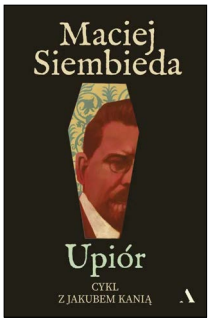

W sensacyjną akcję Maciej Siembieda potrafi umiejętnie wpleść mnóstwo wiedzy – tym razem dowiadujemy się sporo o tafefobii, czyli lęku przed pochowaniem żywcem i o historycznych przypadkach takich pochówków. Czytamy o syndromie Łazarza oraz paraliżu przysennym – i jak z tym wszystkim powiązany był laureat Nagrody Nobla i autor „Wampira" Władysław Reymont. Ale nie pisarz ani jego upiorne wcielenia są bohaterami tej powieści, lecz rodzina Kopczyńskich, która prowadzi dom pogrzebowy. Poznajemy ich pod koniec lat 80. na uniwersytecie, gdzie Marek Kopczyński, wtedy asystent na filozofii, fan muzyki i kultury gotyckiej, poznaje inną gotkę, Anię, i z czasem zaczynają prowadzić słynny interes pogrzebowy. Marek po nagłej śmierci żony czepia się myśli, że została pogrzebana za życia, i zaczyna tropić inne takie przypadki. Tymczasem pewna grupa zaczyna tropić jego. A tropem sprawy podąża znany czytelnikom Siembiedy Jakub Kania. JS

• Michael McDowell, **Saga Blackwater** (Powódź, Groble, Dom, Wojna, Fortuna, Deszcz), przeł. Izabela Matuszewska, Albatros



Amerykański pisarz Michael McDowell (1950–99) był w Polsce znany przede wszystkim jako scenarzysta „Soku z żuka" Tima Burtona, a parę wydanych u nas jego powieści przeszło raczej bez echa. Teraz wreszcie ukazało się w polskim przekładzie jego najważniejsze literackie dzieło: sześciotomowa saga „Blackwater", rozpisana na kilka dekad historia miasteczka w Alabamie, miejsca, które powoli poddaje się wpływowi nieznajomej, pojawiającej się pewnego dnia po tragicznej w skutkach powodzi. McDowell korzystał z elementów gotyckiej grozy, by w przekonujący sposób opowiedzieć o mrocznych sekretach amerykańskiego Południa. Oszczędnie dawkował horror, skupiając się przede wszystkim na konsekwentnym budowaniu atmosfery niepokoju, zagrożenia i tajemnicy. I choć saga rozkręca się powoli, warto dać jej czas: „Blackwater" to mroczna perła literatury gatunkowej. JD

• J.G. Ballard, **Wystawa okropności**, przeł. Maciej Płaza, ArtRage

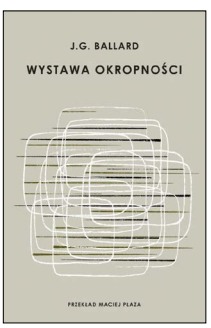

Niepublikowana wcześniej w Polsce „Wystawa okropności" to dzieło niezwykłe: na pierwszy rzut oka chaotyczny, poszatkowany zlepek idei, koncepcji, szokujących obrazów, cytatów z kultury. Jednak z tej kakofonii – która chwilami wygląda, jakby J.G. Ballard próbował opisać doświadczenie, jakim jest korzystanie z mediów społecznościowych, kilkadziesiąt lat przed ich powstaniem – z biegiem czasu wyłania się bardziej spójna całość, choć wciąż pozbawiona zwartej fabuły i głównego bohatera. To powieść eksperymentalna, nawet na tle całej twórczości Ballarda wyjątkowa, za to perfekcyjnie oddająca społeczny, kontrkulturowy i polityczny chaos lat 60. Fascynująca książka do wielokrotnego odkrywania, odszyfrowywania ukrytych kodów (przydaje się wiedza nie tylko o ówczesnych Stanach, lecz również na temat biografii Ballarda), brawurowo i perfekcyjnie spolszczona przez Macieja Płazę. JD

• John Williams, **Butcher's Crossing**, przeł. Maciej Stroiński, Filtry

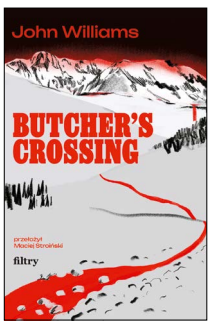

Pierwsza (choć niedebiutancka) wielka powieść Johna Williamsa, wydana kilka lat przed „Stonerem". Gorzkie rozliczenie z legendą Dzikiego Zachodu utrwaloną przez masową kulturę i popularne filmy z lat 50. Fabularnie nieskomplikowana – pod wpływem nauk Ralpha Emersona młody student, znudzony dotychczasowym życiem, wyrusza w towarzystwie doświadczonych myśliwych na wielomiesięczne łowy na bizony – za to odzierająca westernową fantazję z wszelkiego romantyzmu. Jeszcze nie tak okrutna (wyjąwszy sceny polowań) jak późniejsze książki Cormaca McCarthy'ego, lecz nie mniej bezlitosna. Rzecz o rozczarowaniu światem, o bezskutecznej próbie poznania samego siebie, o obsesjach, które prowadzą do nieuchronnej klęski. „Butcher's Crossing" to fascynujący obraz Zachodu, choć zdecydowanie bliżej Hermana Melville'a niż zmurszałych widowisk z Johnem Wayne'em. JD

• Stephen King, Maurice Sendak, **Jaś i Małgosia**, przeł. Rafał Lisowski, Dwie Siostry

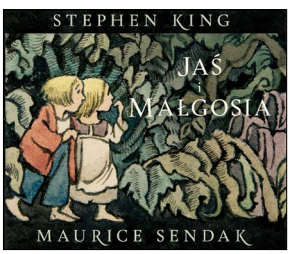

Gratka dla miłośników Stephena Kinga: autorska wersja historii Jasia i Małgosi, w równej mierze inspirowana tekstem braci Grimm, co ilustracjami, które wiele lat temu Maurice Sendak stworzył na potrzeby operowej inscenizacji baśni. I nawet jeśli to kolejna próba monetyzowania popularności obu twórców, nie umniejsza to w niczym wartości książeczki. King potrafi nawet z tak znanej opowieści wyciągnąć dodatkowe warstwy mroku i niepokoju, na dodatek umiejętnie korzysta z graficznych tropów zawartych w pracach Sendaka (ilustrator zmarł w 2012 r., lecz zapewne mógłby być z takiej współpracy zadowolony). Szkoda tylko, że to lektura na jedno posiedzenie: autor „Lśnienia" dałby radę rozbudować posępną baśń przynajmniej do rozmiarów minipowieści. Tyle że wtedy to już pewnie nie byłaby książka dla dzieci. JD

• Jacek Dukaj, **Oko potwora**, Wydawnictwo Literackie

Minipowieść, która kiedyś ukazała się w zbiorze „Król bólu", a teraz doczekała się wznowienia w formie oddzielnego tomu, zapewne na fali zainteresowania wywołanego jej ▶

© MATERIAŁY PRASOWE (5)

eprasa.pl 74925dea9a

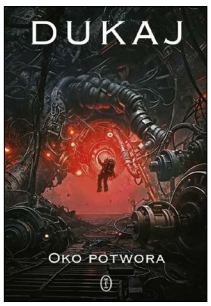

▶ planowaną adaptacją w formie gry wideo. Ale każda okazja jest dobra, by przypomnieć sobie teksty Jacka Dukaja, który od dawna nie dał czytelnikom nowej autorskiej prozy. „Oko potwora" to historia spotkania załogi kosmicznego frachtowca z Astromancerem: legendarnym obiektem błąkającym się między gwiazdami, źródłem wynalazków i dzieł sztuki, które wymykają się ludzkiemu rozumowi. Próba zrozumienia zasad nim rządzących okazuje się prostą drogą do szaleństwa. Nowela, napisana jak zwykle z wyjątkową językową precyzją, przenikliwą ironią i erudycją, jest nie tylko świadectwem pisarskich umiejętności Dukaja, lecz także literackim hołdem złożonym dziełom Stanisława Lema. JD

PORUSZAJĄCE: OBYCZAJOWE, MIŁOSNE, EMOCJONALNE

- Kiran Desai, **Samotność Sonii i Sunny'ego**, przeł. Jerzy Kozłowski, Wydawnictwo Literackie

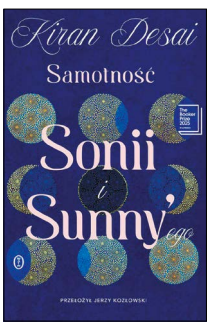

Sonia i Sunny, tytułowi bohaterowie, wyjechali z Indii do Ameryki po lepsze życie. Ale nie da się odciąć od hinduskich krewnych i tradycji, a tygiel kultur i narodowości, za jaki chce uchodzić Ameryka, okazuje się pułapką. Stany Zjednoczone są wsobne, a Sonia i Sunny osamotnieni w obcym kraju i w swoich związkach, chwilami niepokojąco toksycznych. Bliscy spieszą im na ratunek, ale stara sprawdzona metoda swatania dla młodego pokolenia nie jest już żadną alternatywą. W tej miłosnej historii istotny jest też wątek pisarski. Sonii marzą się wielkie powieści, ale jak nie popaść w egzotykę? Sunny chce być reporterem, ale jak się wybić i skąd brać dobre historie? Oboje czują się outsiderami i trochę udają, że jest inaczej. Te napięcia Kiran Desai wyłapuje znakomicie. Dla takich powieści powstało określenie „epickie". AŻ

- Elizabeth Gilbert, **Aż do rzeki. Opowieść o miłości, stracie i wyzwoleniu**, przeł. Anna Smulewska, Rebis



Autorka megabestsellera „Jedz, módl się i kochaj" (ekranizacja z Julią Roberts) tym razem przygotowała czytelnikom mieszankę wyjątkowo mocnych wrażeń, bo to osobista historia walki z wewnętrznymi demonami: uzależnieniem, autodestrukcją i pragnieniem śmierci. Choć przede wszystkim pozostaje historią miłości Liz i Rayi, którą Gilbert poznała w 2000 r. Ich relację przecina wiadomość o chorobie nowotworowej Rayi, która osuwa się w coraz silniejsze uzależnienia, pociągając za sobą Liz. Cała ta historia odchodzenia i żegnania się z bliską osobą jest jednocześnie bezlitosną wiwisekcją samej siebie, rozbiciem obrazu, które budowały poprzednie książki. Opowiada też o towarzyszeniu „do rzeki", bo dalej nie można pójść. Choć obecność bliskiej osoby wcale się nie kończy. Dla tych, którzy cenią brutalną szczerość nawet na wakacjach. JS

- Maciej Płaza, **Kasperl i Margit**, Wydawnictwo Literackie



Historia miłosna aktorki i ulicznego grajka, Orfeusza i Eurydyki, obejmująca trzy dekady początku XX w. i rozgrywająca się między Poznaniem a Berlinem. To też opowieść o miłości do teatru, o jego sile wyzwalającej i niszczącej. A to wszystko w rytmie songów Brechta i melodii gwary poznańskiej. W miarę lektury ta gwara staje się całkiem zrozumiała, za to zostają z nami poszczególne słowa. Margit marzy, żeby stać się taką aktorką jak Helena Modrzejewska, ale życie szykuje jej wiele niespodzianek. Płaza kapitalnie odmalowuje tło historyczne – czas pierwszej wojny światowej, powstanie wielkopolskie, Republikę Weimarską – i wplata w opowieść prawdziwe postaci: Manna, Brechta czy Murnaua. Powstał z tego *bildungsroman*. Margit poprzez wtajemniczenia może poznać samą siebie. A Kasperl wnosi w całą historię rys komiczny. JS

- Mircea Cărtărescu, **Solenoid**, przeł. Joanna Kornaś-Warwas, ArtRage

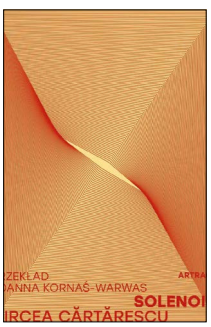

Czytanie tej gigantycznej powieści przypomina trochę lektury w dzieciństwie – wejście w sugestywną rzeczywistość, która nas przyciąga i odpycha, wchodzi do snów. Do takiej powieści się tęskni – zagarniającej, rozrastającej się jak kłącze, prowadzącej na manowce wyobraźni. Opus magnum rumuńskiego pisarza Mircei Cărtărescu, wymienianego wśród kandydatów do Nobla, prowadzi nas przez Bukareszt czasów komunistycznych. Miasto fantasmagoryczne, w którym otwierają się niespodziewane przejścia do innej rzeczywistości. Przewodnikiem po tym świecie jest nauczyciel ze szkoły podstawowej, który chciał zostać wielkim pisarzem, ale na samym początku poniósł klęskę. Dlatego pisze dziennik pełen snów, halucynacji i wspomnień. Realizm przechodzi w fantastykę, groteska i czarny humor mieszają się z poezją, a stawka jest bardzo wysoka, bo chodzi o to, czym jest literatura i czym jest rzeczywistość. JS

ODKRYWCZE: PODRÓŻE, REPORTAŻE, BIOGRAFIE

- Karen Hao, **Imperium sztucznej inteligencji. Sny i koszmary w OpenAI Sama Altmana**, przeł. Piotr Grzegorzewski, Wydawnictwo Szczeliny

Książkę Karen Hao, autorki m.in. magazynu „The Atlantic", czyta się jak powieść sensacyjną. Wraca w niej często kluczowe pytanie: jak zarządzać AI? Na razie umyka regulacjom i pochłania niewyobrażalne ilości energii. „Trudno sobie wyobrazić, jak wygląda takie centrum danych, jeśli nigdy się go nie widziało", pisze

© MATERIAŁY PRASOWE (11)

eprasa.pl 74925dea9a

Hao. Kiedyś centra danych do trenowania AI były wielkie jak boiska piłkarskie. Dziś są większe. Firma OpenAI Sama Altmana, u zarania poczciwa organizacja non profit, to tylko symbol: tu powstał dominujący paradygmat obcowania ze sztuczną inteligencją. Misja służenia dobru ludzkości szybko przegrała z ludzkim ego. To opowieść i o technologiach, i o ich twórcach, mądrze psychologizująca, świetnie udokumentowana, straszna i fascynująca. AŻ

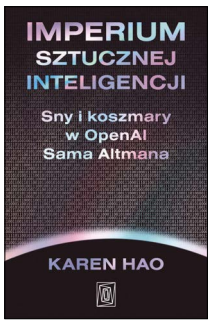

- Tomasz Piotr Kozłowski, **Greckimi drogami. Szafran, mastyks i figa**, Powergraph

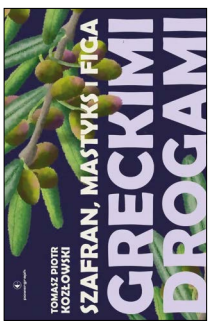

Ta książka pachnie kwiatem dzikich pomarańczy, szafranem, żywicznymi lasami, smakuje za każdym razem inaczej – jak chorta, dzikie zioła, które w każdym miejscu Grecji są czymś innym. Autor zabiera nas do mastyksowych gajów – skąd pochodzi jeden ze skarbów tego miejsca: mastyks, czyli żywica – opowiada fascynująco historię oliwek i ich znaczenia w kulturze. Pokazuje też, gdzie znajdziemy najstarsze drzewo oliwne liczące 3 tys. lat. Chodzimy po greckim targu i wybieramy słodycze, odwiedzamy winnice, uczestniczymy w zbiorach i tłoczeniu oliwy. Poznajemy też symboliczne znaczenie rozbijania owocu granatu. Książka łączy wiedzę i dogłębne studia z lekkością pióra. JS

- Peter Pomerantsev, **Propagandysta, który przechytrzył Hitlera. Jak wygrać wojnę informacyjną**, przeł. Aleksandra Paszkowska, Krytyka Polityczna

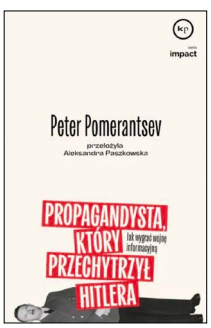

Książka uhonorowana w tym roku Nagrodą im. Ryszarda Kapuścińskiego – i nic dziwnego, bo czyta się ją jak thriller, a jednocześnie to erudycyjna biografia. Peter Pomerantsev, specjalista od technik propagandy, przygląda się postaci Seftona Delmera, australijskiego filologa klasycznego, który jako korespondent „Daily Express" towarzyszył Hitlerowi w 1932 r., by zyskać dostęp do najwyższych kręgów NSDAP. Tę wiedzę wykorzystał w czasie wojny, kiedy prowadził kampanie propagandowe wymierzone w Trzecią Rzeszę i używał metod propagandy nazistowskiej, żeby z nią walczyć. Był królem dezinformacji, potrafił przechytrzyć wszystkich i tym samym zapowiedział nasze czasy, w których narzędziem wojny informacyjnej jest dezinformacja. JS

- Angelika Kuźniak, **Maria Skłodowska-Curie. Rebeliantka**, Wydawnictwo Literackie

Maria Skłodowska-Curie nie była wcale pierwszą kobietą, która wygłosiła wykład na Sorbonie, a jednak to jej występ tutaj określano nazajutrz zwycięstwem feminizmu. Nie walczyła zawzięcie o prawa kobiet, ale proszona o podpis pod petycją na rzecz sufrażystek, oznajmiła: „jeżeli coś jest słuszne, trzeba to robić, choćby z tysiąca powodów należałoby się od tego powstrzymać". Sama zresztą wymykała się stereotypom. Nauka ją ekscytowała. Wolała skromnego Forda od darowanego Lincolna, „bukiet kwiatów był jej milszy niż bogactwa i zaszczyty". Z wiekiem coraz gorzej widziała (rad przepalił jej soczewki), ale nie była to żadna wymówka od pracy. Angelika Kuźniak (biografka m.in. Zofii Stryjeńskiej i Papuszy) zaczyna tę książkę od ekshumacji i rozpaczy, ale dużo w niej życia, światła i czułości. AŻ

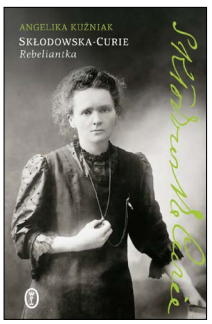

- Klaudia Pieszczoch, **Wysokie niebo nad Madrytem**, Wydawnictwo Czarne

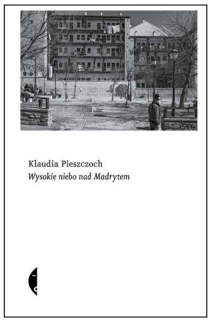

Madryt jest niepozorny, być może niczym się nie wyróżnia i żaden zabytek nie przychodzi na myśl, kiedy szuka się w głowie jakiegoś przykładu. „Wielu obcokrajowcom z hasłem »Hiszpania« kojarzy się przecież, o ironio, przede wszystkim Barcelona" – pisze iberystka Klaudia Pieszczoch. Hiszpańska stolica zyskała na popularności w pandemii, zaludniła się turystami i stara się im dogodzić („Na jednej z działek rekreacyjno-sportowych ma powstać muzeum autobusów. Nie żeby kiedykolwiek produkowano tutaj jakieś autobusy"). Mieszkańcy bronią jednak swojej miejskiej niemrawości jak niepodległości. Ten literacki spacer ukazuje miasto pełne paradoksów, kontrastów, zawieszone między przeszłością i przyszłością, czasem krzykliwe, innym razem smętne i melancholijne. „Chropowata czułość" Madrytu jest mniej oczywista, więc – jeszcze jeden paradoks – pociągająca. AŻ

- Agnieszka Dobkiewicz, Mateusz Mykytyszyn, **Zamek Książ. Historia opowiedziana głosami służących**, Agora



Książ jest krainą duchów, trzeba tylko nadstawić ucha. Perspektywa służących (kamerdynerów, szoferów, pokojówek, ogrodników) w tutejszym zamku jest ciekawa i nieopowiedziana – nie mieli głosu wtedy, rzadko mają dziś. To nie tak, że byli pogardzani czy źle traktowani, raczej schowani – również w archiwach, które należało zgłębić, żeby wysnuć tę opowieść. Dlatego książka jest chwilami fabularyzowana, czytelnik ma się przenieść w czasie, wpaść w ścisły harmonogram ich zajęć, począwszy od stajennego Aleca, który zrywał się najwcześniej, kończąc na nianiach, które były ciągle dostępne dla „małych hrabiów". To siłą rzeczy również opowieść o zapomnianych zawodach (jak kloszard) i o Hochbergach, którzy tu wiek temu mieszkali. Serialowe „Downton Abbey" w śląskim wydaniu. AŻ

WYBIERALI: JAKUB DEMIAŃCZUK, JUSTYNA SOBOLEWSKA, ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

eprasa.pl 74925dea9a



Doroczne święto w Pitsford Hall, Northamptonshire, 1978 r.



Spowiedź w plenerze, Laxton Hall, Northamptonshire, 1978 r.

Fotografowałem, co mogłem, bo wiedziałem, że to już nie wróci – mówi Czesław Siegieda, który dokumentował polską społeczność odbudowującą swoje życie po drugiej wojnie światowej w Wielkiej Brytanii. Jego zdjęcia będzie można po raz pierwszy zobaczyć w Polsce.

Obrazki z szuflady

MAGDALENA GORLAS: **– Co to jest „Polska Britannica”?**

CZESŁAW SIEGIEDA: – To książka z wybranymi fotografiami, które zrobiłem jako młody człowiek, mieszkając w małej polskiej społeczności, w niewielkim mieście Loughborough, w samym środku Anglii. Chociaż zdjęć jest znacznie więcej, bo życie polskich społeczności w Wielkiej Brytanii dokumentowałem przez prawie 20 lat. Życie wokół parafii, szkoły, zwyczaje, rozrywkę, czyli codzienność powojennej emigracji.

Jak się to panu udało?

Byłem częścią jednej z tych społeczności, dlatego było mi łatwiej. Urodziłem się w Wielkiej Brytanii, w obozie dla przesiedleńców w Burton-on-the-Wolds, w hrabstwie Leicestershire, gdzie – jak większość polskich uchodźców – moja rodzina mieszkała na początku w „beczkach śmiechu”.

W czym?

„Beczka śmiechu” była półokrągłą konstrukcją z blachy falistej opartą na betonowym fundamencie. W 1916 r. zaprojektował ją kanadyjski inżynier Peter Norman Nissen. Budynki były wykorzystywane przez wojsko jako koszary, magazyny i szpitale polowe. A później

eprasa.pl 74925dea9a





Fotograf prasowy, Polski Dom Harcerski św. Briavelsa, Gloucestershire, 1979 r.

jako przejściowe miejsce zamieszkania polskich uchodźców. Urodziłem się w baraku, który wcześniej był bazą RAF dla personelu wojskowego.

Jak pana rodzina trafiła do tego obozu dla przesiedleńców?

Moja matka Helena urodziła się w 1923 r. we wsi Zaleszany we wschodniej Polsce (obecnie zachodnia Ukraina). W 1940 r. całą jej rodzinę załadowano do wagonów i wywieziono do obozu pracy w pobliżu Archangielska na Syberii. Rok później na terytorium Związku Radzieckiego utworzono polską armię pod dowództwem gen. Władysława Andersa i jednocześnie uwolniono setki tysięcy polskich cywilów oraz wojskowych przetrzymywanych na terenie byłego ZSRR. Z Archangielska moja mama, jej siostra i ojciec przebyli długą drogę najpierw do Iranu, potem do Kenii, a następnie do obozu Nyabyeya w Ugandzie. Stamtąd w 1948 r. razem z innymi mieszkańcami tego obozu odpłynęli z Mombasy do Anglii. Myśleli, że wrócą do Polski, jednak podczas konferencji jałtańskiej w lutym 1945 r. Polska znalazła się pod kontrolą komunistów, a Kresy, z których pochodziła mama, zostały na stałe wcielone do Związku Radzieckiego.

Czesław Jan Siegieda (ur. 1954 r.) – fotograf wychowany w polskiej społeczności w Anglii. Fotografie z jego książki „Polska Britannica" zostaną pokazane na wystawie w Instytucie Fotografii Fort w Warszawie, która rozpocznie się 24 czerwca i będzie pierwszą indywidualną wystawą prac Czesława Siegiedy w Polsce. Zorganizowana została przy wsparciu British Council Polska.

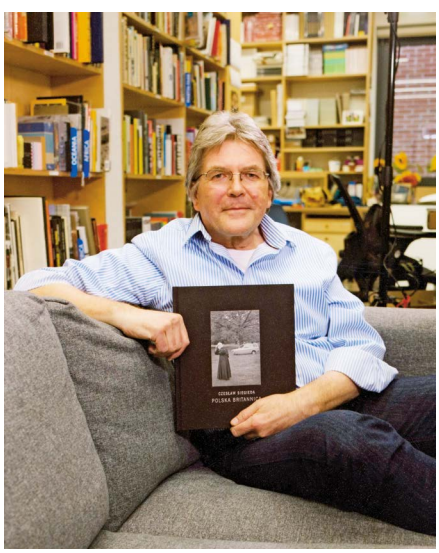

Czyli nie mieli dokąd wrócić?

Tak, a ryzyko aresztowania lub prześladowań w komunistycznej Polsce było też zbyt duże. W podobnej sytuacji w Anglii znalazły się tysiące Polaków, którzy walczyli po stronie aliantów i z powodów politycznych nie mieli dokąd wrócić. W 1947 r. Brytyjczycy wydali Polish Resettlement Act, który przyznał tym wszystkim ludziom prawo do stałego osiedlenia się w Wielkiej Brytanii. I tak znaleźli się w obozach przesiedleńczych rozsianych po całym kraju.

Pana ojciec też tam był?

Tak. Walczył m.in. pod Monte Cassino w 4. Batalionie Strzelców Karpackich. Rodzice poznali się w Anglii. Ktoś ich sobie przedstawił. Mój ojciec powiedział do kolegów: „Jeśli mi się nie spodoba, wrócę ▶

© CZESŁAW SIEGIEDA (3), MARTIN PARR

eprasa.pl 74925dea9a

▶ od razu". I nie było go trzy dni. Połączyła ich miłość do gotowania.

Czyli przez żołądek do serca?

Właśnie z domu mam bardzo ciepłe wspomnienia polskiego jedzenia. Podobnie gotowano w domach całej polskiej społeczności w mieście Loughborough. Przeprowadziliśmy się tam, kiedy miałem cztery lata. Byliśmy w piątkę. Rodzice, ja i moje rodzeństwo – siostra Danuta i brat Zygmunt. Ojciec pracował w przemyśle stalowym. Mama zajmowała się domem i dziećmi. I gotowali po polsku. Był bigos, ogórki kiszone, pierogi, kotlety, kompot. Do Loughborough w każdą sobotę przyjeżdżał pan Burbela i sprzedawał ze swojego vana polskie jedzenie. Mieliśmy też jeden polski sklep, gdzie można było kupić kiełbasę czy słodycze.

Kiedy zaczął pan to codzienne życie fotografować?

Jakoś pół roku po śmierci mojego taty, który zginął w wypadku drogowym. Zmarł trzy tygodnie przed moimi 10. urodzinami. Mam z tego czasu jedno zdjęcie znalezione w rodzinnym albumie z pogrzebu taty. Klęczymy przy trumnie obok grobu. Wszyscy płaczą i pogrążeni są w żałobie. Jedyną osobą, która nie rozpacza, jestem ja. To był moment, kiedy zacząłem obserwować, co się dzieje wokół mnie, chociaż wtedy nie rozumiałem jeszcze, co robię. Kilka miesięcy później za pieniądze z rozwożenia gazet kupiłem pierwszy aparat.

Zdjęcia z książki „Polska Britannica" zrobił pan jednak znacznie później.

Tak, pochodzą z lat 70. i 80. minionego wieku. Kiedy poszedłem studiować fotografię w Trent Polytechnic, w Nottingham poznałem nowe idee i fotografów oraz inny sposób patrzenia na świat. Czułem się zdezorientowany. Zrobiłem sobie rok przerwy od studiów. To wtedy pojawiła się myśl o dokumentowaniu mojej społeczności. Rozpocząłem ten projekt z przeczuciem, że świat, w którym dorastałem, świat odrębnych zwyczajów wywodzących się z przedwojennej Polski, nie przetrwa odejścia pokolenia moich rodziców. Ta społeczność się starzała i wymierała, a wraz z nią znikały tradycje. Dlatego fotografowałem wszystko, co mogłem i kiedy mogłem, bo wiedziałem, że to już nie wróci.

Miałem ogromne szczęście – ludzie z mojej społeczności widzieli we mnie młodego człowieka z pasją do fotografii, dlatego po prostu mnie ignorowali. Często byłem wręcz niewidzialny, mimo prawie 2 m wzrostu. Mogłem chodzić na pogrzeby, śluby, wszystkie obrzędy, święta, kolędy, spotkania towarzyskie w polskim klubie i spokojnie robić zdjęcia. Wypracowałem sposób pracy polegający na byciu bardzo cichym i niezwracaniu na siebie uwagi. Nie trzymałem aparatu cały czas przed twarzą, tylko przy dłoni, spokojnie obserwując.



Helena, matka Czesława Siegiedy, z drugim mężem Tadeuszem Zamirskim i przyrodnim bratem fotografa Joem (Józefem), Loughborough, 1976 r.

Na wielu zdjęciach jest też pana rodzina.

To prawda, bo byli dla mnie najbardziej naturalnym środowiskiem, a jednocześnie kwintesencją tej polskości właśnie. Głównymi bohaterami była moja mama Helena, siostra Danuta, brat Zygmunt i Joe (Józef), mój najmłodszy brat z jej drugiego małżeństwa z Tadeuszem Zamirskim. Mój ojczym też jest na wielu zdjęciach. I ksiądz Juliusz Kaczorowski. Mama wynajmowała mu pokój przez parę lat, a ponieważ należała do osób religijnych, to jego obecność była dla niej jak jeden krok bliżej nieba. Ks. Kaczorowski był wcześniej kapelanem w armii gen. Andersa. Kiedy u nas mieszkał, mój ojczym woził go na różne wydarzenia, np. pogrzeby, więc jeździłem razem z nimi.

Stąd tak dużo na pana zdjęciach symboli religijnych?

Tak, bo wiara i Kościół, podtrzymywanie tradycji, życie w tej społeczności były czymś, co przybliżało tych ludzi do ojczyzny i języka polskiego. To było dla nich bardzo ważne. A religia dawała im siłę po tym, co przeżyli. Wierzyli, że Bóg im pomoże.

A ksiądz był przepustką do domów polskiej społeczności?

W pewnym sensie tak. Zacząłem mu towarzyszyć. Polacy przywieźli ze sobą zwyczaje i rytuały, których kurczowo się trzymali: katolickie obrzędy mszy, spowiedź, bierzmowanie, Wielkanoc, Boże Narodzenie, chrzest i pogrzeb. Dalej sobotnie szkoły, do których wysyłano dzieci, by poznawały polską kulturę od nauczycieli pragnących, aby kolejne pokolenie nie zapomniało swojego dziedzictwa. Harcerstwo mające silną tradycję w Polsce. Poza tym ludzie w swoich domach mieli dużo przedmiotów od krewnych z Polski. Jak weszło się do środka, to trochę tę Anglię zostawiało się na zewnątrz. Rok temu po raz pierwszy w życiu zobaczyłem zdjęcia Zofii Rydet w The Photographers' Gallery w Londynie. Byłem zaskoczony, jak bardzo wnętrza brytyjskich domów Polaków, które ja widziałem, wyglądały jak te na jej zdjęciach z domów ludzi w Polsce.

Jak to możliwe?

W naszej polskiej społeczności trwała ciągła wymiana paczek z ich rodzinami. Przed 1989 r. często wysyłano paczki do krewnych w Anglii, w których były trudno dostępne przedmioty, np. polski bursztyn, produkty spożywcze, kryształy, rękodzieło ludowe i odzież. Z kolei ludzie z naszej społeczności wysyłali rodzinom

eprasa.pl 74925dea9a



Ksiądz Juliusz Kaczorowski z ministrantem w drodze na pogrzeb, Loughborough, 1975 r.

dolary amerykańskie lub funty brytyjskie, albo tzw. towary zachodnie, jak kawa, herbata, mydło, dezodoranty, leki przeciwbólowe czy odzież użytkową. Pamiętam, że moja matka wysyłała np. zimowe płaszcze. Wysyłano też bony towarowe PKO umożliwiające zakupy w ekskluzywnych sklepach jak Pewex. Te paczki trzymały rodziny blisko siebie.

A kiedy pan po raz pierwszy pojechał do Polski?

W 1976 r. z Helen, moją ówczesną koleżanką, a potem żoną. Przed wyjazdem moja matka była przekonana, że powinienem zabrać do Polski whisky, papierosy, dżinsy, żeby sprzedać je na czarnym rynku, to będę miał na wakacje. A na miejscu okazało się, że nikt tego nie chciał kupić, dopiero bliscy pomogli mi sprzedać te rzeczy przez swoje kontakty.

Co poza tym pamięta pan z tej pierwszej wizyty?

Straciłem poczucie czasu. To chyba najlepsze określenie. Moja matka miała romantyczną wersję tego kraju z 1938 r. sprzed wojny. Zawsze opowiadała nam o życiu na wsi w czasach przed wojną, z dużą ilością jedzenia, o własnym gospodarstwie. A ja zobaczyłem w sklepach puste półki, bo brakowało podstawowych produktów, a ludzie stali w kolejkach. Nie czułem się w Polsce dobrze. Zamiast czterech tygodni zostaliśmy dwa. W 1976 r. wszystko było tam dla mnie szare i depresyjne. Wydawało mi się, że ta polskość w naszym małym angielskim miasteczku jest o wiele lepsza, bardziej kolorowa, a jedzenie można kupić bez problemu. Więc wróciłem tam z ulgą.

Pana rodzice też wtedy pojechali do Polski?

Moja mama i ojczym pojechali do Polski po raz pierwszy dopiero w 1986 r. Po ponad 40 latach. Przed wyjazdem zostali obywatelami brytyjskimi, mieli paszporty, bo przedtem bali się, że mogą nie zostać wpuszczeni z powrotem do Anglii. Kiedy wrócili, coś się w nich zmieniło. Byli szczęśliwsi, ponieważ po raz pierwszy zaakceptowali to, co mieli w Anglii.

Dwa lata po pana wizycie w Polsce w 1978 r. w Londynie odbyła się pierwsza wystawa pana zdjęć. I ostatnia.

Tak. Z Londynu wystawa została przeniesiona do biblioteki w Loughborough. Ludzie byli ze mnie dumni, ale jednocześnie nie cieszyli się wystawą. Przez cały wernisaż ukrywali się przed osobami z angielskich środowisk. Byli przerażeni, że jeśli ktoś zwróci na nich uwagę, mogą zostać deportowani. I chociaż nie było takiego niebezpieczeństwa, to pokazanie wystawy w rodzinnym miasteczku było błędem. Starsi ludzie z mojej społeczności robili wszystko, aby nie być zauważonymi. Cały czas żyli w strachu, że mogą znowu przechodzić to, co ich spotkało podczas wojny. Pamiętam, jak sprzątaliśmy w domu sąsiadów, u państwa Łopucz. Nie mieli dzieci, zmarli sześć miesięcy jedno po drugim. W spiżarni znaleźliśmy paczkę z brązowym ryżem i cukrem, przygotowaną na wypadek, gdyby znowu mieli zostać wywiezieni. Naszym sąsiadem z drugiej strony ulicy był pan Franciszek Malik. Dobrze go znałem, a dopiero po jego śmierci w 2006 r. dowiedziałem się, że był wysoko odznaczonym oficerem, należącym do elitarnej grupy cichociemnych. Po tym wernisażu zdjęcia trafiły do szuflady.

Na długo?

Na 40 lat. Przez ten czas archiwum pozostawało prywatne. Początkowo z szacunku dla wrażliwości pokolenia moich rodziców. A potem dyskrecja ustąpiła bardziej prozaicznym wymaganiom życia i pracy.

Czym się pan zajmował?

Pracowałem jako niezależny fotograf komercyjny dla agencji reklamowych. Kiedy założyłem rodzinę, nadszedł czas, aby znaleźć stałą pracę i ją utrzymać. Znalazłem pracę w biurze podróży – mówię po francusku i włosku. Później przeniosłem się do marketingu w branży hotelarskiej.

Kiedy wyjął pan zdjęcia z szuflady?

W 2018 r., dwa lata po śmierci matki, uznałem, że nadszedł czas, aby pokazać je światu. Proces digitalizacji archiwum szedł w parze z tworzeniem strony internetowej i publikacją zdjęć w mediach społecznościowych. Reakcja była nieoczekiwana. Zaczęli się odzywać ludzie z całego świata, z mojego pokolenia, którzy też wychowali się w takich polskich społecznościach. Również często skupionych wokół Kościoła. To było i nadal jest niesamowicie wzruszające. A potem poznałem Martina Parra, brytyjskiego fotografa, jednego z najbardziej rozpoznawalnych dokumentalistów, związanego ze słynną agencją Magnum. I dostałem zaproszenie do jego fundacji. Bardzo wspierał moją fotografię dokumentalną. Dzięki niemu poznałem wydawcę mojej książki, do której Martin napisał wstęp. A z kolei Mark Power napisał o „Polskiej Britannice" w swoim wyborze dziesięciu najlepszych fotoksiążek 2020 r., że to jeden z tych rzadkich klejnotów, które od czasu do czasu wypływają na powierzchnię z przeszłości. To właśnie te zdjęcia będą na wystawie w Warszawie. To mój drugi pobyt w Polsce. Już wiem, że teraz jest kolorowo, nie ma kolejek i wszystko można kupić.

ROZMAWIAŁA MAGDALENA GORLAS

© CZESŁAW SIEGIEDA (2)

eprasa.pl 74925dea9a



Sandra Hüller (ur. 1978 r.) – niemiecka aktorka teatralna i filmowa. Studiowała w Akademii Sztuk Dramatycznych Ernsta Buscha w Berlinie. Nominowana do Oscara za rolę w „Anatomii upadku", dwukrotnie wyróżniona na festiwalu Berlinale za kreacje w „Requiem" oraz „Rose", znana także z filmu „Toni Erdmann". Jest częścią kolektywu FARN. Mieszka w Lipsku.

Lęk czuję do dziś

Nie wierzę w aktorstwo, które nic nie kosztuje, niewymagające dotykania własnych rejestrów bólu i samotności – mówi aktorka **Sandra Hüller**, gwiazda m.in. „Ojczyzny" Pawła Pawlikowskiego.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Zagrała pani w tym sezonie w kilku europejskich i amerykańskich produkcjach główne role, każda wybitna. Czy przebierając w propozycjach, myśli pani o tym, że znów otrzyma nominację do Oscara?**

SANDRA HÜLLER: – Nie, to ostatnia rzecz, jaką biorę pod uwagę. Wybieram intuicyjnie, nigdy pod kątem nagród czy festiwali. Lubię inteligentne scenariusze. Szybko się nudzę, jeśli rozpoznam coś, co już czytałam lub widziałam w podobnej formie. Staram się też kierować poczuciem odpowiedzialności politycznej. Interesuje mnie perspektywa, która nie dzieli wyraźnie świata na dobro i zło. Rozglądam się za postaciami niepowielającymi typowo kobiecych, utartych schematów emocjonalnych, takimi jak Eva Stratt w filmie „Projekt Hail Mary".

Oglądając „Ojczyznę", zastanawiałem się, jak to możliwe, że po niesamowicie wyciszonej kreacji w filmie „Rose", gdzie wcieliła się pani w kobietę udającą mężczyznę i walczącą o przetrwanie w XVII-wiecznej, patriarchalnej wiosce, z lekkością uwiarygadnia pani postać Eryki Mann, będącej jej przeciwieństwem.

To było trudne, ale i ożywcze doświadczenie, wymagało ode mnie zupełnej zmiany tonacji – od milczenia i absolutnej kontroli w „Rose" po chłodną, lecz wyraźnie artykułowaną emocjonalność w „Ojczyźnie". Dla aktorki to wymarzone zadanie.

Obie role bazują na płynnej tożsamości seksualnej bohaterek. Można je potraktować jako ostrzeżenie przed powrotem ograniczeń wolności dla osób, które nie pasują do społecznych schematów.

Widzi pan, polityczny wymiar „Rose" wiąże się z walką o prawo każdego człowieka do posiadania swojego miejsca na świecie, bezpieczeństwa i życia w pokoju. Moja bohaterka zakłada męski kostium, bo w tamtym czasie samotna kobieta bez grosza była nikim – groził jej dom publiczny albo śmierć głodowa. Męskie ubranie, ciężki krok, obniżony głos to był pancerz ochronny, sposób na funkcjonowanie i minimalną podmiotowość. Dla mnie każda sekwencja była stąpaniem po polu minowym. Na nowo poznawałam swoje ciało, uczyłam się brutalności i maskowania strachu. Z kolei u Pawła Pawlikowskiego Eryka Mann używa swojej androgyniczności (była biseksualną kobietą) jako narzędzia przeciwko oportunizmowi elit, by – ujmijmy to tak – rozsadzić powojenną niemiecką apatię.

Eryka, jak się domyślam, jest bliższa pani sercu?

W Niemczech uznaje się ją za ikonę oporu. Wiele aktorek, które ją grały, odczuwa dumę z tego powodu. Nie ma jednego obowiązującego wizerunku Eryki. Dla mnie zawsze była związana z klanem Mannów, film Pawlikowskiego zmusił mnie do spojrzenia na nią jak na oddzielną istotę, z całym jej duchowo-psychologicznym bagażem oraz silnym uzależnieniem od ojca. Jestem wdzięczna Pawłowi, że uznał mnie za właściwą osobę, by ją zagrać.

Co oprócz różnicy pokoleń sprawia, że ojciec i córka inaczej patrzą na relacje, gdzie indziej upatrują przyczyn osłabienia więzi w ich rodzinie?

Powód tego kryzysu jest chyba oczywisty, choć uwikłany w wielką historię. W maju 1949 r. brat Eryki, Klaus, popełnia samobójstwo. To fundament złożonej architektury filmu. Chodzi nie tylko o żałobę

© GARETH CATTERMOLE/BAFTA/GETTY IAMGES

eprasa.pl 74925dea9a

po stracie najbliższego człowieka, którego moja bohaterka uważała za swojego bliźniaka. Paweł, zamiast zrealizować tradycyjny epicki film biograficzny o wielkim pisarzu, stworzył wyciszony kameralny dramat o psychologicznym klinczu. Eryka i Tomasz są na siebie skazani, jednocześnie się ranią. Oboje przetrwali katastrofę faszyzmu na emigracji w Stanach, podobnie rozumieją odpowiedzialność Niemców za wojnę, różni ich spojrzenie na rodzinę. Sztuka, wysoka literatura, muzyka klasyczna – to wszystko, czym się otaczają i z czego Tomasz uczynił swój oręż, dla Eryki to tylko sztuczna przestrzeń, izolująca go od realnego świata. Ona nie widzi potrzeby zamykania się w wieży z kości słoniowej, zwłaszcza jeśli wokół ludzie cierpią i dzieje się niesprawiedliwość. Ale to tylko jeden z tematów filmu.

Co najbardziej porusza panią w „Ojczyźnie"?

Stosunek do rodzinnego kraju, który się utraciło i do którego już się nie należy, a bardzo by się chciało być jego częścią. Problem straty i zerwanych więzi rodzinnych, wpisany w ten film smutek. Ale też wyczuwalna w nim tęsknota do piękna, do muzyki i literatury, do sztuki. To, jak te wszystkie rzeczy są ze sobą powiązane, mimo że trudno te tropy niekiedy rozpoznać i nazwać.

Tomasz Mann uznawany jest przez wielu za narodowy pomnik, nienaruszalną świętość. Czy wcielając się w postać Eryki, czuła pani lęk wobec instytucjonalnej powagi otaczającej nazwisko Mannów w niemieckiej kulturze?

Przed rozpoczęciem zdjęć celowo unikałam czytania oficjalnych biografii i podręcznikowych opracowań. Eryka Mann funkcjonuje w Niemczech jako ikona niezłomnego antyfaszyzmu, ale ta pomnikowość potwornie spłaszcza jej człowieczeństwo. Dopiero gdy Paweł dał mi do ręki jej prywatne, intymne listy, odkryłam kobietę skrajnie samotną i uwięzioną. Nasz film wyciąga ją z cienia Tomasza, daje jej surową, pełnoprawną podmiotowość, ale nie przecina tej bolesnej pępowiny. Ich relacja opiera się na absolutnej, niemal niszczycielskiej szczerości. Tomasz potrzebuje jej aprobaty, a ona potrzebuje jego uznania, co generuje nieustanne napięcie.

To napięcie wybucha w filmie w sposób spektakularny, choćby w scenie, w której Eryka fizycznie konfrontuje się z ludźmi, którzy jeszcze chwilę wcześniej służyli reżimowi, a w 1949 r. bez mrugnięcia okiem zaadaptowali się do nowego, demokratycznego ładu. Policzek wymierzony jej byłemu mężowi ma dla pani wymiar symboliczny?

Bardzo nam zależało, by ta scena nie osunęła się w tani współczesny moralitet. Eryka nie sili się na wymierzenie sprawiedliwości dziejowej ani nie wykonuje symbolicznego gestu potępienia w imieniu przyszłych pokoleń. Jej reakcja jest subiektywna i intuicyjna. Nienawidzi hipokryzji, a bezczelne samozadowolenie bliskich niegdyś jej ludzi uniemożliwia jej oddychanie. To krzyk bezsilności kogoś, kto po latach wygnania wraca do swojego domu i dostrzega, że zło jedynie zmienia garnitury na lepiej skrojone, a społeczeństwo kontynuuje swój wielki taniec amnezji.

Ciekawe, jak ten mechanizm działał w pani otoczeniu. Urodziła się pani i dorastała w Turyngii, na terenie dawnego NRD. Oficjalna doktryna państwowa była skrajnie wygodna: winę za nazizm przypisano kapitalistycznemu Zachodowi, a Wschód ogłosił się jedynym, nieskazitelnym bastionem antyfaszyzmu. Jak w takim świecie wyglądało pani pierwsze zetknięcie z potwornością Holokaustu?

Panowała niesamowita schizofrenia. Z jednej strony słyszeliśmy na apelach, że jesteśmy tymi „dobrymi" Niemcami, którzy nie mają nic wspólnego z brunatną przeszłością. Z drugiej system edukacyjny dbał o to, by zbrodni przed nami nie ukrywać. Byłam jeszcze dzieckiem, kiedy naszą klasę zabrano na wycieczkę do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Ten dzień mną wstrząsnął. Nikt nas psychicznie na to nie przygotował. Część moich rówieśników była tak zszokowana tym, co zobaczyła, że uśmiechała się, stroiła głupie miny, udawała, że nie interesuje jej zwiedzanie i włączała walkmany. Zadziałał mechanizm obronny, próbowali uciec przed świadomością tragedii przekraczającą wyobraźnię dziecka. Dla mnie to był moment graniczny. Wkroczyłam w świat, w którym pojawił się głęboki egzystencjalny lęk, który noszę w sobie do dziś.

Ta ambiwalencja rymuje się z tym, jak w Niemczech traktuje się samą literaturę. Lektura szkolna Tomasza ▶

REKLAMA

GDAŃSK

GDAŃSK | 13–14.11.2026 | AMBEREXPO

INSIDE SEASIDE FESTIVAL '26

13 LISTOPADA
THE STREETS
JESSIE WARE
HERMANOS GUTIÉRREZ
HINDS
ŁĄKI ŁAN
KATHIA
MELA KOTELUK
VARIÉTÉ
MARYSIA OSU
CIŚNIENIE
ACIDSITTER

14 LISTOPADA
EDITORS
GOAT
MARUJA
ZALEWSKI
DOBRAWA CZOCHER
WALUŚKRAKSAKRYZYS
WIRASZKO
JAKUB SKORUPA
HAŃBA! HIOBA DYLANA
SNAKES SNAKES SNAKES
SPOIWO

organizatorzy: RADIO 357 LIVE.
patroni medialni: tvn WARNER BROS. DISCOVERY, POLITYKA, onet, newonce, trojmiasto.pl, prestiż
partnerzy: amber expo, VISIT GDAŃSK
bilety: eventim
sponsorzy tytularni scen: ERGO HESTIA, ALIOR BANK

▶ Manna to przecież synonim katorgi dla nastolatków. Czy pani również musiała to odchorować, zanim zagrała Erykę?

(*śmiech*) Niemiecki system edukacji potrafi zabić miłość do każdej literatury. Poznając w wieku 15 lat „Tonia Krögera", czułam do tej prozy olbrzymią niechęć. Uczono nas w sposób analityczny, laboratoryjny, bez empatii czy wyczulenia na zmysłowość. Rozbierano strukturę zdania na czynniki pierwsze, jakby badało się tkankę pod mikroskopem. Widzę podobną reakcję u mojego dziecka i ogarnia mnie wściekłość. Szkoła w Niemczech uparcie próbuje produkować sprawnych krytyków literackich i literaturoznawców, zamiast uczyć młodych ludzi wrażliwości, empatii i przyjemności z obcowania z tekstem. Literatura Manna stała się ofiarą własnej wielkości – zamknięto ją w akademickiej zamrażarce. Dopiero praca nad scenariuszem Pawła, który odrzucił uniwersytecki balast i skupił się na istocie ludzkich relacji, pozwoliła mi dostrzec, jak potężna, drapieżna i nowoczesna jest to proza.

Dobrze znała pani twórczość Manna?

Nie czuję się ekspertką od niego. Ostatnio czytałam jego przemówienia dla BBC (kierowane w czasie drugiej wojny światowej do niemieckich słuchaczy), które wywarły na mnie ogromne wrażenie. Są niezwykle błyskotliwe, inteligentne i uderzająco aktualne, jakby zostały napisane dzisiaj.

Pawlikowski słynie z geometrycznego, czarno-białego rygoru. Jednak gdy pani pojawia się na ekranie, formalny lód zaczyna pękać. Jak odnajdywała się pani w tak restrykcyjnej ramie wizualnej?

Dla mnie ten rygor nie był więzieniem, lecz paradoksalnie oparciem. Początkowo protestowałam przeciwko zmienianiu dialogów, jednak szybko do mnie dotarło, że wyjątkowa reżyseria Pawlikowskiego, polegająca na szukaniu takich momentów, w których każdy element coś znaczy i wpisuje się w szerszą strukturę dramatyczną, pozwala artystom osiągać wyżyny. Eryka Mann niesie na swoich barkach cały emocjonalny ciężar żałoby i wściekłości, których zablokowane, powojenne otoczenie nie chce i nie potrafi przyjąć. Momentami bywało to nieprzyjemne. Kiedy jako aktorka wchodzisz w stan rozdrażnienia, podświadomie szukasz jakiegoś kontrapunktu, by się uspokoić. Tymczasem świat wykreowany przez Pawła i współscenarzystę Bena Hackwortha pozostaje całkowicie zaimpregnowany na ból Eryki. Ale w końcu znalazłam sposób, by warunki zewnętrzne i formalny dystans współgrały z moją ekspresją.

Coś podobnego widzieliśmy u Jonathana Glazera w „Strefie interesów". Tam zagrała pani Hedwig Höss – potwora w domowym wydaniu. Zarówno Glazer, jak i Pawlikowski operują tajemnicą. Czy takie aktorstwo bez gotowych rozwiązań to pani naturalny żywioł?

Nie mam jednej niezmiennej metody, którą mogłabym mechanicznie przekładać z projektu na projekt. Każdy scenariusz wymaga odświeżenia pomysłów i zaskakiwania nowymi rozwiązaniami. Ale pyta pan o model współpracy... To, czego bezwzględnie i kategorycznie wymagam od reżysera na planie, to absolutna przejrzystość, uczciwość i zaufanie. Nie znoszę, wręcz organicznie nie toleruję sytuacji, gdy twórcy próbują manipulować aktorem, grać z nim w jakieś zakulisowe gierki psychologiczne, bo brakuje im wiary w jego inteligencję. To natychmiast zabija sztukę, zamienia plan w toksyczny ściek. U Pawła i Jonathana tajemnica to owoc skrajnej precyzji i głębokiego szacunku dla współpracowników i widzów. Zostawiamy te puste przestrzenie na ekranie nie dlatego, że nie wiemy, czym je wypełnić, tylko po to, by publiczność mogła wnieść tam własne doświadczenie, własny strach i własną wrażliwość.

To tłumaczy, dlaczego mimo ogromnego sukcesu pani artystyczną bazą pozostaje teatr. Pracuje pani w niezależnych kolektywach w Niemczech, zaczęła też sama reżyserować. Co daje scena, czego machina filmowa nie jest w stanie zaoferować?

Teatr daje mi suwerenność i wolność od presji czasu. W kinie proces twórczy jest bezwzględnie rygorystyczny, sekwencje muszą zostać zamknięte w konkretnych dniach zdjęciowych, bo każda godzina opóźnienia to gigantyczne pieniądze. W teatrze błąd i błądzenie są podstawową wartością artystyczną, nikt nas nie pogania. Możemy przez trzy tygodnie sprawdzać jedną intuicję tylko po to, by na koniec uznać ją za ślepą uliczkę i porzucić bez żalu. Praca z moim kolektywem teatralnym w Niemczech utrzymuje mnie w pionie, pozwala zachować higienę psychiczną. To zresztą działa na zasadzie naczyń połączonych, tworząc idealną ekologię mojego życia zawodowego. Dzięki temu, że biorę udział w dużych, prestiżowych produkcjach kinowych, zyskuję rozpoznawalność i artystyczny kredyt zaufania, który pozwala mi potem realizować niszowe, skrajnie radykalne i bezkompromisowe projekty na scenie. Jedno karmi drugie. Nie wyobrażam sobie scenariusza, w którym porzucam teatr dla Hollywood. To byłaby artystyczna śmierć.

À propos bezkompromisowości. „Mefisto" Klausa Manna to jedna z najważniejszych powieści politycznych XX w., dotykająca problemu konformizmu artystów wobec rodzącego się zła. Gdyby miała pani dziś wskazać tekst, który celniej opisuje lęki tego środowiska, jaka byłaby to książka?

Pozostaję przy „Mefiście". Ma w sobie profetyczny, gorączkowy gniew, również dziś uderzający z odpowiednią siłą. W Niemczech powstała niedawno wybitna adaptacja sceniczna „Mefista" w reżyserii Jette Steckel w Münchner Kammerspiele, gdzie Thomas Schmauser gra tytułową rolę. To, co wyprawia na scenie z tą postacią, przechodzi ludzkie pojęcie. To żaden suchy, historyczny traktat o Gustafie Gründgensie i jego paktowaniu z Göringem, tylko wstrząsające studium tego, jak łatwo my, artyści, ludzie kultury, potrafimy sprzedać swoją niezależność za obietnicę bezpieczeństwa, oklaski i potwierdzenie statusu. Żyjemy w czasach radykalizacji i podziałów, a polityczny oportunizm staje się dla wielu strategią przetrwania. Klaus Mann opisał to na podstawie własnych obserwacji, z rozpaczy, i to czuć w każdym zdaniu.

Zarówno Rose, jak i Eryka zapłaciły wysoką cenę za próbę życia na własnych warunkach. Jakie pani ponosi konsekwencje za swoją bezkompromisowość?

Czuję głębokie zmęczenie, ale to dobre zmęczenie rzemieślniczki, która wie, że dała z siebie wszystko. Nie wierzę w aktorstwo, które nic nie kosztuje, niewymagające dotykania własnych rejestrów bólu i samotności. Zarówno w „Rose", jak i w „Ojczyźnie" wchodziłam w rejony, które były dla mnie trudne, ale tylko tam, na granicy ryzyka, rodzi się to, co najwartościowsze. Wolę błądzić z Pawlikowskim czy szukać surowości w „Rose", niż grać bezpieczne gładkie postaci, które szybko się zapomina. Moje bohaterki nie potrzebowały współczucia, szukały podmiotowości. Ja chcę dokładnie tego samego.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

eprasa.pl 74925dea9a

NAGRODA ARCHITEKTONICZNA POLITYKI

ANETA KYZIOŁ

Architektura przyjemności

15. edycja Nagrody Architektonicznej POLITYKI za nami. Na warszawskiej Pradze Grand Prix odebrał zespół pracowni Projekt Praga.



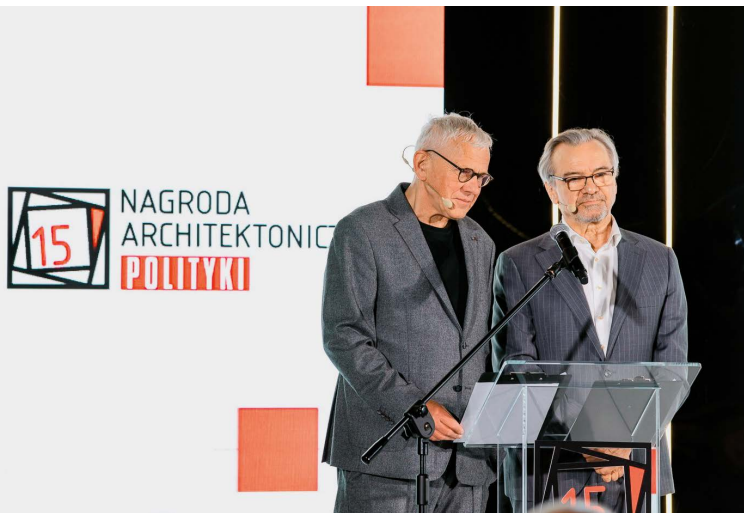

W miniony wtorek podczas gali zorganizowanej w Bohemie 2.8 – odrestaurowanym budynku na terenie dawnego kompleksu fabryki kosmetyków Pollena na warszawskiej Pradze Północ – na scenę wkroczyła piątka finalistów naszego konkursu w asyście prowadzących imprezę: redaktora naczelnego POLITYKI **Jerzego Baczyńskiego** i piszącego w dziale kultury o sztuce i architekturze **Piotra Sarzyńskiego**. Następnie poznaliśmy laureatów głównych nagród, w tym zdobywcę Grand Prix, którego przedstawił, jak co roku od półtorej dekady, Jacek Michalak, wiceprezes zarządu ds. rozwoju Grupy Atlas, sponsora naszej Nagrody.

15-osobowe jury złożone z ekspertów i ekspertek od architektury, urbanistyki oraz przedstawicieli redakcji POLITYKI z kilkudziesięciu zgłoszonych ubiegłorocznych realizacji jako najlepsze wybrało:

- Akademię Muzyczną im. Feliksa Nowowiejskiego w Bydgoszczy (plus3-architekci),
- Szkołę Podstawową nr 119 przy ul. Konstruktorskiej 10 w Warszawie (WWAA),
- Ośrodek Szkoleniowo-Naukowy Okręgowej Izby Lekarskiej w Gdańsku (Toprojekt),
- Plac Centralny w Warszawie (A-A Collective)
- i Wydział Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego (Projekt Praga).

„Mieliśmy w historii Nagrody Architektonicznej okres, gdy królowały obiekty kultury, lepsze czasy dla budownictwa mieszkaniowego, wyraźną koniunkturę na tereny użyteczności publicznej: przystanie wodne, infrastrukturę turystyczną, a w końcu parki. Ten rok wydaje się należeć do edukacji" – podsumowywał na naszych łamach Piotr Sarzyński.

Podczas samej gali ujawnił się jeszcze jeden trend. Przedstawiciele pracowni architektonicznych i inwestorów, odbierając dyplomy, zgodnie podkreślali wagę dialogu w powstawaniu nagrodzonych realizacji. Dialogu nierzadko długotrwałego – zdarzało się, że od wygrania konkursu do przecięcia wstęgi mijało osiem lat. I – wielostronnego. Owoce tej wymiany myśli są nie tylko piękne i – to już norma – ekologiczne, ale przede wszystkim funkcjonalne: z przyjemnością spędza się w nich i wokół nich czas.

To był kolejny refren naszej gali. Zdobywca Grand Prix: gmach Wydziału Psychologii UW (Projekt Praga) nie tylko robi wspaniałe wrażenie. Dziekan wydziału, prof. dr hab. Kamil Imbir, z zachwytem opowiadał także o codziennej pracy i odpoczynku w świetnie zaprojektowanych salach, na patio i w ogrodzie na dachu. A Katarzyna Głażewska, przedstawicielka biura plus3-architekci, twórców Akademii Muzycznej im. Feliksa Nowowiejskiego w Bydgoszczy, fakt wygranej budynku w głosowaniu internautów tłumaczyła żartem, że pewnie głosy oddało te 8 tys. Bydgoszczan, które przyszło na otwarcie budowli otoczonej zielenią i sprawiającej wrażenie, jakby wynurzała się ze znajdującego się obok oczka wodnego.

Finaliści chwalili także zdobywcę drugiego miejsca w głosowaniu internatów: warszawski Plac Centralny. Kto jeszcze kilka lat temu by pomyślał, że pod Pałacem Kultury będzie się nie tylko umawiał na randki i spotkania, ale też tam je spędzał, ciesząc się połączeniem kultury i natury?

Zapraszamy po więcej na stronę:
polityka.pl/architektura

Sponsor Główny
Nagrody Architektonicznej
POLITYKI

ATLAS

© TEODOR KLEPCZYŃSKI/POLITYKA

eprasa.pl 74925dea9a



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

W TVN ruszy program „Nowa Szelągowska", w którym Dorota – uwaga – ponownie będzie przeprowadzać metamorfozy wnętrz. Dorota odwiedzi tych co wcześniej, z pytaniem: „Kto panu to tak spie...ł?".

●

Wojciech Cejrowski naucza: „Homoseksualizm to ciężkie schorzenie moralne. To choroba. Uzależnienie. Prowadzące wprost do piekła". Straszna wizja. Nie wiem, jak w przyszłości Wojtek zniesie takie towarzystwo.

●

Na gali UFC w Białym Domu w towarzystwie Donalda Trumpa i Karola Nawrockiego zawodnik Josh Hokit oznajmił: „Michelle Obama to mężczyzna. Mam rację, Ameryko?". Etat w Kanale Zero pewny.

●

„Joanna z Rolnika nie kryje radości. Tak wyglądają jej nowe zęby" – donoszą media protetycznie wrażliwe. Kapuściński twierdził, że aby napisać jedno własne zdanie, trzeba przeczytać tysiące cudzych. To już nieaktualne.

●

Monika Richardson o powrocie Agnieszki Woźniak-Starak do TVP: „Nie cenię jej jako dziennikarki". Gratulacje. Monika po 31 latach pracy w zawodzie odkryła, że można mieć własne zdanie.

●

Andrzej Piaseczny ujawnił, że zanim reżyser serialu „Złotopolscy" powiedział mu, że pocałunki z Anią Przybylską mają być udawane, to on nie udawał. To będzie jakieś 1121 odcinków.

●

Książę Jan Lubomirski-Lanckoroński objawił światu, że Maciej Radziwiłł pochodzi z rodziny zdrajców Rzeczpospolitej. Też tak reaguję, jak mi ktoś mówi, że majonez Kielecki jest lepszy.

●

Jest kolejny as dziennikarstwa. Wojciech Płochocki, niestety z Plejady. Wojciech czyta moją rubrykę, ale rozumie ją po swojemu. Jak mawiał Stanisław Jerzy Lec: „Arcydzieło zrozumie nawet idiota. Ale jakże inaczej".

●

Bezlitosny hejt po stadionowych koncertach Dawida Podsiadły. Po pierwsze, nic nie słychać, po drugie, jak słychać, to Dawid nie umie śpiewać. Lubimy tych, dzięki którym czujemy się lepiej, ale oni powinni czuć się gorzej.

●



© RADOSŁAW NAWROCKI/FORUM

Robert Lewandowski został globalnym ambasadorem chińskiej marki samochodów Chery. Brawo. Oto dzisiejszy sport. Robert nie wie jeszcze, do jakiego kraju będzie dojeżdżał na treningi, ale wie już czym.

●

W Berlinie aresztowano i zakuto w kajdanki Roberta Bąkiewicza. Piękny widok. Żądam natychmiastowego wyjaśnienia, dlaczego dopiero teraz.

●

Tylko u nas ;) – Piotr Kędzierski poprowadzi w Polsacie teleturniej muzyczny. Brawo. Jednym z gości będzie lider The Kelly Family. Dobry ruch. Piotr interesuje się UFO, zjawiskami niewyjaśnionymi i zombie.

●

W związku z Incydentem Berlińskim Tomasz Sakiewicz usunął z anteny TV Republika reklamy niemieckich firm. Doskonały model biznesowy. Namawiam Bąkiewicza do ruszenia w trasę po Europie.

●

Prokuratura w Warszawie odmówiła wszczęcia śledztwa w sprawie słów Radka Sikorskiego: „Antek, ty świrze", skierowanych do Antoniego Macierewicza. Sąd użył moralnie słusznego argumentu, że Antek powinien się przyzwyczaić.

●

Youtuber stulecia Mikołaj „Bagi" Bagiński wystartował na YouTube z własnym reality show „Farma Bagiego". Po trzech dniach format zniknął. Edward Miszczak lubi to.

●

W rankingu zaufania mediów wyszło, że liderami braku zaufania są: „Fakt" (38 proc.) i „Super Express" (36 proc.). Jest taki cytat z „Wielkiego Szu": „Graliśmy uczciwie: ty oszukiwałeś, ja oszukiwałem. Wygrał lepszy".

Tomasz Kot po 26 latach rozstał się z żoną. Gratulacje lub wyrazy współczucia. Szybko policzyłem. Za 26 lat będę miał lat 88 i nawet jak się rozwiodę, to na bank nie będę o tym długo pamiętał.

eprasa.pl 74925dea9a

FELIETON

Chutnik Plebanek



Królowa jest naga

Czas powiedzieć głośno, że siostrzeństwo to taki sam miraż jak braterstwo z książek Karola Maya. Kobiety od wieków były wrogami, bo miały jeden cel – zdobyć męża. Zanim pojawiła się romantyczna wizja związku, małżeństwo służyło przetrwaniu. Z braku dostępu do majątków, edukacji, praw obywatelskich – gwarancję przeżycia dawał kobiecie mąż. O to trofeum należało się bić, a jeśli dziewucha była ospała lub miała w głowie mrzonki (miłość), sprzedawał ją ojciec lub matka. Ciało kobiety jako towar wymienny, jak krowa czy koza.

W XXI w. próbujemy tę drapieżną narrację odwrócić. Od stu lat możemy się uczyć, zarabiać, wybierać kochanków, utrzymywać dzieci. Dlatego piszemy o przyjaźni kobiet. O wzajemnym wsparciu, o porozumieniu. Żeby same się przekonać, że może to już prawda.

Tyle że król jest nagi. A konkretnie królowa. Patriarchalne wzory sączą się choćby z literackich przedstawień kobiet w dziełach mężczyzn. Niedługo obejrzymy ekranizację „Lalki" według powieści Bolesława Prusa. To historia nieudanej transakcji sprzedaży młodej kobiety bogatemu kupcowi. Ojciec już liczył ruble, które za córkę dostanie, ale dla Izabeli, zwanej Bellą, ważna była własna seksualność (scena w przedziale ze Starskim). Nabywca się rozmyślił, chciał towar nieużywany.

Obrotne polityczki, jak Giorgia Meloni czy Marine Le Pen, łaszą się do mężczyzn, którzy wciąż dzierżą władzę i kasę.

„Lalka" ukazała się w 1890 r. W 2005 r., na drugim końcu świata, wyszedł „Zmierzch", początek czterotomowej sagi dla młodzieży. Bohaterką jest również Bella, bardziej niemrawa niż ta polska. Jej atrakcyjność tkwi w bierności. To nie ona inicjuje kontakty z adoratorami i wcale nie dlatego, że jeden jest wampirem, a drugi wilkołakiem. Bella to kulturowy konstrukt białej kobiecości – pozbawiona pragnień i ambicji, wymagająca opieki. To „dzieło" wypuściła autorka – Stephenie Meyer.

Jak mamy iść naprzód, skoro trzymamy się kurczowo wzorców społecznych opartych na nierówności? Dochodzą one do głosu również w polityce. Obrotne polityczki, jak Giorgia Meloni czy Marine Le Pen, odgrzewają kotlety tradycyjnego wzorca kobiecości, łasząc się do mężczyzn, którzy wciąż jeszcze dzierżą władzę i kasę.

Zjawisko nie omija literatury. Ponad 70 proc. czytających to kobiety, na polonistykę idą całymi grupami, na rynku książki roi się od kobiet, od krytyczek po wydawczynie. A jednak i tu rządzi „uniwersalizm" w wydaniu męskim. Emancypacyjne teorie łamią sobie zęby na statystykach, wystarczy policzyć, ile kobiet bierze udział w festiwalach literackich, ile jest nominowanych do nagród. A reprezentacja autorek publikujących w periodykach literackich? Pół wieku temu Erica Jong zauważyła: „Recenzuje się jedną książkę kobiety na trzy mężczyzny, ale wytykanie tych proporcji uważa się za nieeleganckie".

Premierę miał właśnie spektakl na podstawie jej „Strachu przed lataniem" w reżyserii Weroniki Szczawińskiej (recenzja na s. 72). Jak ten tekst, uznany za skandaliczny pięć dekad temu, ma się do dzisiejszej rzeczywistości? Kwestie seksualności i kobiecego ciała są już obecne w głównym nurcie kultury, a jednak dążenie do wolności i niezależności jest nadal ważnym tematem. W książce „Czego chcą kobiety" Jong pisze o pisarstwie kobiet, że „zawód ten jest podwójnie niebezpieczny. Prędzej czy później pisarka musi się przekonać, że kobieta, która chwyta za pióro, pozostaje na zawsze outsiderem".

Może stąd w zachodniej literaturze widać wyraźny zwrot w stronę autobiografizmu. W pisaniu intymnym trzeba podejmować ryzyko, jak stand-uperzy i stand-uperki, żeby wykorzenić z naszych głów potulne Belle. To właśnie te miłe hipokrytki głośno zapewniają, że nie istnieje literatura męska lub żeńska, tylko dobra i zła. Nie ma szklanego sufitu względem literatek, a na parnas dostają się zdolne i sprytne (w biznesie inaczej nie można, a rynek książki to biznes). I tylko nad uchem chichocze Jong: „Od pisarek oczekuje się, że będą przewodniczkami po grząskim terenie heteroseksualnej miłości. Wolno nam pisać popularne powieści (wtedy dopieszczają nas panowie, którzy dzierżą kasę, bo robią na tym wszystkim pieniądze), ale cały literacko-krytyczny światek okrzyknie nas tandeciarami".

Gdzieniegdzie promuje się i artystki, ale jest tu haczyk – muszą być młode. Starsze się pyta, jak godzą twórczość z życiem rodzinnym. Czy znów, jak w XIX-wiecznym pisemku kulturalnym, autorkom będzie się zarzucać zaniedbywanie męża i dzieci? Mało to książek, po co jeszcze baby piszą? No po to, by literaturę wzbogacić o ten głos. Bez antagonizowania – „męski świat podbojów versus żeńskie chuchanie na domowe ognisko" – bo w takim układzie pisarka zawsze zostanie outsiderką, nie odnajdzie się w formie narzuconej przez kanon. Zresztą po co miałaby się dostosowywać? „Literatura bez płci" będzie możliwa tylko wtedy, gdy zniknie nierówność w dostępie do tortu. Nawet jeśli ten jest niewielki i udekorowany zgryźliwymi komentarzami o roszczeniowości.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 74925dea9a

FELIETON

Orliński



Okruchy Polski

Wielu ludzi z zasady nie czyta komiksów, a więc także felietonów o komiksach. Zacznę więc od stwierdzenia, że rekomenduję lekturę „Okruchów" Kasi Babis każdemu. Także tym, którzy teraz odpadną po trzech zdaniach! To nietypowy komiks. Zgodnie z podtytułem jest to autobiograficzna próba przedstawienia „dojrzewania w postkomunistycznej Polsce". Najpierw wyszedł w Stanach Zjednoczonych (jako „Breadcrumbs") i w związku z tym opowiada Polskę „dla początkujących".

Dla moich rówieśników, drogich dziadersów i przemiłych babersek to całkiem przydatne, bo świat naszych dzieci jest dla nas równie egzotyczny jak Polska dla Amerykanina. Owszem, nam nie trzeba wyjaśniać, kim był Jan Paweł II i jakie przejawy przyjmował jego kult kilkanaście lat temu. Dla wielu z nas jednak zaskoczeniem może być to, co wówczas czuła młodzież przymusowo zapędzana na te wszystkie uroczystości ku czci. Wielu prawicowych polityków typu Czarnek do dziś robi wrażenie zdziwionych, że wcale nie wychowali sobie w ten sposób milionów wyborców PiS.

Prawicowi politycy moich felietonów raczej nie czytają. Ale dla „naszej" strony ten komiks też ma kilka niespodzianek. Autorka podsumowuje życie swoich rodziców rysunkiem przypominającym grę planszową: najpierw kawalerka, potem pierwszy samochód, przeprowadzka do większego mieszkania w bloku, a na finałowym polu ukoronowanie życiowych aspiracji – domek jednorodzinny z wypasionym SUV-em. Nie znam państwa Babisów, a jakbym ich znał. Gdybyśmy się spotkali, mielibyśmy wiele wspólnych tematów do rozmowy. Grałem w tę samą grę.

> Dla naszych dzieci jednym z najważniejszych wydarzeń była śmierć Jolanty Brzeskiej w 2011 r. A dla nas?

Dla naszych dzieci jednym z najważniejszych pokoleniowych wydarzeń była tymczasem śmierć Jolanty Brzeskiej w 2011 r. A dla nas? Pracowałem wtedy w „Gazecie Wyborczej". To nawet nie jest tak, że pominęliśmy śmierć Jolanty Brzeskiej. Po prostu była to niewielka notka w dodatku stołecznym, że znaleziono w lesie zwłoki działaczki ruchu lokatorskiego. Że prokuratura uznała, jakoby Jolanta Brzeska, nie mając samochodu, wywiozła samą siebie do lasu, by popełnić tam samobójstwo przez samospalenie, to nas nawet nie dziwiło. Po prostu nas niespecjalnie interesowało. Nie wydawało nam się tematem na pierwszą stronę.

A co było na jedynce „Stołka"? Bulwary wiślane! Stadion Narodowy! Przygotowania do Euro 2012! Pochłonięci grą planszową „per aspera ad domek z SUV-em" chcieliśmy wierzyć, że tą samą drogą idzie cały kraj. To było widzenie tunelowe. Faktów niepasujących do tej wizji nie tyle nie dostrzegaliśmy, ile przypisywaliśmy im marginalne znaczenie. Trochę tak jak nasi pradziadkowie, zachwyceni Gdynią, COP-em i zajęciem Zaolzia, byli ślepi na sygnały świadczące o tym, że Polskę czeka wojna z dwoma wrogami, a armia nie jest gotowa nawet na wojnę z jednym.

Kasia Babis spogląda na nas tak, jak my na – nie przymierzając – Melchiora Wańkowicza. Cóż, należy nam się. Jednak milenialsi też już zaczynają być rodzicami. Komiks kończy się wyrazem nadziei, że ich dzieci „wyrwą się z tego cyklu", traum dziedziczonych z powodu błędów poprzednich pokoleń. No cóż, my też mieliśmy takie nadzieje. Wyszło, jak wyszło. Ale trzymam kciuki!

Babis robi ciekawą obserwację, że rodzicielska porażka mojego pokolenia to głównie klęska mężczyzn. To my się zazwyczaj okazywaliśmy najsłabszym ogniwem. Pękaliśmy pod wpływem presji związanej z długim marszem do „domku z SUV-em". Chcąc nie chcąc, kobiety łączyły tradycyjne obowiązki domowe z utrzymywaniem rodziny. „I dlatego większość z nas dorastała z matkami, które były przepracowane i zgorzkniałe" – pisze narratorka.

Pozbawieni pozytywnych wzorców chłopcy też wyrastali na niezbyt atrakcyjnych partnerów. Komiks pokazuje trochę związków z piekła rodem. Po latach trzy licealne przyjaciółki spotykają się na strajku kobiet w 2016 r. Wspominają swoich pierwszych chłopaków. „Nie wierzę, że wszystkie miałyśmy fazę na tego typu facetów" – mówi jedna. „Dorastałyśmy w Lublinie, wybór był... ograniczony" – odpowiada druga. Przy całej mojej miłości do Warszawy jednak nie sądzę, że to kwestia miasta.

Do zrozumienia milenialsów przydałoby się dzieło pokazujące punkt widzenia młodej prawicy – kogoś takiego, jak ci chłopcy z przeszłości bohaterek. Dziś to zapewne wyborcy jednej z Konfederacji. Gdzie ich komiksy? Powieści, wiersze, sztuki, jakiekolwiek formy narracyjne?

To ciekawa różnica pokoleniowa. Wśród moich rówieśników było wielu pisarzy o nastawieniu prawicowym, klerykalnym, nacjonalistycznym, wielbicieli Jana Pawła II, a nawet Pinocheta. Użyłem czasu przeszłego, bo nawet jeśli żyją, to albo zmienili poglądy, albo złamali pióro. Wśród trzydziestoparolatków tymczasem każdy, kto umie pisać, ten ma poglądy na lewo od Tuska. Młodzi konfederaci, jeśli cokolwiek tworzą, to tylko internetowe filmiki. Jeśli na czymś się znają, to na walkach w klatce. To krzywdzące uogólnienie? Chętnie przyznam, że się mylę, ale gdzie są te prawicowe odpowiedniki „Okruchów"?

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 74925dea9a

FELIETON

Hartman



Cóż po humaniście?

Narodziny akademickiej humanistyki z ducha biblijnej egzegezy i encyklopedycznych zapałów głęboko przeobraziły życie umysłowe Zachodu. Zastępy filologów i historyków od połowy XIX w. produkują góry esejów, artykułów, monografii, słowników, orząc mieszczańskie mózgi zrazu greczyzną i „rzymizną", a potem już wszystkim jak leci. Od kultury renesansu po życie płciowe dzikich. Od czarów monastycyzmu po nieprzyzwoitości awangardy. Urosła nad nami góra twórczej i przetwórczej produkcji ludzi pióra. My wszyscy z nich – z pracowitych szperaczy, erudytów, efekciarzy, egzaltowanych strażników dziedzictwa, sceptycznych malkontentów, podnóżków władzy i obrazoburców. To oni nakręcili te katarynki, które mamy w głowach, nasze białkowe „modele językowe" do paplania o ideach i „własnym zdaniu".

Tylko że cała ta góra dawno już nas przytłoczyła i znudziła, ostatecznie okazując się nie żadnym tam Parnasem, lecz hałdą, wysypiskiem, na które wstydliwie odsyłamy kolejne partie nieprzeczytanych, skolonizowanych przez roztocza książek z naszych domowych bibliotek. Nic już nie znaczy napisanie kolejnej, nie mówiąc już o przeczytaniu. Za dużo tego. Zresztą po co się wymądrzać, skoro każdy ma „chata" i może robić to niegorzej od nas. Humanistyka nie karmi się już snobizmem ani sama go nie karmi. Ta machina się zacięła.

Jak bardzo książki przerastają swoich autorów! I jak bardzo my, ich autorzy, rozczarowujemy tych, którzy poznali nas bliżej!

Gdy wyciągam z półki „wielkie dzieła", ot tak, na chybił trafił, aby się przekonać o niezrównanej potędze ducha owych karłów, co to stały na barkach olbrzymów, a nawet samych olbrzymów we własnych starożytnych osobach, to szybko odkładam je z powrotem. Lekko zmieszany i odrobinę poirytowany. Jakież to na ogół słabe i jakież naiwne! Albo napuszone. Albo przemądrzałe. Ściema, ściema, ściema! Tak to się dziś swojsko nazywa. A dawniej mówiono z żydowska: hucpa! Albo z francuska: blaga!

O ileż jesteśmy mądrzejsi od tych nieszczęsnych olbrzymów i tych pokracznych karłów na ich barkach (cóż za odrażająca i prostacka metafora!). Byle doktorant pisze bardziej światle, bardziej krytycznie, inteligentnie i odpowiedzialnie niż przedwojenny burżujski profesor w binoklach. I co z tego? To najstraszniejsze, okrutne i zdradzieckie pytanie naszych czasów. Wszak żadne słowo nas nie uratuje. Za dużo słów, za dużo mądrości.

Nie ma kryzysu humanistyki, tak jak nie ma kryzysu rzemiosła. Jest produkcja – masowa i automatyczna. Anonimowy autor-producent, osoba dla świata obojętna, oddaje swój towar do obróbki firmie, która go sprzedaje jako wyjątkowy wytwór wielkiej osobowości, a nabywcy, nie dość pilni, by to czytać, dostają szansę, by poobcować z autorem we własnej osobie. Wielka tajemnica wydawców humanistyki jest taka, że nikt nie czyta (a jak czyta, to i tak nie rozumie), ale za to wielu chce dotknąć autora. Sprzedaje się więc kreacje, jakimi są postacie autorów i ich gawędy. A ich książki to tylko rekwizyty do podpisywania.

Tak miał mój zmarły przed dwoma laty dobry znajomy, wspaniały erudyta Zbyszek Mikołejko. I bardzo dobrze! Porwała go fala „promocji" i dziecinnego snobizmu klasy lekko średniej, co przyjął z wdziękiem i radością. Szczerze mu tego gratuluję. Tylko że wdzięk Mikołejki jest staroświecki i rozczulający, a to drugi raz nie przejdzie. Dziś humanocelebryci skazani są na cynizm i zblazowanie, przykryte pozorami entuzjazmu, pacyfizmu, feminizmu i co tam jeszcze jest wymagane. Zmuszeni przyjąć to, co im oferuje świat i wydawcy, a co czyni z nich festiwalowych komiwojażerów.

A jeśli tkwi się w akademii i trzeba dawać przypisy (tracąc zainteresowanie wydawców i czytelników), to warunkiem przetrwania jest usłużna wtórność i lisowata przymilność. Tylko najznaczniejsi mogą być dumnymi lokajami „klasyków" humanistyki, rozpisując się o nich jak o starszych braciach. A przecież efekciarstwo, kabotyństwo i narcyzm tych koryfeuszy mieszczańskich chórów przyprawiają o zawrót głowy. Puśćcie sobie filmiki!

Jak bardzo książki przerastają swoich autorów! I jak bardzo my, ich autorzy, rozczarowujemy tych, którzy poznali nas bliżej! Blagą jest pisanie. Pisanie, przepisywanie, wypacanie, wymądrzanie. A już zwłaszcza to beztalentne, humanistyczne. I nawet jeśli coś wymyślisz, to i tak zapamiętają ci błahą kliszę albo efektowny zwrot. Wiedza to władza! Śmierć jest skandalem, a wolność koniecznością! Rządzi ten, kto może zaprowadzić stan wojenny! Człowiek człowiekowi wilkiem! I tak bez końca. Same banały. A dalej nierozcięte kartki. Być może niewarte czytania.

Ja nie mam nic mądrego do powiedzenia. Jednakże gdybym zniknął, razem z wszystkimi psującymi papier humanistami, to chyba coś zmieniłoby się na gorsze. Wprawdzie z początku nikt by naszej nieobecności nie zauważył, lecz z czasem opuszczone przez nas miejsca zajęliby kolejni technokraci i życiowi pragmatycy. Niby nic takiego, a jednak to tak, jak gdyby zamienić śródmiejski park w betonowy plac. Jacy jesteśmy, tacy jesteśmy, ale jesteśmy. Można przy nas wytchnąć, nawet jeśli to bardzo płytka i przelotna z nami znajomość.

JAN HARTMAN

eprasa.pl 74925dea9a



Cios płucopięścią

Po utworzeniu przez posła Sasina stowarzyszenia Po Pierwsze Polska sytuacja w PiS jest taka, że po pierwsze, do bycia pisowcem samo członkostwo w PiS już nie wystarczy, a po drugie – że w PiS działają obecnie dwa płuca, z których jedno popiera PiS i prezesa Jarosława Kaczyńskiego, a drugie – Rozwój Plus – popiera własny rozwój plus parę innych rzeczy. Wprawdzie płuco Rozwój Plus mówi również, że popiera PiS i prezesa, z tym że nie wiadomo, czy chodzi o prezesa PiS, czy o prezesa Rozwoju Plus Mateusza Morawieckiego, który nie ukrywa, że w przyszłości zamierza być prezesem Rozwoju plus prezesem PiS.

Sytuacja, w której do bycia lojalnym członkiem PiS trzeba, oprócz wstąpienia do PiS, wstąpić do płuca utworzonego przez Sasina w celu przeciwstawienia się próbom rozbicia jedności PiS, jest sytuacją złożoną. Dodatkowo komplikuje ją deklaracja Sasina, że jego płuco „jest pięścią Jarosława Kaczyńskiego", który na razie nie posiada w PiS własnego płuca. Nie chcę krakać, ale nie wiem, czy bycie przez płuco Sasina pięścią prezesa nie spowoduje, że agresywne płuco Morawieckiego natychmiast ogłosi się drugą pięścią, co skończy się tym, że jedna pięść Kaczyńskiego zada drugiej pięści cios w płuco, a tamta odda, co wywoła chaos i ostrą niewydolność obu płuc.

Taka polityczna konstrukcja złożona z dwóch płuc, z których jedno jest w istocie płucopięścią służącą „do walenia we wszystkie przeszkody" – zwłaszcza w przeszkodę, którą jest drugie płuco – to według zapewnień Sasina kolejny dowód na to, że prezes Kaczyński „jest elastyczny i potrafi partię tak modelować, aby była ona dostosowana do okoliczności, w których się znaleźliśmy". Nie ma żadnego powodu, żeby mu nie wierzyć, chociaż moim zdaniem fakt, iż prezes do kierowania partią musi używać płuc i pięści, przy jednoczesnej redukcji aktywności mózgu, świadczy o tym, że te okoliczności nie są sprzyjające.

Rozwój Plus zapewnia, że nie rozbija jedności PiS, ale ja uważam, że rozbija, skoro ma w nazwie rozwój, który może doprowadzić do tego, że PiS przestanie być PiS-em. Nie oszukujmy się: gdyby PiS się rozwijał, nie byłoby w nim dzisiaj miejsca dla takich typowo pisowskich umysłów, jak umysły Mariusza Błaszczaka, Jacka Sasina, Marka Suskiego, Marka Kuchcińskiego czy Elżbiety Witek.

Nie chcę myśleć o tym, co by było, gdyby te umysły się rozwijały. Na szczęście publiczne wypowiedzi użytkowników tych umysłów dają pewność, że w najbliższym czasie żaden rozwój im nie grozi.

GALERIA POLITYKI

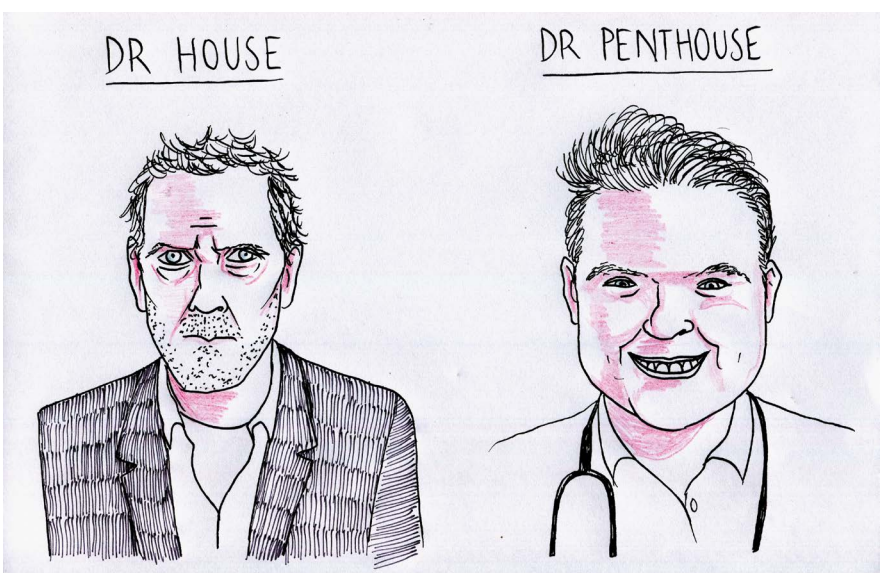

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Print Leipa

eprasa.pl 74925dea9a



ORGANIZATOR SPONSOR PROJEKTU PATRONI MEDIALNI

Patrz w górę



Ewa Ewart – wybitna dziennikarka i reporterka, autorka dokumentów – przemawia obrazem. Jej film „Do ostatniej kropli" pokazuje, jak nieodpowiedzialne i nieprzemyślane działania człowieka przyczyniają się do kryzysu wodnego. A „Do ostatniego tchu" – jak dewastujący wpływ na ludzi ma zanieczyszczenie powietrza.

Prof. Szymon Malinowski – fizyk atmosfery, na co dzień operuje słowami podpartymi twardymi naukowymi danymi. Pojawił się też jednak na ekranie – jako bohater dokumentu „Można panikować" w reżyserii Jonathana L. Ramseya.

Dr Jagoda Mytych – medioznawczyni, zajmuje się m.in. komunikacją klimatyczną. Uważa, że popkultura może wspierać naukowców w przekazywaniu informacji na temat wyzwań środowiskowych.

Wszyscy troje będą gośćmi Pulsara podczas spotkania „Patrz w górę. Zmiany klimatu na ekranie" **30 czerwca o godz. 18 w Nowohuckim Centrum Kultury w Krakowie** (Al. Jana Pawła II 232). Zapraszamy!

Sponsorem cyklu spotkań „Podróż po wiedzę" jest ENEA

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

50 lat temu, a konkretnie w nr. 26 z 1976 r., Andrzej Mozołowski w artykule „Niech mnie zamkną" opisywał historię lekarza, który przez niemal pięć lat nie przychodził do pracy. Ale pobory brał...


NIECH MNIE ZAMKNĄ...

ANDRZEJ MOZOŁOWSKI

4 POLITYKA

„Głos w słuchawce: – Piszecie o naukowcach, którzy naprawdę pracują. A także o tych, którzy tylko udają, że pracują naprawdę. Krytykowali was nawet, że to wymyślone. Chcecie posłuchać historii o naukowcu, który nawet nie udaje, że cokolwiek robi?

Mówię, że owszem, chcemy. I że kto to taki? Bo chcemy wiedzieć konkretnie.

Konkretnie, to jest docent Z. I konkretnie, to on jest z Instytutu Matki i Dziecka. Ale w instytucie nie bywa już od czterech lat.

Jak to nie bywa? Nie przychodzi w ogóle?

W ogóle, to przychodzi. Raz na miesiąc, po pieniądze. (...)

Z akt (...) wynika, że dr Z. rozpoczął pracę w Instytucie w 1962 r. jako specjalista II stopnia, ginekolog-cytolog. Instytut nie dysponował – i nie dysponuje nadal – własną bazą kliniczną ginekologiczno-położniczą. Korzystał z łóżek szpitala przy ul. Karowej (...). Po likwidacji tej bazy udało się stworzyć nową – ale w Białymstoku. Wobec czego w 1971 r. pracownicy instytutu (...) powrócili do jednostki macierzystej przy ul. Kasprzaka. Dr Z. – już wtedy docent etatowy – odwołany wraz z innymi, odszedł z Karowej, jednakże na Kasprzaka nie przyszedł. Przestał przychodzić do pracy.

Tak rozpoczęły się pięcioletnie niemal (...) zmagania między pracodawcą a konsekwentnym w swym uporze pracownikiem.

Instytut oferuje mu, co ma do zaoferowania: odpowiedzialną pracę badawczą zgodną z jego specjalizacją i tytułem naukowym.

Docent zdecydowanie odmawia. Jego zainteresowania, jego predyspozycje naukowe, wymagają pracy przy łóżku chorego. Oderwanie go od bazy klinicznej jest zasadniczą zmianą warunków pracy, na co się nie godzi. Za biurko – nie pójdzie. (...)

Czemu wobec tego nie przyjął oferowanej mu pracy w szpitalu w Kielcach? Ani ordynatury w Płocku? Warunki znakomite, szpital piękny, mecenat Petrochemii, możliwości ogromne...

Dlatego, że warunki osobiste, rodzinne nie pozwalają mu w żadnym przypadku na opuszczenie Warszawy. (...)

Pytam, czemu instytut nie zatrudnił go we własnej klinice właściwej specjalności, korzystając z „bazy łóżkowej" udostępnionej instytutowi przez szpital wolski.

Owszem instytut próbował, ale bez powodzenia. Dyrektor szpitala wolskiego odpowiedział (...), że nie ma możliwości obsadzenia doc. Z. A w umowie, na podstawie której szpital udostępnił instytutowi swoje łóżka, jest klauzula, że obsada osobowa tej bazy klinicznej musi być uzgodniona między stronami; instytut nie może więc nikogo narzucić. (...)

Zaprzyjaźniony profesor mówi: – Stworzenie instytucji docenta etatowego, z nominacji, spowodowało niesłychane komplikacje. Tylko minister mianuje, tylko minister może odwołać. (...) Docent to nie jest byle kto, docenta nie można zatrudnić byle gdzie, on może wybierać, stawiać wymagania. A nawet minister nie jest władny zmusić kogokolwiek, by zatrudnił człowieka, którego zatrudnić nie chce. A więc – mamy »święte krowy«".

eprasa.pl 74925dea9a



TREND

Uro albo dziny

Czy na przyjęciu z okazji połówki urodzin – nowym towarzyskim zjawisku – życzymy szczerze tylko częściowo? Wyjaśniamy, jakie zasady rządzą tym świętem.

Celebracja codzienności – za dużo i za mało intensywnie. Urodziny raz w roku – za rzadko i za krótko. Imieniny? Większość ludzkości ich nie obchodzi, wielu kojarzą się z dawnymi czasami, z domowymi przyjątkami ze śledzikiem, sałatką jarzynową i pokojami szarymi od dymu papierosowego. Dlatego trend na świętowanie połówki urodzin (czyli „uro" albo „dzin") staje się coraz popularniejszy u dorosłych. Takie rauty dla dzieci, szczególnie w pierwszym roku ich życia, to nic nowego. Od dawna stanowią dobrą wymówkę, żeby się obkupić w kolejne śliczne kaftaniki, bluzki czy buciki, udając przez chwilę, że moda przeciwstawna – na ograniczenie kupowania tekstyliów, przynajmniej w przypadku najmłodszych – nie istnieje.

Jak donosi brytyjski „The Guardian", „dziny" przeżywają wzmożenie, i to w każdej grupie wiekowej. Autorka tekstu Paula Cocozza dopatruje się w tym kolejnego pokłosia pandemii – odbijamy sobie wszystkie zawieszone i przeniesione celebracje. Ale powodów jest więcej. Można się w tym zjawisku doszukiwać także pretekstu, żeby zwołać wiecznie zabieganych bliskich („No co, na moje dziny nie wpadniesz?!"). Ale też – potrzeby trwałości w epoce mikrotrendów (data święta nigdy się nie zmieni) czy emanacji próżności (na tort dajemy połowę świeczek, znacząco się odmładzając). Odrabiamy przy tym straty z dzieciństwa – jak przykre jest świętowanie w czasie wakacji, gdy wszyscy z klasy są wyjechani, wiedzą zodiakalne Raki, Lwy i część Panien. Gorzej mają chyba tylko urodzeni w święta Bożego Narodzenia.

„Dziny" to też pretekst do wydania kupy kasy na spersonalizowane święto. Daje to poczucie wyjątkowości – większe niż wyjazd na Dzień Matki, Kobiet, Mężczyzn, ten czy inny długi weekend. Phi, to mogą obchodzić wszyscy! Jak odnotował dziennikarz „The Wall Street Journal" Dalvin Brown, niektóre „dziny" są bardziej wystawne od urodzin i kosztują dużo więcej. Jako przykład podał wyjazd dwóch przyjaciółek do spa w Meksyku, który kosztował 6 tys. dol. Dla porównania przytoczył zaś informacje, ile Amerykanie przeciętnie wydają na urodzinowe prezenty dla bliskich i przyjaciół – to jedna setna (!) tej kwoty. Oczywiście są kłamstwa, cholerne kłamstwa i statystyka, więc może nie ma sensu porównywać się z tą średnią. Istotna jest dysproporcja. Jak dodawał Brown, według etykiety nikt nie jest zobowiązany do przynoszenia prezentów na imprezę połówkową – ani za jedną dwusetną, ani za żadną inną kwotę. Wystarczy przyjść i bawić się, a jakże, na całego. Na samo przyjęcie nie trzeba wydawać fortuny. I tym samym pokazać figę z makiem socjologom uważającym, że konsumpcja pożarła nam celebracje.

Było półżartem, niech będzie półserio: cytowany przez „WSJ" psycholog behawioralny wskazuje, że połówkowe urodziny młodym dorosłym dają poczucie struktury – inne wielkie celebracje, takie jak ślub, narodziny dziecka, wielki awans czy co tam chcemy uznać za „kamień milowy" życiowej podróży, mają dziś miejsce coraz później, a w przypadku niektórych, coraz zresztą liczniejszych – nie wydarzają się w ogóle. A trzeba mieć co oblać matchą lub bubble tea – oczywiście w zgodzie z wyznawanym przez to pokolenie trendem NoLo. Czyli bez alkoholu.

Gdy producenci „prosseczio" płaczą, cieszą się sprzedawcy kartek okolicznościowych, gadżetów i pewnie też autorka książki „Half Birthday" Erin Dealey. Jest ona wprawdzie skierowana do dzieci i zawiera odpowiedzi na pytania typu „Czy dekorujemy połowę pokoju?" albo „Czy wypełniamy balony jedynie połową powietrza?". W sieci za to można znaleźć tysiące przepisów na połowę tortu dla jubilatów i gości w każdym wieku. W czasach gdy jedni pilnują poziomu cukru, inni zawartości tłuszczu lub glutenu, a odmówienie zjedzenia porcji to afront, mniejszy kęs ciasta to dobre rozwiązanie. Zresztą jak podpowiada serial „Przyjaciele", niechciane słodkości zawsze można relokować na balkon czy skitrać gdzieś w dodatkowym pokoju. Oczywiście w jego udekorowanej części. ■



Ola Salwa
– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

© SHUTTERSTOCK (3), ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 74925dea9a

TECHNO

Smartfony kontrolowane

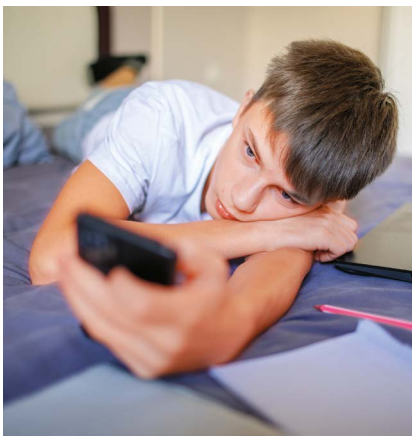

Bezpieczeństwo młodzieży w sieci jest tematem wielu dyskusji (okazją jest np. nowy raport „Internet dzieci" albo decyzja brytyjskiego rządu o zakazie mediów społecznościowych dla użytkowników, którzy nie ukończyli 16. roku życia). Sprawą zajęła się także firma Apple. Prezentacja nowych funkcji systemu operacyjnego iOS27 (premiera jesienią 2026 r.) skupiła się nie tylko na nowych funkcjach SiriAI (na razie niedostępnych w Unii Europejskiej), ale też narzędziach nadzoru rodzicielskiego, które zostały przygotowane we współpracy z organizacjami eksperckimi.

Funkcje pozwalające kontrolować czas spędzany przed ekranem przez młodego członka rodziny, aplikacje i witryny są wprawdzie dostępne od dawna (tu Apple nie było pionierem i uczyło się na nieprzyjemnych błędach, jak umożliwienie dzieciom impulsowych zakupów), ale zmieniła się ich filozofia. Kiedyś praktycznie wszystko, co nie było zakazane, było dozwolone. Rolą opiekuna było ustawienie granicy wiekowej dla różnych mediów i funkcji, a także zablokowanie niechcianych stron. Dziś system jest domyślnie zamknięty, a dozwolone strony (np. Wikipedię czy stronę szkoły) należy dodać na tzw. białą listę.

Dość dobrze działał system „poproś o pozwolenie na zainstalowanie" – pobranie aplikacji ze sklepu wysyłało prośbę na aparat dorosłego. Teraz taki sam system ma odpowiadać za dodawanie nowych kontaktów (gdy pojawia się nieznany numer, np. nowej koleżanki) oraz stron internetowych. Rozbudowany (i uproszczony w obsłudze) został system zarządzania długością i jakością (gry, rozrywka, edukacja) czasu spędzanego przed ekranem. Wbudowane w system funkcje mają zaś chronić automatycznie przed nieodpowiednimi treściami.

Żadne korporacyjne czy państwowe narzędzia nie zastąpią rzecz jasna edukacji cyfrowej (nieodpowiednie treści może pokazać w krzakach za szkołą kolega) i obecności w życiu zaufanego dorosłego. Jest też obawa, że nowe funkcje okażą się nie tylko narzędziem troski, ale nadmiernej kontroli.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Będę snajpić

Doświadczona graczka w „League of Legends" (proszę tylko nie kwestionować „graczki", dziś nawet skrajna prawica promuje hasło „narodowczynie") chwali się zdobytą rangą Platyna II. Na to dostaje propozycję, która brzmi jak zaklęcie: „Duo boost". Czyli ktoś jeszcze bardziej doświadczony oferuje, że podbije (stąd boost) jej ranking grą w duecie (duo), co jest częstą praktyką. Na co ta odpowiada: „Jestem niezależną kobietą, nie dam się zboostować". Bo nie chce iść na skróty i nie przyjmie takiej oferty. Włącza się ktoś trzeci: „W takim tempie to zaraz mogę cię snajpić". Czyli zechce ją odnaleźć w tym samym meczu („LoL" to gra wieloosobowa), żeby rywalizować albo przeszkodzić w dalszym awansie.

Język gier wideo bywa hermetyczny, jak pokazuje ten przykład z platformy X, ale przenosi się do realu wraz z graczami i pokazującymi swoją rozgrywkę streamerami. Właśnie ci ostatni doczekali się określenia „stream sniping", które słownik miejski.pl definiuje: „Sytuacja gdy gracz (stream sniper) śledzi w grze danego streamera i stara się go znaleźć w celu pokonania go, nękania lub przeszkadzania w grze".

Ten proceder stał się osobną dyscypliną: widząc nadawany na żywo stream z gry sławnego gracza, inni mogą spróbować uzyskać nad nim przewagę (podglądają stream, więc znają jego pozycję i taktykę) w tej samej rozgrywce. Dyscypliną na tyle popularną, że zamiast o „stream snipingu" zaczęto mówić w Polsce o „wysnajpianiu". Wysnajpić streamera można też w realu, będąc w okolicy miejsca, z którego nadaje na żywo (jak chłopak, który wszedł przez okno do kawalerki Łatwoganga podczas jego charytatywnego streamu, żeby przybić mu piątkę).

„Typ wysnajpił streamerkę o 0:30 w bacówce gdzieś w górach, pośrodku niczego" – komentuje internauta przy nadawanym na żywo fragmencie streamu zakłóconego przez pukającego do drzwi i narzucającego się gościa w tej bacówce. A że hasło kojarzące się z wojskowością ma potencjał, bez trudu znajdziemy przykłady „snajpowania biletów na koncert" albo „wysnajpienia wizyty u fryzjera w poniedziałek na 9:30". To ostatnie może banalne, ale będę strzelał: trudniejsze niż Platyna II w „League of Legends".

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Jak to jest mieć drugi pendant?
Od tych splotów boli mnie ciało,
Mógłbym stackować je od brody po szyję
I, k..., ciągle mi mało
Oki, Young Igi, Ewa Farna, Otsochodzi, Jeszcze raz?, 2026 r.

pendant – naszyjnik, łańcuch
stackować – zbierać w jednym miejscu

eprasa.pl 74925dea9a



Jedni z pierwszych, którzy tu dotarli, byli przekonani, że odkryli raj na Ziemi. A rosnące tam kokosy morskie były warte więcej niż złoto. Królowie i arystokraci trzymali je w gablotach jako talizmany i symbole płodności. Nic dziwnego, wszak mają kształt pośladków.



PODRÓŻE

Okazałe Seszele

Przy wejściu do rezerwatu przyrody Vallée de Mai, należącego do Parku Narodowego **Praslin**, na stole leżą okazy owoców **Coco de Mer**, czyli kokosa morskiego. Są bardzo ciężkie. – *Dojrzały okaz z drzewa żeńskiego potrafi osiągnąć wagę nawet 40 kg* – opowiada mój przewodnik Vincent, prezentując dzieło natury. – *Są jeszcze drzewa męskie, których kwiatostany mają zupełnie inną wagę, a co istotniejsze, również kształt* – dodaje z tajemniczym uśmiechem i rusza w głąb rezerwatu.

Gdy wchodzimy na szlak, powietrze gęstnieje, wilgotność oblepia ciało, a istniejący od tysięcy lat las tropikalny wydaje swoje dźwięki. Szumi, pulsuje, ptaki śpiewają, co chwila coś spada z drzew, przez które nieśmiało przebija się słońce. Park Vallée de Mai, wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO, jest domem dla Coco de Mer. To jedno z dwóch miejsc na Seszelach – i jednocześnie na świecie – gdzie rośnie ten endemiczny gatunek palmy, nazywany też lodoicją seszelską.

Wszystko zaczęło się w 1519 r., gdy znaleziono pierwszy damski okaz Coco de Mer. Żeglarze często widywali olbrzymie skorupy kokosów dryfujące na oceanie, stąd nazwa „kokos morski". Dwa wieki później, kiedy pierwsi osadnicy pojawili się na Seszelach, ostatecznie powiązano go z palmą rosnącą na lądzie. Dziewiczy krajobraz parku i tajemnicze olbrzymie owoce sprawiły, że niektórzy z pierwszych odkrywców uwierzyli, że dotarli do raju na Ziemi. W tamtych czasach Coco de Mer były warte więcej niż złoto. Królowie i arystokraci trzymali je w gablotach jako talizmany i symbole płodności.

Nic dziwnego. Palma Coco de Mer jest gatunkiem dwupiennym, co oznacza, że występują drzewa męskie i żeńskie. A owoce tego pierwszego i kwiatostany tego drugiego wręcz anatomicznie przypominają części ciała kobiety i mężczyzny. Vincent zatrzymuje się i wskazuje miejsce, gdzie pod palmą leży słynny kokos w kształcie pośladków. To owoc z drzewa żeńskiego. Wysoko na palmie zostały jeszcze niedojrzałe owoce w zielonych skorupach. Spadną, kiedy dojrzeją, co zajmuje czasami od siedmiu do dziesięciu lat.

Vincent zadziera głowę i wskazuje palmę obok. – *Widzisz te zwisające, wręcz falliczne jakby kije? To kwiatostany drzew męskich. Do zapylenia dochodzi, gdy pyłek z męskich kwiatostanów dotrze do żeńskich palm, przeniesiony przez wiatr lub owady* – wyjaśnia.

Co zabawne, drzewa przez wiele lat jego życia nie da się rozróżnić – nie wiadomo, czy jest męskie, czy żeńskie. Płeć ujawnia się dopiero wtedy, gdy palma osiągnie dojrzałość płciową i wypuści pierwsze kwiaty.

W naturalnym środowisku słynne palmy rosną i owocują tylko na dwóch seszelskich wyspach: Praslin i Curieuse. Na tę drugą nie ma regularnych rejsów – takich, jakie są między trzema głównymi wyspami – dlatego najlepszym sposobem, by się tam dostać, jest wykupienie wycieczki w jednej z miejscowych firm. Docieram tam z pobliskiej wyspy La Digue. Curieuse jest atrakcyjna jeszcze z jednego powodu: olbrzymich żółwi Aldabra. Można je tutaj spotkać na każdym kroku. Wyspa jest chronionym rezerwatem przyrody i jednocześnie domem dla tych olbrzymich gadów.

Wycieczki na Curieuse często połączone są z trekkingiem na prawie dwukilometrowym szlaku, który łączy zatokę Anse José na południu z zatoką Baie Laraie na północy. Trasa wiedzie w pewnym momencie przez drewnianą kładkę, gdzie wśród egzotycznej przyrody dostrzec można palmę loidocji, a na ziemi – skorupy w charakterystycznych kształtach. Nie ma ich tutaj tak dużo jak na Praslin. W latach 70. Curieuse ucierpiała w pożarze, który zniszczył większość flory i fauny, w tym palmy Coco De Mer. Zostały nieliczne okazy.

Mieszkańcy Seszeli, które w tym roku obchodzą 50. rocznicę uzyskania niepodległości i odłączenia się od Wielkiej Brytanii, są bardzo dumni ze swoich Coco de Mer. Widać to na każdym kroku. Symbol kokosa znajduje się m.in. na pieczątce wbijanej do paszportu po przylocie, jest w godle i na banknotach rupii seszelskich. I oczywiście na licznych breloczkach, pocztówkach i innych turystycznych pamiątkach. Podobno każdy dojrzały owoc w postaci pośladków jest rejestrowany, numerowany i ewidencjonowany przez państwo, a jego wywóz z kraju bez specjalnego certyfikatu rządowego jest nielegalny. Dlatego swój maleńki okaz mam w postaci breloczka przy kluczach. ■



Magdalena Gorlas
– dziennikarka w podróży, autorka tekstów. Publikowała m.in w „Chicago Tribune", „Vogue'u", „Dużym Formacie" czy „Piśmie. Magazynie opinii".

© MAGDALENA GORLAS, SHUTTERSTOCK (2), ARCHIWUM PRYWATNE, RAFAŁ MASŁOW

eprasa.pl 74925dea9a



WINO

Bąbelki bąbelkom nierówne

Najpopularniejsze wino musujące dostało rozdwojenia jaźni.

Wracam do tematu Prosecco. Tematu ważnego – dwie z trzech butelek wina musującego konsumowanego w Polsce to właśnie ta apelacja z północno-wschodnich Włoch. Stało się niemal synonimem swojej kategorii, jak „koniak" albo „elektroluks". Dziś młodzież albo początkujący konsumenci, gdy chcą się napić jakichkolwiek bąbelków – nieważne włoskich czy francuskich, czy nawet... polskich – proszą już nie o „szampańskie", tylko o „prosekko" właśnie.

Ten niesamowity sukces wino na „p" osiągnęło w ciągu zaledwie dekady. W tym czasie produkcję zwiększono niemal czterokrotnie. Pomogły: chwytliwa nazwa, przystępna cena, aura włoskiego szyku i łatwy w piciu gruszkowo-cytrusowy smak.

Ale, jak już pisałem trzy lata temu (POLITYKA 36/23), Prosecco prosekku nierówne. W 2009 r. strefę produkcji powiększono bowiem niemal 10-krotnie; obejmuje obecnie większość regionu Friuli i ogromnego Veneto. Stało się to kosztem winiarzy z małej, historycznej strefy upraw wokół miasteczek **Valdobbiadene** i Conegliano, którzy dawniej jako jedyni mogli wytwarzać wino o tej nazwie, a tu wnet wyrosła im za miedzą konkurencja. Na pocieszenie legislatorzy przyznali im specjalny wyróżnik DOCG – najwyższą kategorię we włoskim winiarstwie – oraz dopisek „Superiore" po terminie „Prosecco" na etykiecie.

Teraz jednak winiarze z Valdobbiadene i Conegliano kontratakują. Po latach szalonych wzrostów sprzedaż zwykłego Prosecco słabuje, wielkie wytwórnie muszą obniżać ceny, by pozbyć się dziesiątek milionów butelek. Producenci Superiore prowadzą zaś kampanię edukacyjną uświadamiającą, jaka przepaść jakościowa dzieli jedno i drugie wino, choć nazywają się (prawie) tak samo. Prosecco DOC powstaje z winogron rosnących na płaskich jak stół winnicach między autostradą a linią kolejową i zbieranych wielkimi kombajnami. Tymczasem DOCG Superiore rodzą tarasowe winniczki na obszarze chronionym przez UNESCO. To jeden z najpiękniejszych krajobrazów winiarskich na świecie, a do tego piekielnie trudny do pracy. Nachylenie stoków miejscami przekracza 60 proc., jakakolwiek mechanizacja jest niemożliwa, a koszty uprawy są ponadtrzykrotnie wyższe i sięgają niebotycznych 80 tys. zł na hektar.

Kiedy Prosecco DOC wstrząsane było skandalami z rabunkową, niszczącą środowisko produkcją, winiarze z Valdobbiadene mogli się pochwalić troską o ekologię – uchwalili moratorium na sadzenie nowych winnic, by uchronić zalesione obszary.

Gdy się zobaczy ręczne winobranie na tych 90-centymetrowych tarasikach (zwanych *ciglioni*; w XIX w. powstało ich przeszło 4,5 tys. km!), transportowanie koszy z winogronami na specjalnych szynach – różnica w cenie między obu produktami staje się zrozumiała. Ba! Prosecco Superiore DOCG kosztują niekiedy 69–79 zł za butelkę i to zaczyna się jawić jako świetna cenowa okazja. Za te pieniądze raczej lepszych bąbelków nie dostaniecie.

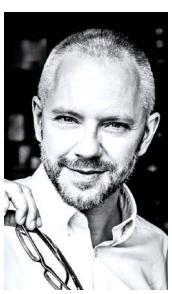

Wojciech Bońkowski – dziennikarz i krytyk winiarski od 1999, od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine.

Z okazji Mistrzostw Polskich Sommelierów, z którymi sprzymierzyli się winiarze z Prosecco Superiore, miałem okazję spróbować kilkudziesięciu win z tej kategorii i byłem naprawdę pod wrażeniem. Intensywne, czyste, przenikliwe smaki cytryny, gruszki i antonówki, ładne akcenty kwiatowe, delikatna mineralność... Nawet jeśli te wina – z definicji – nie mają głębi i złożoności win musujących powstających metodą tradycyjną (szampańską), urzekają czystością i charakterem. Coraz więcej jest wśród nich także wersji zupełnie wytrawnych – Extra Brut i Brut, odpowiednich także jako towarzystwo do jedzenia, co dawniej było raczej wyjątkiem. Dopisek zaś „Rive" na etykiecie – oznaczający wino z najlepszych, wyselekcjonowanych parceli – to już gwarancja udanego wieczoru za rozsądne pieniądze. ■

Gemin Prosecco Superiore Brut, 59 zł (magiadelvino.pl)
La Manzane Prosecco Superiore Rive di Rua Springo Black, 75 zł (lebarbatelle.com)
Varaschin Prosecco Superiore Rive di Santo Stefano Orfeo, 89 zł (dekanter.pl)
Marchiori Prosecco Superiore Rivelazione Rivelazione, 119 zł (lebarbatelle.com)
Foss Marai Prosecco Superiore di Cartizze, 193,50 zł (winawloskie.pl)

eprasa.pl 74925dea9a

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Proroctwa Kwaśniewskiego



„Wiele z moich proroctw się spełnia, ale wcale się z tego nie cieszę" – mówi Aleksander Kwaśniewski, gość redaktora naczelnego POLITYKI Jerzego Baczyńskiego, w naszym specjalnym podkaście. To rozmowa o relacjach polsko-ukraińskich, nieoczywistej perspektywie końca wojny, polityce i geopolityce, ale też o ukrytym sensie prezydenckich odznaczeń. Gdyby Karol Nawrocki posłuchał, może podjąłby inną decyzję.

Kiedy wreszcie koniec wojny

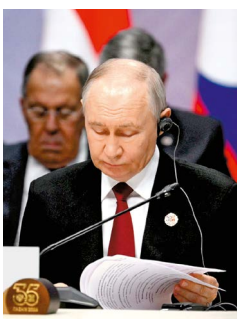

Pojawiają się głosy, że Rosja jest w zapaści i będzie zmuszona doprowadzić wkrótce do jakiegoś zawieszenia broni. **„Rewelacje o fatalnym stanie rosyjskiej gospodarki i wypadnięciu szefowej Banku Centralnego z łask Putina są w 90 proc. prawdziwe" – pisze na polityka.pl Agnieszka Bryc, ekspertka od Rosji.** Reszta to sprytna manipulacja. W tekście wyjaśniamy, dlaczego Europa powinna uzbroić się jeszcze w cierpliwość.

Po pierwsze, nie obwiniać



Jak opowiadać o zmianach klimatu, żeby ludzie naprawdę się nimi przejęli, i jak inspirować do działania? Objaśnia w naukowym podkaście Pulsara Dominika Zaremba, psycholożka i psychotraumatolożka z Uniwersytetu SWPS, doktorantka w Pracowni Obrazowania Mózgu Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN. „Po pierwsze, nie zawstydzać i nie obwiniać", radzi. A ciąg dalszy w naszym podkaście.

Sezon na randki



Co widać już na pierwszej randce? Na jakie manipulacje i dezinformacje jesteśmy narażeni w bliskich relacjach? O tych kwestiach **rozmawiamy w naszym podkaście psychologicznym z Magdaleną Chorzewską, psycholożką, psychoterapeutką i psychoedukatorką. To wywiad dla osób, które szukają miłości (limitu wieku nie ma), a jeszcze nie wiedzą, czym są red flagi, ghosting, breadcrumbing i zombieing.**

Dubbing mamy najlepszy





Dlaczego polski dubbing jest uważany za jeden z najlepszych na świecie i jak ta praca wygląda od zaplecza, opowiada POLITYCE Robert Czebotar, aktor i lektor, kiedyś związany z Teatrem Polskim i Teatrem Narodowym w Warszawie, dziś znany m.in. jako Chudy (głos Chudego) z filmowej serii „Toy Story". W naszym podkaście kulturalnym zdradza, skąd się bierze fenomen animacji i jak dobrze przeczytać tekst „na uśmiechu".

© LESZEK ZYCH (2), APA/ZUMA PRESS/FORUM, ANNA AMAROWICZ, MATERIAŁY PRASOWE

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 74925dea9a

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 74925dea9a

PO PIERWSZE, AMERYKA!



W sprzedaży

KUP TERAZ

140 stron



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny m.in.:



eprasa.pl 74925dea9a